PASZPORTY COVIDOWE? LISTA WĄTPLIWOŚCI

KLASA ŚREDNIA W POLSCE, CZYLI KTO?

KTO SIĘ BOI ZEZNAŃ STONOGI?

DODATEK NA DZIEŃ DZIECKA

SIECI

PORWANIE SAMOLOTU NAD BIAŁORUSIĄ

OTO KULISY I MOTYWY

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 22 (444) 2021
31 maja–6 czerwca 2021

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

BRONISŁAW WILDSTEIN DO KŁAMCÓW W SPRAWIE ŚMIERCI PYJASA

WSTYDŹCIE SIĘ!

MOCNA ROZMOWA O ŚWIECIE, W KTÓRYM OSZCZERCY ROZPACZAJĄ, ŻE PRAWDA NIE JEST SZANOWANA, A ZŁODZIEJE PŁACZĄ NAD BRAKIEM SZACUNKU DO PRAWA WŁASNOŚCI

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
22
9 772544 269106

OFERTA SPECJALNA

ZAMÓW E-PRENUMERATĘ SIECI

I ZYSKAJ PODWÓJNIE:

- **rabat 50%**
  roczna e-prenumerata w cenie półrocznego dostępu
- **książka W PREZENCIE**
  książka TYLKO dla e-prenumeratorów tygodnika „Sieci”

Najpopularniejszy

Dostęp na
12 miesięcy
~~159,99 zł~~
89,99 zł

Książka w prezencie

KUP TERAZ

WEJDŹ NA:
www.SiecPrzyjaciol.pl
i zamów lub przedłuż dostęp do e-prenumeraty tygodnika „Sieci” na 12 miesięcy

eprasa.pl 9e095ef298

Cena kłamstw

Długi, przeciągły krzyk protestu Jany Szostak, młodej rewolucyjnej Białorusinki trzymającej napis „SOS", nie stał się symbolem dramatu. Może dlatego, że był zbyt teatralny, ale bardziej z tego powodu, że symboli prawdziwych dramatów i tragedii tam aż nadto, nie potrzeba przedstawień. A może jej jednoczesne zaangażowanie w akcje spod znaku błyskawic w Polsce nakazuje obserwatorom dystans. Podobnie jak fakt, że jej akcje firmował na konferencji prasowej Rober Biedroń, który przy tej okazji rzucił zdanie o „ostatnim reżimie w Europie", czyli – jego zdaniem – Białorusi.

Uderzyło mnie to sformułowanie. Ostatnim? A Polska? A Węgry (choć jednak Warszawa i Budapeszt to inne modele)? Czy nie taki przekaz szedł z tych środowisk przez ostatnie lata? I idzie nadal?

Sprawa jest poważna. Padają dziś słowa mocne, ważne, często prawdziwe. O reżimie, prześladowaniach, brutalnych aresztach, sterowanym sądownictwie, drakońskich wyrokach politycznych, końcu wolnych mediów, odwracaniu się od Europy.

Słychać narzekania, że Europa nie słyszy, świat nie bierze tego wystarczająco serio.

Mówią to ci sami ludzie, którzy dokładnie tych samych określeń używali przez ostatnie sześć lat na opisanie rzekomej sytuacji w Polsce. Posłowie PO i Nowoczesnej, lewicy postkomunistycznej, a nawet PSL. Media z nimi związane. Fundacje Sorosa. Kramkowie i dziwne organizacje.

Alarmowali świat nieprawdziwie, w imię politycznego interesu, licząc na wywołanie tym jakichś sankcji, kary i obalenie demokratycznego rządu w Warszawie. Nawet można powiedzieć arcydemokratycznego, z wyjątkowo silnym mandatem społecznym, bo wybranego wbrew oligarchii, potężnym mediom, grupom interesu.

Czyniący ten fałszywy alarm popełnili dwie zbrodnie przeciw wspólnocie demokratycznej. Kłamali na temat sytuacji w Polsce. I jednocześnie zdewaluowali znaczenie słów, które powinny być zarezerwowane na sytuacje krańcowe, a nie używane w tej skali do politycznej jatki.

Jak dziś świat ma odróżnić prawdziwe ofiary prawdziwego reżimu od fakturowego Kijowskiego, wulgarnej Lempart i słynnego Diduszki udającego ofiarę manifestacji, by fotka ładnie wyszła? A przecież oni wszyscy mieli być ofiarami „reżimu w Warszawie".

Jak oddzielić pana Piniora od ludzi skazywanych na podstawie skręconych spraw karnych, tzw. kryminałek?

Jak czytać doniesienia o brutalnym zamykaniu ostatnich niezależnych redakcji, skoro pan Michnik opowiada światu bzdury o cierpieniach swojej gazety – choć działa ona w szklanym pałacu, a wydający ją koncern dysponuje setkami milionów złotych?

Jak ufać reportażom o cierpieniu represjonowanych, skoro niemieckie media – na wasze, demokraci, zlecenie – produkowały takie same z Warszawy, także z podobno prześladowaną panią Różą Thun, trwożliwie przemykającą przez naszą stolicę nocnym tramwajem?

Ostrzegaliśmy na tych łamach wielokrotnie, że zakłamane nadużywanie syren alarmowych świata demokratycznego w tak niskim celu ma swoją cenę. Dziś niestety płacą ją pośrednio Białorusini. A polskim najdemokratyczniejszym demokratom mało kto wierzy.

I nawet się nie dziwię, że Donald Tusk nie ma teraz nic do powiedzenia. Jeżeli widział „kolejny polski grudzień" w czasie próby puczu sejmowego w roku 2016, nikt mu nie uwierzy, gdy poruszy temat dramatycznego białoruskiego lata.

Na szczęście są ludzie stojący przez te lata po stronie prawdy o Polsce, którzy dzisiaj stają także po stronie prawdy o Białorusi. I ich słowo coś znaczy.

A my, kibicując marzeniom Białorusinów o wolności, uważajmy jednocześnie, by nie pomagać wyłącznie tęczowym grupom, by nie odcinać zwykłych Białorusinów od Polski i Zachodu, by nie zrobić krzywdy mieszkającym tam Polakom i katolikom. Ludzie podpowiadający nam działania emocjonalne i superradykalne niekoniecznie mają dobre intencje.

Michał Karnowski

Autopromocja

eprasa.pl 9e095ef2

SIECI spis treści

24 *Za plecami Hołowni* *Stanisław Janecki*

48 Wywiad, który zmieni oblicze BBC? *Aleksandra Rybińska*

70 Rekordy Lewandowskiego *Cezary Kowalski*

NA POCZĄTEK

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 KSIĄŻĘ CAMPUS
Krzysztof Feusette

9 ŚLEPY ZAUŁEK
Dorota Łosiewicz

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 TSUE LIKWIDUJE TURÓW...
Jan Pietrzak

12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU
Dominik Zdort

13 LAPUERTA I THUN
Bronisław Wildstein

14 WALIZKA ANNY POPEK
Michał Korsun

16 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

17 DOBRO DZIECKA NACZELNYM DOBREM
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 POWAGA HABITU
Tomasz Łysiak

TEMAT TYGODNIA

20 Z BRONISŁAWEM WILDSTEINEM
rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski

KRAJ

24 ZA PLECAMI HOŁOWNI
Stanisław Janecki

28 Z MICHAŁEM MOSKALEM
rozmawia Michał Karnowski

32 STONOGA WRACA DO ARESZTU. KTO SIĘ BOI JEGO ZEZNAŃ?
Wojciech Biedroń

34 KLASA ŚREDNIA, CZYLI KTO?
Konrad Kołodziejski

37 „PASZPORTOWCY", CZYLI NOWA KLASA WOLNEJ SZLACHTY
Jan Rokita

40 Z ALINĄ PETROWĄ-WASILEWICZ
rozmawia Goran Andrijanić

42 JASIA NIE DOCZEKAŁA SIĘ TATUSIA
Marcin Wikło

ŚWIAT

44 REJS NR FR 4978, CZYLI SAMOBÓJSTWO DYKTATORA
Marek Budzisz

48 WYWIAD, KTÓRY ZMIENI OBLICZE BBC?
Aleksandra Rybińska

50 SPÓR O SOBÓR WATYKAŃSKI II
Grzegorz Górny

SIECI KULTURY

57 WIELE TWARZY CLINTA
Jolanta Gajda-Zadworna

60 NAJPIERW MIŁOŚĆ, POTEM PRAWDA
Robert Tekieli

61 WOJNA CYWILIZACJI
Robert Tekieli

62 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY
Wojciech Stanisławski

64 STRAŻNIK ŁADU MORALNEGO
Jerzy Biernacki

67 CAŁY CHOPIN NA 14 PŁYTACH
Adam Ciesielski

68 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM
Piotr Zaremba

SPORT

70 REKORDY LEWANDOWSKIEGO
Cezary Kowalski

GOSPODARKA

72 Z WOJCIECHEM DĄBROWSKIM
rozmawia Maciej Wośko

76 CYFROWY ŁAD JUŻ ZA TRZY LATA
Bartosz Życiński

78 Z MICHAŁEM KUCZMIEROWSKIM
rozmawia Bartosz Życiński

82 KIEDY GABINET LEKARSKI PRZENIESIEMY DO DOMU?
Debata „Gazety Bankowej"

86 Z ŁUKASZEM GREINKEM
rozmawia Piotr Filipczyk

KUCHNIA

88 MOJE SZLAKI: MIŚ I TYGRYSEK
Jolanta Gajda-Zadworna

89 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

90 MISTRZOWIE CENZURY, CZYLI JAK HISTORIA KOŁEM SIĘ TOCZY
Hanna Karp

92 PATRZĄC NA PRZYRODĘ
Alina Czerniakowska

94 DEKALOG A WOLNOŚĆ
Lech Makowiecki

94 ŚWINIA W RAJSTOPACH
Piotr Cywiński

96 UTRACONA WIARYGODNOŚĆ
Jan Pospieszalski

97 O SPÓŹNIONYCH PRAGNIENIACH
Leszek Długosz

98 QUASI-PSYCHOTERAPIA?
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 54/0121/F

eprasa.pl 9e095ef298

20 LAT CLUB VITAY

ORLEN

20 lat Programu VITAY.

Wciąż się rozwijamy!
Aplikacja **ORLEN VITAY** w nowej odsłonie.

Jakie korzyści daje aplikacja?

- Zyskaj wirtualną kartę VITAY
- Nawiguj do najbliższej stacji ORLEN
- Oszczędzaj dzięki kuponom promocyjnym
- Zbieraj punkty na nagrody z Katalogu VITAY
- Płać bezgotówkowo z funkcją ORLEN Pay

Pobierz **ORLEN VITAY**

Download on the App Store

GET IT ON Google Play

eprasa.pl 9e095ef298

Sygnalista nadaje

Szymon Hołownia uparcie próbuje swoich sił jako analityk spraw międzynarodowych. Niestety wciąż bez powodzenia. Ostatnio błysnął takim oto wywodem: „Gdybyśmy byli w Trójkącie Weimarskim, dzisiaj rzeczywiście znaczącym głosem, i gdyby ten Trójkąt Weimarski rzeczywiście funkcjonował, to być może mielibyśmy wpływ na Nord Stream 2, ale zgodnie z decyzją Kaczyńskiego wypięliśmy się na cały świat, uznaliśmy, że jesteśmy wyspą, która do współpracy nikogo nie potrzebuje". Głupiej już chyba nie można.

A nie, jednak można. Ponownie Hołownia: „To, jak myśmy upokarzali Berlin, i to, jak myśmy upokarzali wszystkich partnerów w UE przez ostatnie lata, to nie ma absolutnie precedensu. Jeśli się kogoś upokarza, cały czas obraża, cały czas się tłumaczy, że my sobie sami poradzimy, a was to uczyliśmy jeść widelcem, a wam będziemy wypominali różne inne rzeczy, to proszę wybaczyć, ale gdy przyjdzie do załatwiania wspólnych interesów, to może być kłopot". Kłopot to będzie, jak Hołownia dojdzie do władzy.

W polityce zagranicznej opozycja dziecinnieje w zastraszającym tempie. Posłanka KO Kamila Gasiuk-Pihowicz tak komentowała wizytę prezydenta Dudy w Turcji, państwie kluczowym dla bezpieczeństwa całej Europy: „Tysiące prześladowanych przez władze osób. Sędziowie, prokuratorzy, nauczyciele od 5 lat tkwią zamknięci w tureckich więzieniach, a Andrzej Duda jak gdyby nigdy nic jedzie z oficjalną wizytą do Erdoğana... Kogo odwiedzi następnego? Putina? Kim Dzong Una?". Chyba czas reaktywować pojęcie „użyteczni idioci". Choć tym razem ważniejszy jest ten drugi człon tego określenia.

Opozycja wciąż przeżywa głosowanie nad funduszem odbudowy, sądząc, że mogła wówczas sięgnąć po władzę. Jak to miało wyglądać? „Plan był taki: pozbawiony głosów ziobrystów, eurosceptycznych konfederatów i wsparcia zjednoczonej opozycji Jarosław Kaczyński przegrywa kluczowe głosowanie nad ratyfikacją Krajowego Planu Odbudowy, nie wytrzymuje, wpada na sejmową mównicę, zaczyna krzyczeć i dochodzi do przesilenia" – ujawnił mediom wysoko postawiony polityk opozycji. Aha. Plany gangu Olsena stały na zdecydowanie wyższym poziomie.

W czasie wizyty w Turcji prezydent Andrzej Duda złożył wieniec w mauzoleum twórcy Republiki Tureckiej Atatürka. Wieniec był czerwono-biały, bo tak nakazuje turecki protokół. Europoseł PO Danuta Hübner uznała jednak, że to wpadka polskiej delegacji: „Kolejność barw na wieńcu wskazuje, że złożył go prezydent Indonezji, ewentualnie książę Monako" – stwierdziła. Sprawę szybko wyjaśnił ambasador RP w Turcji Jakub Kumoch: „Wieniec jest od dłuższego czasu taki sam: czerwień i biel to kolory flagi tureckiej". Hübner przeprosiła, ale wniosek pozostaje bez zmian: kto się nie rozwija, ten się cofa.

Bronisław Komorowski też dał popis swoich umiejętności. Tak skomentował jednodniowe porwanie samolotu lecącego z Aten do Wilna przez władze w Mińsku: „Doczekaliśmy się, jako Polska, przy tak słabych notowaniach w relacjach zagranicznych, że na zasadzie »na pochyłe drzewo wszystkie kozy skaczą« nawet Białoruś pozwala sobie na spektakularne lekceważenie Polski". On, rozumiemy, na Białoruś by najechał. Ale tu powstaje pytanie: czym by najechał, skoro za rządów PO armię zmniejszono do rozmiarów niemalże symbolicznych? Cóż, pozostałoby zwołanie Trójkąta Weimarskiego.

Porwanie samolotu było pokazem czekistowskiej bezwzględności białoruskich służb specjalnych. Białoruska opozycja nie kryje rozpaczy. Podczas konferencji Lewicy głos zabrała

eprasa.pl 9e095ef298

aktywistka, artystka Jana Szostak. „Musimy wysyłać teraz znak, sygnał o pomoc – SOS, koniec milczenia. Chcemy wsparcia, bo inaczej te osoby, które znajdują się teraz w Białorusi, reżim ich po prostu zabije. My już nie możemy milczeć i wszystko, co nam pozostaje, to minuta krzyku" – powiedziała, po czym zaczęła krzyczeć. Cóż, krzyk uzasadniony, ale lewackie z ducha happeningi części białoruskiej opozycji jedynie wzmacniają reżim Łukaszenki i inne reżimy na Wschodzie. I może o to chodzi?

Przy okazji krzyku wyciągnięto parę refleksji pani Szostak o świecie. „Marzę o feministycznej krucjacie, chcę napisać apel do rektorek polskich uczelni o używanie feminatywów"; „Polski katolicyzm mnie bardzo mocno rozczarował", „Zaczęłam myśleć, że to akurat jest plus dyktatury na Białorusi, że religia, przynajmniej katolicka, jest oddzielona od państwa i niewspierana finansowo przez rząd". Jana Szostak mocno wspierała też uliczną rebelię Strajku Kobiet. Skarży się, że „dwa lata temu ubiegaliśmy się całą rodziną o polskie obywatelstwo", ale prezydent Duda „odmówił bez podania powodu". Cóż, jeśli rzeczywiście odmówił, to może nie bez powodu.

Kopalnia i elektrownia Turów wytwarzają do 7 proc. polskiej energii elektrycznej. Jej zamknięcie – co nakazał Trybunał Sprawiedliwości – byłoby dla polskiej gospodarki tragedią. Rząd zapowiedział, że wyroku nie wykona, bo wykonać go nie może.

Rafał Trzaskowski zrobiłby jednak inaczej: „Na tym polega system Unii Europejskiej. Jeżeli doprowadza się do tego, że sprawy są już w Trybunale i Trybunał wydaje orzeczenia, to jeżeli mamy poszanowanie dla europejskiego prawa, nie ma innego wyjścia" – stwierdził. W sumie klaruje się jasna polityka: doprowadzenie kraju do takiego stanu, że wszyscy Polacy nie będą mieli wyjścia i wyjadą.

Czego nam nie zamkną, to władza PO sprzeda. Jacek Rostowski – którego zdaniem „pieniędzy nie ma i nie będzie" – ogłosił plan dla gospodarki. Punkt czwarty zakłada „ukrócenie upartyjnienia w spółkach skarbowych": „Jak upadnie PiS, to trzeba będzie wyciągnąć wnioski z tego, co stało się w spółkach skarbu państwa i je sprywatyzować". I znów „nie będzie piniendzy", już na zawsze, bo bez kapitału państwowego Polska na zawsze utknie na peryferiach świata.

Marta Lempart, przewodząca jednemu z najbardziej wulgarnych ruchów protestu w historii Europy, żali się na brak środków do życia. „Straciłam wszystko, finansowo i zawodowo. Dotychczasową pracę i firmę. Teoretycznie na własne życzenie" – mówi, dodając: „Mieszkam grzecznościowo u kogoś, kto jest poza Polską i oczywiście jestem wdzięczna, bo to też pokazuje, ile mam szczęścia. Zarabiam teraz 20 proc. tego, co pięć lat temu". Lempart przekonuje, że nie ma oszczędności, a finansowo pomaga jej tata. Z kolei matka Marty Lempart ma jej kupować jedzenie i ubrania. „Mam na przeżycie, ale nie stać mnie na wynajęcie mieszkania w Warszawie" – żali się. Cóż, dzieci też nie pomogą. W tym świecie dzieci nie ma i nie będzie. Wiadomo dlaczego

Znany dominikanin o. Adam Szustak udzielił wywiadu, w którym – chyba celowo – zakpił sobie z biskupów: „Było jakieś spotkanie episkopatu i wydali takie tam oświadczenie, m.in. Stanisław Gądecki, o tym co jest teraz najważniejszą potrzebą Kościoła" – mówił dominikanin i rozwinął myśl: „Tak aktualnie, że kończy się pandemia, jak teraz Kościół powinien zafunkcjonować i pierwszy punkt ku...a, który podano, Gądecki go podał, to najważniejsze jest to, żeby teraz zrobić wszystko, co się tylko da, żeby ludzie wrócili do kościoła. No do ku...y nędzy, w takim razie mi ręce opadają". Dominikanin podsumował: „Ja nie mam już żadnej nadziei w tych gościach". Wyjątkowo niemądry popis. Po pierwsze, biskupi mają rację. Po drugie, pycha narasta. A ona nigdy nie prowadzi do świętości.

Prof. Jadwiga Staniszkis w ostatnich latach nie szczędziła krytyki Prawu i Sprawiedliwości. Teraz w rozmowie z „Newsweekiem" zaprezentowała wyraźnie inne stanowisko: „Tak jak kilka lat temu byłam wielką pesymistką, jeśli chodzi o rządy PiS, tak dziś jestem optymistką"; „Fakt, że opozycja jest w rozsypce, to także wynik rangi Kaczyńskiego. Druga strona nie ma dziś polityka tej klasy". Powiedziała również, że zna Kaczyńskiego od czasów, kiedy był studentem, i wie, że „jego wiara w siebie jest jego bardzo silnym atutem politycznym". I wreszcie puenta: „Myślę, że dzięki niej zwycięży. Jak obserwuję dzisiejszy stan polityki, to kolejna wygrana PiS wydaje się bardzo prawdopodobna". Sensowna diagnoza. Szkoda tylko tych paru ostatnich lat.

Ale historia wypowiedzi prof. Staniszkis miała swój ciąg dalszy. „Ten wywiad nie był autoryzowany. W związku ze złym stanem zdrowia mamy prosiłam Aleksandrę Pawlicką, by nie był publikowany. To skandal, że dla zysku Tomasz Lis nie liczy się z chorymi ludźmi i ich ośmiesza" – ogłosiła córka prof. Staniszkis Joanna. Ciekawe, że gdy prof. Staniszkis ostro krytykowała PiS, nie było żadnego z tych problemów. My swoje wiemy: droga intelektualna i życiowa prof. Staniszkis prowadzi do PiS. Taka jest po prostu wewnętrzna logika jej teorii naukowych.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9e095ef298

Książę Campus

KRZYSZTOF FEUSETTE

Cześć, witam wszystkich na pierwszym zjeździe... Kto krzyknął: „W sondażach"?! Słuchaj, kolego czy koleżanko, jak ci się nie podoba, to lempardalaj. Nie ma żadnego zjazdu w sondażach, mamy moc, mamy energię i mamy, słuchajcie, siebie! Prawda?! Nie słyszę... O, i to jest aplauz! I o to również będą te wybory, które przed nami. Bo przecież zawsze są w życiu jakieś wybory. Parlamentarne, prezydenckie, europejskie, samorządowe. Każde z nich możemy wygrać. I wygramy. Bo jesteśmy solą tego kraju. I pieprzem.

A więc, słuchajcie, witam wszystkich na pierwszym obozie, tfu, co ja mówię, te polskie przyzwyczajenia, na pierwszym Campusie Polska Przeszłości. Będziemy debatować, dyskutować, opiniować i wyrabiać sobie stanowisko... Słucham? A co ja powiedziałem? Przyszłości, oczywiście, że przyszłości. Zresztą, co mielibyśmy mówić o przeszłości? Ja już wszystko wyjaśniłem w kampanii: 500+ to już nie jest temat, bo sprawa została załatwiona. To samo z wiekiem emerytalnym. A my musimy wybiec w przyszłość. Bo inaczej będziemy bez przyszłości! Zresztą czyż przyszłość nie jest przeszłością teraźniejszości, patrząc od strony przyszłości? Nadążacie? Fajnie, bo ja też nie. Jestem po prostu potwornie zmęczony.

Jak wiecie, praktycznie sam, tymi rękami i w kasku musiałem pokonać pandemię w Warszawie. Dokonałem tego dzięki użyciu nowatorskiej metody walki z koronawirusami – poprzez podejmowanie działań odwrotnych niż większość. W wielu miastach prezydenci czy burmistrzowie zwalniali firmy z opłat za czynsze miejskie w okresie, gdy ich firma stała zamknięta. Twierdzili, że bardziej im się to opłaca niż wyrzucanie ludzi na bruk z dzierżawionych lokali, a potem szukanie przez kolejne miesiące chętnych do wynajęcia. A dla mnie ważniejszy był los mieszkańców. Pieniądze wydobyte od przedsiębiorców mogły przecież zaowocować, jak w wielu innych miastach, zwolnieniem mieszkańców z opłat parkingowych, tak by zmniejszyć tłok w komunikacji miejskiej. Ale nie zaowocowały, bo postanowiłem odciążyć autobusy inaczej. Po prostu puściłem mniej na miasto, według rozkładu weekendowego. Niestety, ścisk zrobił się niewyobrażalny, więc trzeba było z nowatorskich metod zrezygnować, przez co znowu brakowało grosza na wszystko.

No, może na hostel LGBT wystarczy, ale tylko dzięki podwyżce opłat za śmieci. Ale skąd ja mam wziąć fundusze na darmowy dowóz seniorów na szczepienia? To co, może jeszcze oddać im mieszkania, z których przed chwilą wylecieli? Przecież to było raptem 40 tys. osób, a w Warszawie mieszka ponad 2 mln! I to z myślą o nich, słuchajcie, zaraz po wyborach poszedłem na urlop. Żeby spojrzeć na to nieszczęsne miasto świeżym okiem. Okiem kogoś, kto nie znał jego dzielnic, zostając jego prezydentem. I wiecie, co wymyśliłem? Plażę, słuchajcie, na Białołęce. To taka dzielnica z koszmarnym dojazdem, no, ale ja mostów nie obiecywałem, a już na pewno nie tyle razy co Hanka. I na tej Białołęce usypaliśmy piękną hałdę piachu, potem to zagrabiliśmy, zaprosiliśmy ludzi i za chwilę nam to rozebrali. Bo teren nie był własnością miasta, tylko jakichś wodniaków czy coś. A pamiętacie, słuchajcie, tę cudowną instalację, połączenie natury z ludzką myślą, gdy kazałem rozłożyć drewniane palety na betonie pod ratuszem? Mnie się marzyło, żeby pasażerowie autobusów i tramwajów wysiadali tam na podładowanie dobrej energii. Podróż środkami komunikacji bywa bezrefleksyjna, wiem, bo parę razy próbowałem, a tam, w naszej Strefie Relaksu, ci biedni ludzie mogli odetchnąć sosnową deską, napić się wody, posłuchać dźwięków miasta, poczuć zapach metropolii. I nawet, jak komuś drzazga przez spodenki przeszła, to też było fajnie.

Takich relaksacyjnych inicjatyw, słuchajcie, podejmowałem mnóstwo. Rozkazałem np. postawić specjalne ławeczki dla seniorów. Oczywiście – bez siedzeń, bo wyszło nam z badań, że seniorzy wolą się opierać o ławkę jak o drzewo. I dlatego ławki były drewniane. Postawiliśmy też jedną specjalną w kształcie litery „U" na ul. Poznańskiej. Nie jest oblegana, czasem, niestety, jakiś senior siądzie, ale głównie psy przystają. A to jest przecież dla was, młodych! I zrobiłbym dla was jeszcze więcej, gdyby nie te, słuchajcie, zasr...ne, dosłownie i w przenośni, awarie. Tu Czajka zdechła, tam rury pękają i żaden dziaders nie rozumie, że tego się taśmą skleić nie da! Ja to w ogóle nie wiem, po co nam w Polsce oczyszczalnie ścieków, skoro są w Niemczech? Kopalnie zresztą też. A ten rząd, zamiast pozamykać kopalnie, zanim nas Czesi nie wyrzucą z Europy, bimba sobie na wyrok TSUE, jakby rządził w Niemczech albo Francji! To jest właśnie ta prowincjonalna mania wielkości, a uwierzcie mi, że wiem, co mówię, bo wydaje mi się, iż należę do jednych z najskromniejszych polityków Unii Europejskiej. Ja nawet posłem RP byłem tylko czasami.

Dlatego, słuchajcie, dość biadolenia. Dość gadania, kto i co do tej pory mówił czy robił, najważniejsze, żeby teraz myślał mądrze. A dziś myśleć mądrze oznacza nie myśleć, tylko działać. Robić jakieś projekty. Nie będę wam podrzucał pomysłów, bo to wy jesteście młodzi, kreatywni, z wielkich miast, ale może warto pomyśleć np. o nowych koszulkach? Plakatach, breloczkach, zapalniczkach, długopisach, torbach, naklejkach albo znaczkach? A może pójść jeszcze szerzej i wypuścić serię maskotek? Najważniejsza jest energia. To co, może tyle o mnie, a teraz wy, słuchajcie, powiecie coś o sobie? Może ta dziewczynka w pierwszym rzędzie z tęczą na czole, pokaż się, kochana! Ojej, przepraszam pana bardzo...

eprasa.pl 9e095ef298

WIEŻA BAB

Ślepy zaułek

Takie pomysły będą się mnożyć jak grzyby po deszczu, a osobista wolność jednostki dawno nie była tak zagrożona

Krakowski radny Łukasz Wantuch chciałby zakazu podróży komunikacją miejską (oraz wielu innych zakazów) dla osób niezaszczepionych przeciw COVID-19.

„Nie zaszczepi się przeciwko koronawirusowi połowa Polaków. To nie są sondaże, ale twarde dane na podstawie zapisów. Czy nie powinniśmy zatem wprowadzić od 1 lipca zakazu korzystania z komunikacji miejskiej przez osoby, które nie mają przynajmniej jednej szczepionki na koronawirusa?" – pytał niedawno na swoim profilu na Facebooku radny, wybrany z listy Komitetu Wyborczego Wyborców Jacka Majchrowskiego. Ale to nie wszystkie „wolnościowe" pomysły radnego. „Moim zdaniem zasada powinna być prosta: jeżeli celowo, z powodu ideologii lub własnego »widzimisię« narażasz innych na utratę życia lub zdrowia, to nie oczekuj, że będziemy Ciebie traktować jako równego. Oprócz zakazu wstępu do obiektów gminnych, takich jak otwarte baseny, teatry, muzea, powinniśmy zacząć od komunikacji miejskiej i to na dwa sposoby: 1) Jeżeli chcesz kupić bilet miesięczny, to musisz pokazać świadectwo szczepienia, przynajmniej jedną dawką. Nie masz? Nie kupisz tańszego biletu i musisz korzystać z jednorazowych. 2) Kupujesz bilet jednorazowy, to przy kontroli biletów musisz zrobić to samo – pokazać karteczkę, którą każdy dostaje przy szczepieniu, inaczej otrzymasz opłatę dodatkową w wysokości 250 zł" – proponuje Wantuch.

Polityk z Krakowa w ogóle nie bierze pod uwagę tego, że są osoby, które nie mogą się zaszczepić ze względów zdrowotnych, oraz że odporne są także osoby, które COVID-19 przechorowały. Przypomnę tylko badanie publikowane przez „Nature", z którego wynika, że komórki odporności produkujące przeciwciała, które powstały u osób łagodnie przechodzących COVID-19, mogą zapewniać długotrwałą ochronę przed koronawirusem. Radny nie bierze pod uwagę tego, że tzw. odporność stadna nie jest wyłącznie wynikiem szczepień, ale także nabytej odporności. Ten sam radny, którego nie interesują argumenty naukowe, twierdzi, że nie jest możliwa dyskusja na argumenty z tzw. antyszczepionkowcami. Tym samym radny Wantuch stawia znak równości między osobami, które kwestionują sens szczepień w ogóle, a tymi, które na podstawie naukowych badań stawiają pytania lub mają zwykłe ludzkie wątpliwości.

Dla wszystkich, którym wyrywa się już z gardła okrzyk: „Konstytucja!", krakowski radny ma odpowiedź: „Czy jest to zgodne z konstytucją, ustawami, prawem itd.? Wszystko zależy od wojewody. Jeżeli nie uchyli uchwały, to nawet w razie zaskarżenia przez grupy »wolnościowe« będzie to trwało dłużej niż 12-miesięczny okres obowiązywania uchwały. A po jej wygaśnięciu sąd automatycznie kończy postępowanie. Oczywiście każdy może wtedy zaskarżyć do sądu administracyjnego otrzymaną opłatę dodatkową 250 zł, co też potrwa parę lat. Mogę przygotować uchwałę i zebrać 5 podpisów radnych, ale pytanie brzmi, ilu z nich uzna, że trzeba poczekać?" – pyta radny, który jawnie, publicznie proponuje podeptanie konstytucji i jeszcze się tym szczyci.

Żeby było zabawniej, ten sam radny pisał kiedyś o sobie, że jest pro-choice: „(...) mam poglądy pro-choice i brałem udział w demonstracjach przeciwko wyrokowi Trybunału Julii Przyłębskiej (...)". Najwidoczniej wolność wyboru według Wantucha dotyczy tylko aborcji, ale już nie szczepień.

Takie pomysły będą się mnożyć jak grzyby po deszczu, a osobista wolność jednostki dawno nie była tak zagrożona. Politycy zachodzą w głowę, dlaczego chęć do szczepień maleje, a eksperci obrzucają Polaków kolejnymi epitetami, odsądzając ich od czci i wiary, sugerując głupotę, brak wiedzy, niedouczenie, pomijanie wiedzy naukowej. Przy czym ci sami eksperci tę wiedzę naukową wydają się ignorować. Bo niby dlaczego osoby, które mają przeciwciała, a więc przechorowały COVID-19 (nawet bezobjawowo), ale nie mają testu PCR, nie mogą być uznane za ozdrowieńców? Dwukrotne wybory parlamentarne pokazały, że im bardziej Polaków się obraża, tym bardziej się irytują i zacinają w sobie. Przypomnijmy sobie konflikt między wsią a miastem, przypomnijmy sobie obrzydzenie, z jakim tzw. elita (np. artyści) wypowiadała się o wyborcach PiS. To wszystko okazało się przeciwskuteczne. Dlaczego eksperci, a za nimi część polityków, tak chętnie idą w ten ślepy zaułek?

Dorota Łosiewicz

Weto Budapesztu

Ostatnio Węgry dwukrotnie skorzystały z prawa weta na forum unijnym, blokując większościowe stanowisko pozostałych krajów Unii Europejskiej. Po pierwsze, Budapeszt zablokował przyjęcie rezolucji wzywającej do zawieszenia broni Izrael i Hamas. Viktor Orbán napisał, że nie można zrównywać państwa żydowskiego z organizacją terrorystyczną objętą sankcjami UE. Premier Węgier dodał, że nacisk Berlina i Paryża, by przeforsować wspólne oświadczenie, wynika z tego, że w Niemczech i we Francji żyją miliony muzułmanów, a „większość krajów Europy Zachodniej weszła w erę postnarodowych i postchrześcijańskich koncepcji życia". Jego zdaniem państwa V4 pozostają wierne kulturze judeochrześcijańskiej, dlatego mają odrębne zdanie w tych kwestiach.

Drugie weto dotyczyło umowy handlowej UE z krajami Afryki, Karaibów i Pacyfiku. Negocjacje w sprawie tego porozumienia trwały kilka lat. By weszło w życie, powinno je ratyfikować 27 państw Unii. Budapeszt ogłosił jednak, że nie podpisze umowy. Według szefa węgierskiego MSZ Pétera Szijjártó, realizacja tej umowy spowodowałaby gwałtowny napływ do Europy imigrantów z krajów Trzeciego Świata. Dokument wprowadza też nową kategorię przybyszów, tzw. azylantów klimatycznych.

Poza tym w umowie znalazło się wiele innych zapisów, które budzą zaniepokojenie władz Węgier, m.in. zobowiązanie do realizacji Agendy 2030, porozumienia paryskiego (dekarbonizacja gospodarki), kontroli urodzin oraz poprawy zdrowia seksualnego i reprodukcyjnego (promowanie aborcji i sterylizacji), a także walki z nierównością płci (wspieranie ideologii gender) i mową nienawiści (cenzura w imię poprawności politycznej).

W ciągu bardzo krótkiego czasu Viktor Orbán dwukrotnie wystąpił więc przeciw unijnemu mainstreamowi. Z pewnością prowadzi on bardziej ambitną i asertywną politykę, niż wynikałoby to z rzeczywistego potencjału Węgier w Europie. Licytuje wysoko. Czas pokaże, czy okaże się graczem, którego karta będzie na wierzchu.

Grzegorz Górny

Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com

Utrata czujności

Liczący 24 mln mieszkańców Tajwan uchodził do niedawna za wzór walki z pandemią koronawirusa. Jednak od połowy maja wskaźniki dobowych zakażeń gwałtownie podskoczyły powyżej 400 przypadków. Wydaje się, że to niewiele, warto jednak przypomnieć, że jeszcze na początku maja na Tajwanie notowano po kilka przypadków dziennie, a w ciągu całego ubiegłego roku zanotowano tam zaledwie 800 zakażeń koronawirusem.

Było to możliwe dzięki przyjętej na wyspie strategii izolacji od świata zewnętrznego. Przy czym granice zaczęto zamykać, jeszcze zanim WHO ogłosiła pandemię. Tajwańczycy, bardzo nieufni wobec władz w Pekinie, szybko się dowiedzieli o tajemniczych zapaleniach płuc w Wuhanie i już pod koniec 2019 r. podjęli pierwsze środki zaradcze, aby nie dopuścić do przeniknięcia zarazy na wyspę. Najpierw zawieszono loty z Wuhanu, a później stopniowo zamykano granicę dla wszystkich innych, zezwalając na jej przekroczenie wyłącznie mieszkańcom oraz osobom przybywającym na Tajwan służbowo. Każdy, kto przybywał z zagranicy, musiał przedstawić negatywny wynik testu na obecność koronawirusa, przejść dwutygodniową kwarantannę w swoim domu lub – w przypadku zagranicznych gości – w specjalnie wyznaczonym hotelu. Przyjezdnych przewożono specjalną taksówką do miejsca odbywania kwarantanny, przy czym miejscowi mogli liczyć na specjalne zasiłki oraz dowóz potrzebnych zakupów. Osoby na kwarantannie musiały też przesyłać władzom sanitarnym informacje o swoim stanie zdrowia. Kontrolę kwarantanny przeprowadzano, sprawdzając kilka razy dziennie miejsce logowania telefonu. Za złamanie izolacji groziły dotkliwe kary finansowe.

Co się zatem stało, że – pomimo tych restrykcji – doszło do wzrostu liczby zakażeń? Tajwańczycy dopuścili do rozniesienia się zarazy przybyłej z zewnątrz, prawdopodobnie za pośrednictwem pilotów linii lotniczych obsługujących wyspę. Miejscowi uwierzyli po prostu, że pandemia ich omija i zaczęli lekceważyć rygory. Osobom wykazującym choroby układu oddechowego nie robiono nawet testów na koronawirusa, wychodząc z założenia, że zakażenie

nim jest zbyt mało prawdopodobne. Ponadto na wyspie praktycznie nie przeprowadzano szczepień, w rezultacie do teraz zastrzyki otrzymało zaledwie 1 proc. populacji. Inna rzecz, że sąsiednie Chiny blokowały – jak twierdzą władze Tajwanu – dostawy szczepionek na wyspę. Pekin próbuje też wywołać panikę wśród ludności, szerząc w internecie dezinformację na temat aktualnej sytuacji pandemicznej na wyspie.

W tej chwili na Tajwanie znów obowiązuje lockdown. Utrata czujności okazała się bardzo szkodliwa.

Konrad Kołodziejski

Fot. Jack Hong/Shutterstock.com

eprasa.pl 9e095ef298

USA

Tylko dla czarnych

Wyobraźmy sobie, że biała burmistrz miasta odmawia udzielania wywiadów czarnoskórym dziennikarzom. Byłby to oczywisty rasizm, za który burmistrz zostałaby rozszarpana przez liberalne media. Teraz odwróćmy sytuację. Czarnoskóra burmistrz odmawia udzielania wywiadów białym dziennikarzom. Reakcja? Niemal żadna. Liberalne i lewicowe media wyrażają „zrozumienie" dla jej stanowiska.

Wzbudzająca kontrowersje burmistrz Chicago Lori Lightfoot (na zdj.) zapowiedziała, że nie będzie do końca swojej kadencji udzielać wywiadów (w formacie jeden na jeden) białym dziennikarzom. „To wstyd, że w 2021 r. korpus prasowy ratusza jest w przeważającej większości biały w mieście, w którym ponad połowa mieszkańców identyfikuje się jako czarnoskórzy, Latynosi, AAPI (Amerykanie pochodzący z Azji i Wysp Pacyfiku) lub rdzenni Amerykanie" – napisała na Twitterze. Pierwsza czarnoskóra i otwarcie homoseksualna burmistrz miasta dodała, że jej decyzja wynika z tego, iż Ameryka stoi przed szansą „historycznego rozliczenia z systemowym rasizmem".

Tylko niektórzy dziennikarze mediów liberalnych skrytykowali panią burmistrz. Mający latynoskie korzenie Gregory Pratt z „Chicago Tribune" został akredytowany na rozmowę z Lightfoot. Poprosił jednocześnie o zniesienie zakazu dla jego białych kolegów, co spotkało się z odmową. W tej sytuacji Pratt odwołał wywiad, wyjaśniając, że politycy nie mają prawa wybierać, kto relacjonuje ich słowa. Lightfoot została też skrytykowana przez kongresmenkę Tulsi Gabbard z Partii Demokratycznej. Urodzona na Hawajach polityk nazwała decyzję burmistrz „rażącym rasizmem wobec białych". Gabbard zapowiedziała, że poprosi o interwencję prezydenta Joego Bidena oraz wiceprezydent Kamalę Harris.

Jednak słowa Lightfoot wpisują się w szerszą tendencję. Przykładowo w ostatnich tygodniach stacja NBC ogłosiła, że nie będzie nadawać transmisji z rozdania Złotych Globów, a gwiazdor Tom Cruise oddał swoje trzy Złote Globy w ramach protestu przeciwko Hollywoodzkiemu Stowarzyszeniu Prasy Zagranicznej (HFPA). Chodzi o to, że wśród 90 członków tego stowarzyszenia nie ma „różnorodności etnicznej", a od 20 lat nie zasiada w nim ani jeden czarnoskóry. Oznacza to, że najważniejsza po Oscarach nagroda filmowa może zostać zniszczona, jeżeli redakcje akredytowane w Hollywood nie zaczną wysyłać do pracy „różnorodnych etnicznie" dziennikarzy i krytyków filmowych.

Stowarzyszenie Czarnych Dziennikarzy (The National Association of Black Journalists) skomentowało decyzję burmistrz Chicago słowami, że nie można walczyć z brakiem różnorodności etnicznej, stosując rasizm wobec białych. Trudno nie przyznać temu racji.

Łukasz Adamski

Fot. Lonnie H. Chambers Jr/Shutterstock.com

Pogróżki wobec Litwy

Chiny

Chińczycy postanowili dać Litwie lekcję. „The Global Times", dziennik powiązany z nurtem „jastrzębi" w chińskiej elicie władzy, napisał w artykule redakcyjnym, że Litwa „ma radykalnie wrogie stanowisko wobec Rosji, które jest nieproporcjonalne do jej potęgi narodowej", a głównym celem polityki zagranicznej Wilna jest „zdobycie uznania Stanów Zjednoczonych". Autor artykułu ostrzegł też, że „gdy taki mały kraj jest agresywny, aktywnie stając się narzędziem rywalizacji wielkich mocarstw, to będzie miał kłopoty". Potem jeszcze padają barwne epitety w rodzaju „łajdak" na określenie politycznej pozycji Litwy oraz przypomnienie, że cała populacja naszego sąsiada jest mniejsza niż jednego prowincjonalnego miasta w Chinach.

Wściekłość chińskiego dziennika wywołała podjęta przed dziesięcioma dniami decyzja o wyjściu Litwy z formatu 17+1, będącego dyplomatyczną formułą współpracy państw Europy Środkowej z Chinami. W tym wypadku chodzi nie tylko o decyzję Wilna, ale również o wystosowany przez Gabrieliusa Landsbergisa, szefa litewskiego MSZ, a prywatnie wnuka pierwszego prezydenta Vytautasa, apel do innych państw członków Unii, aby poszły w ślady Litwy. Dodatkowo przyspieszono prace związane z otwarciem litewskiej misji handlowej na Tajwanie, a parlament w Wilnie potępił Chiny za politykę represji wobec mniejszości muzułmańskiej w Sinciangu, określając ją mianem „ludobójstwa".

Jeremiady chińskiego dziennika i lekceważenie Pekinu dla mniejszych państw nie byłyby groźne, gdyby nie partnerstwo strategiczne między Moskwą a Pekinem. Wizje porządku międzynarodowego obydwu mocarstw są w gruncie rzeczy zbieżne i sprowadzają się do uznania czołowej roli mocarstw, których dyktatowi powinni się podporządkować mniejsi gracze.

Oficjalnie przedstawiciele chińskiej dyplomacji utrzymują znacznie bardziej stonowane stanowisko. Zhao Lijian, rzecznik prasowy chińskiego MSZ, powiedział, że współpraca Chin z krajami Europy Środkowej jest „obopólnie korzystna" i „odosobnione incydenty" nie są w stanie jej zakłócić. Otwartą kwestią pozostaje odpowiedź na pytanie, które stanowisko jest bliższe istocie chińskiej polityki wobec państw naszego regionu – agresywne, zaprezentowane przez „The Global Times", czy stonowane Ministerstwa Spraw Zagranicznych?

Marek Budzisz

eprasa.pl 9e095ef298

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

TSUE likwiduje Turów...

Jan Pietrzak

...ponieważ produkuje energię dla Polski. Polacy są zbyt energiczni, jak na wymagania Brukseli. Dosyć tego rozpasania! Wystarczą im wiatraczki i lustereczka do egzystencji. Energia odnawialna. Tu dmuchną, tam przygrzeją i więcej im nie trzeba na terenach Natura. Za atakiem hiszpańskiej sędzi stoi zmowa od dawna szukająca haka, by nas łupnąć finansowo. „Parszywa dwudziestka" renegatów znad Wisły aktywnie wspiera antypolskie projekty. Zbliża się czas wypłaty funduszu odbudowy. Zblatowani biurokraci spieszą się, by Polaków oskubać. Tak się zachowują traktatowi sojusznicy i formalni przyjaciele. Coś mi to przypomina... Czyżby Związek Sowiecki i jego braterską pomoc? Cholera, ja chyba mam za dobrą pamięć!

Pamiętam, na czym polegała Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Na tym mianowicie, żeby zwasalizowane biedaki harowały na tępych i leniwych pasożytów w Moskwie. Napisałem w kabarecie Hybrydy (lata 60.) piosenkę: „Przywraca humor, uśmiech ci śle – cztery litery: RWPG!". Jak kiedyś Polska będzie wolna od cenzury, to wam zaśpiewam.

Wracając do Turowa, jeżeli możliwe jest zamknięcie z dnia na dzień wielkiego przedsiębiorstwa podpisem jednej paniusi z sitwy, to znaczy, że za miesiąc kolejny trybunalista nakaże nam zwinięcie KGHM, a za dwa miesiące spodziewajmy się zamknięcia Orlenu. Decyzją jednego człowieka, nienawidzącego Polski. A nienawistników jest sporo w okolicy. Również pośród nas się kręcą, udając polityków.

Skasowanie przemysłowego kombinatu okazuje się banalnie proste. Zniszczenie przemysłowego Donbasu, by zaszkodzić Ukrainie, wymagało sporych wydatków na „zielonych ludzików", broń i amunicję. A w Unii załatwia się to mniejszym kosztem, przy biurku. Jeśli raz im się uda ten myk, to się nie opędzimy.

Zapowiada się dynamiczny postęp w niszczeniu naszych nadziei na spokojną pracę i rozwój. Od pierwszej chwili podchwycili tę okazję p. Thun, p. Trzaskowski i im podobni. Bezpieczeństwo Polski nic dla nich nie znaczy. Kiedy już władze Czech i Polski rozwiążą sąsiedzki spór o „worek turoszowski", potraktujmy ten incydent jako ważną lekcję poglądową dla samych swoich.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Nakarmić kibica

Dominik Zdort

W dawnych dobrych czasach niektóre gazety miały codziennie dwa wydania. Poranne relacjonowało wydarzenia z dnia poprzedniego, do wieczora. Popołudniowe reasumowały to, co działo się nocą (a działo się: morderstwa, gwałty, napady!) i rankiem w dniu publikacji. Dziennikarze musieli działać szybko i mieli mnóstwo roboty.

No ale cóż, to se ne vrati. Dziś dzienniki nie muszą się spieszyć, bo i tak je wyprzedzi internet. Niektóre gazety wręcz zrezygnowały z sobotnich wydań, produkują tylko na weekendy przygotowane parę dni wcześniej magazyny, których teksty są oderwane od bieżących wydarzeń.

Nie krytykuję. Jest, jak jest, sam przeniosłem się z papieru do sieci (przymusowo i bez przyjemności, ale z powodzeniem). Takie czasy. Papierowe tygodniki wychodzące w poniedziałek wyznaczają autorom deadline'y na środę, co z natury rzeczy oznacza, że należy unikać tematów aktualnych.

Tym razem nieaktualność mi nie grozi. W minioną sobotę w finale futbolowej Ligi Mistrzów zagrały Manchester City (kapitał arabski) z Chelsea FC (kapitał rosyjski). Kiedy piszę ten tekst, nie znam wyniku, ale jedno mogę napisać z pewnością: szoku nie było. Mecz na pewno był piękny, bo aktorzy przystojni i utalentowani – choć można ubolewać, że nie było wśród nich ani Messiego, ani Ronalda, ani nawet naszego polskiego Gerda Müllera.

Ale widowisko było na pewno, i to jest najważniejsze. Futbol to spektakl. Szczególnie widać to teraz, w epoce var i kilkudziesięciu kamer 4K na stadionie.

Mogę się brzydzić petrodolarami z Emiratów czy rublami z Czukotki, ale jednemu zaprzeczyć się nie da – tak się dziś buduje najlepsze kluby: kupując świetnych piłkarzy, menedżerów, trenerów, masażystów, inwestując w ośrodki treningowe i rehabilitacyjne. Money makes the world go round.

Dlatego – wbrew wszystkim naiwnym romantykom piłki nożnej – żałuję załamania się pomysłu na europejską Superligę. Rozumiem, że federacje europejskie i światowe, jawne, tajne i dwupłciowe, które ściągały z najlepszych klubów haracze, zapłakały, kiedy usłyszały, że tysiące ich urzędasów i działaczy będą musiały szukać innej pracy, podobnie jak skorumpowani działacze PZPN z dawnej epoki. Uczta, jaką dla widzów byłyby cotygodniowe spotkania najlepszych drużyn, warta byłaby tego poświęcenia. W końcu to kibice są najważniejsi.

Panowie, nie rezygnujcie z Superligi. Może kiedyś się uda.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 9e095ef298

BRONISŁAW WILDSTEIN

Lapuerta i Thun

Wiceprezes Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej Rosario Silva de Lapuerta jednoosobowo zobowiązała Polskę do natychmiastowego zaprzestania wydobycia węgla brunatnego w Turowie, co oznacza wyłączenie funkcjonującej tam elektrowni, która dostarcza naszemu krajowi między 4 a 7 proc. energii. To środek tymczasowy do momentu wyroku TSUE w sprawie Czech przeciw Polsce, wyroku, który nie wiadomo kiedy zapadnie. Skarga została wniesiona 26 lutego 2021 r., a więc sędzia, jak na praktyki Trybunału, zareagowała bardzo szybko.

Mogliśmy się tego spodziewać. Wiceprezes znamy z 2018 r., kiedy również jednoosobowo w identycznej procedurze „zawiesiła" polską ustawę o Sądzie Najwyższym. Było to wówczas iście ekspresowe tempo nieznane organowi z Luksemburga. Sędzia podjęła decyzję po 16 dniach. Do Polski werdykt dostarczono w trybie zastępczym, inaczej musiałby zostać ogłoszony później. Chodziło o to, aby upubliczniony został jeszcze przed samorządowymi wyborami i wykorzystany w antypisowskiej propagandzie.

Wtedy Lapuerta zawiesiła przepisy dotyczące wcześniejszej emerytury sędziów. Zażądała również, aby władze naszego kraju umożliwiły tym, których sprawa dotyczy, wykonywanie ich poprzednich funkcji, a także, aby powstrzymały się od wszelkich działań zmierzających do powołania nowych sędziów i wyznaczenia kolejnego prezesa SN. Rozkazała polskiemu rządowi, aby do 30 dni zameldował, jak realizuje jej polecenia, a potem co najmniej raz w miesiącu raportował o wszystkich środkach, jakie podejmuje w tym celu. Pojedynczy sędzia ze Strasburga bez jakiejkolwiek procedury sprawdzającej decyduje o tym, jak wyglądać ma ustrój prawny naszego kraju, i każe meldować o sposobie wykonania tego rozkazu. Lapuerta zachowała się jak władca podbitego kraju. Moskwa rządziła PRL-em, a jednak pewne pozory zachowywała. TSUE nie przejmuje się nimi.

Czesi, którzy są również właścicielami kopalni w Niemczech, uznali, że skuteczną metodą utrącenia polskiej konkurencji jest wykorzystanie ekologii oraz niechęci, jaką do prawicowych władz polskich żywią instytucje UE. Pomysł, aby sprawy takie rozstrzygał sąd w Luksemburgu, jest absurdalny, ale w jakimś sensie stanowi konsekwencję skrajnej jurydyzacji życia, która faktycznie likwiduje demokratyczny ustrój. Wszystko rozstrzygać i o wszystkim decydować mają sędziowie. W tym jednak wypadku – jak i w poprzednim – Lapuerta posunęła się dalej. Zdecydowała o wyłączeniu istotnego ogniwa polskiej energetyki i posłaniu tysięcy ludzi na bruk do czasu wyroku, który zapadnie nie wiadomo kiedy. Między rządami Polski i Czech trwają rokowania, ale postawa TSUE jest jednoznaczna.

Można wyobrazić sobie, że jeśli do Lapuerty trafiłyby prejudycjalne pytania sędziów, uznałaby ona za niewiążące wyroki, które zapadały w Polsce od 2017 r. i zakazałaby funkcjonowania sądów w naszym kraju do czasu, kiedy TSUE sprawę rozstrzygnie. A jeśli PO wniosłaby do niej sprawę uchwalenia budżetu w innej sali niż zwykle – z tego powodu partia ta zaskarżyła budżet na rok 2018, tyle że do polskiego sądu – Lapuerta zablokowałaby finanse naszego państwa.

Brzmi nieprawdopodobnie? A czy jeszcze niedawno ktoś uwierzyłby, że urzędniczka TSUE zadecyduje o natychmiastowym zamknięciu jednej z większych kopalni w Polsce?

Może więc wykorzystać sędzię w sprawie Nord Streamu? Czy zablokuje fatalne ekologicznie przedsięwzięcie, które wspiera imperialną politykę Moskwy? To oczywiście niewczesny żart i tak zostałby potraktowany przez cały skład TSUE, chociaż powody do wszczęcia sprawy są nieporównywalnie poważniejsze niż w przypadku Turowa. Można wyobrazić sobie solidarne oburzenie wszystkich polityków niemieckich, gdyby kwestia ta pojawiła się na wokandzie w Luksemburgu. I tu jest pies pogrzebany. Polscy (?) politycy opozycji piszą wprost, że do werdyktu Lapuerty trzeba się dostosować, a tak w ogóle to odpowiada zań PiS. Skoro potrafią napisać, że ponosi ono winę za zatrzymanie samolotu Ryanair przez Łukaszenkę...

Wszystkie jednak rekordy pobiła Róża Thun. „Brawo pani sędzio" – zatweetowała. Nie liczy się polski interes, nie liczą się losy tysięcy górników i ich rodzin – byle na złość rządzącym. Biorąc pod uwagę arystokratyczne parantele obu pań, można założyć ich wynikającą z poczucia klasowej solidarności zażyłość i wyobrazić sobie, jak u fryzjera uzgadniają, co zrobić, aby utrącić rządy tych, którzy nie są z ich salonu. Koszty się nie liczą.

Skąd się bierze ten typ nienawistnego zaprzaństwa jak u Thun? Jakie procesy zachodzą w psychice osobnika, które obnosi się z tego typu postawą? Kto będzie na nią głosował i co mówi to o jej zwolennikach?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9e095ef298

Walizka Anny Popek

dziennikarki, pisarki, reżyserki

Podróżuję głównie po Polsce, najczęściej przy okazji spraw zawodowych. Trudno jest wtedy w pełni nasycić się pięknem okolicy i odpocząć, bo – wiadomo – praca. Ale zdarzają mi się wyjazdy typowo urlopowe. Ostatnio z córkami pojechałyśmy na południe Polski, chciałam im pokazać mniej znane, ale piękne miejsca. Odwiedziłyśmy wieś Zalipie, chodziłyśmy po Pieninach, płynęłyśmy tratwami po Dunajcu, pojechałyśmy do Jaskini Lodowej na Słowację oraz zwiedziłyśmy Czerwony Klasztor.

GÓRSKIE BUTY

Nie lubię zbyt długo leżeć na plaży, więc po dwóch, trzech dniach wyruszam w drogę, by poznać okolicę i coś zwiedzić. Lubię zaglądać w ciekawe miejsca w górach czy na równinach i zdobywać to, co jest do zdobycia.

KAPELUSZ

Jest mi potrzebny do czytania na plaży. Gdy już leżę na piasku, to uwielbiam czytać. Duże rondo daje cień, dzięki któremu nie męczę oczu podczas lektury.

CZARNA SUKIENKA

Piękna, bardzo sexy na wieczór. Nigdy nie wiadomo, jaka trafi się okazja, więc warto mieć ładną czarną koronkę. Zaprojektowana przez córkę Beaty Kozidrak pod brandem Modlishka.

BIAŁA SUKIENKA

Polskiej marki Angell. Bezpretensjonalna, dziewczęca i zwiewna. Jest po to, żeby zejść w niej na śniadanie. Wygodna na spacery i zwiedzanie.

BUTY NA OBCASIE

Są konieczne, bo wieczór, dyskoteka czy elegancka kolacja wymagają szpilek. Bez nich się nie ruszam. Kobieta może mieć zwykłą bawełnianą sukieneczkę, ale gdy ma szpilki, wygląda elegancko.

eprasa.pl 9e095ef298

KOLIA

Nie ma sensu zabierać z sobą całej kolekcji biżuterii, dlatego w podróż biorę tylko tę efektowną kolię, prezent od mojej koleżanki. Wystarczy ją założyć, nawet do prostego T-shirtu, i odmienia ona nasz wygląd.

BRANSOLETKA

Miedziana. Miałam kiedyś kręcić dokument o odkrywcy polskiej miedzi – Janie Wyżykowskim. Wybitny geolog, który wbrew opinii wszystkich wskazał dokładne miejsce, gdzie znajdują się złoża rud tego metalu. To były czasy komuny i bezpardonowo zabrali mu jego odkrycie. Film nie powstał, ale słabość do miedzi została.

OPASKA NA WŁOSY

Nie lubię, gdy włosy wpadają mi do oczu, więc ona ma za zadanie dyscyplinować fryzurę. Wzory afrykańskie nie są przypadkowe, ponieważ WAAW For Colors przekazuje dochód ze sprzedaży na Helping Children In Need w Afryce.

NOŻYK DO PAPIERU

Przydaje się w różnych sytuacjach. Czasami trzeba coś odciąć, czasami obronić np. przed nosorożcem.

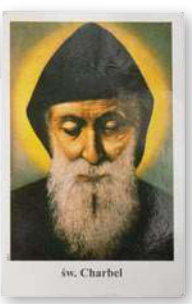

ŚW. CHARBEL

Jadę do Libanu do św. Charbela podziękować. Ten święty uratował moją Mamę. Była ona w bardzo ciężkim stanie pod respiratorem po trudnej operacji serca. W momencie gdy zaczęliśmy się modlić do św. Charbela, Mama zaczęła samodzielnie oddychać.

KOSTIUM KĄPIELOWY

Zawsze biorę dwa albo trzy, bo uwielbiam pływać i pływam wszędzie, bez względu na porę roku. Dwa lata temu zdobyłam złoty medal w Mistrzostwach Europy w Pływaniu na Czas w Zimnej Wodzie przy 4 st. Celsjusza.

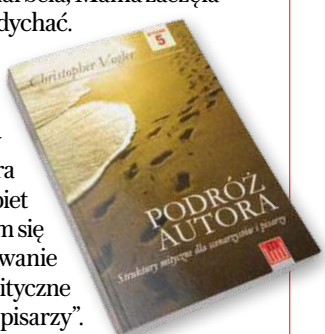

LEKTURA

Zrobiłam kiedyś film o śląskim Kopciuszku, poświęcony losom Joanny Gryzik, ubożuchnej sieroty, która stała się jedną z najbogatszych kobiet w Europie. Jako reżyser musiałam się trochę natrudzić, stąd moje zainteresowanie książką „Podróż autora – struktury mityczne dla scenarzystów i pisarzy".

LORNETKA

Jako dziecko z wypiekami na twarzy czytałam „20 000 mil podmorskiej żeglugi" Juliusza Verne'a. Po niej pozostała mi fascynacja XIX-wieczną techniką. Lornetka w walizce pełni funkcję sentymentalno-symboliczną, dzięki której czuję się jak podróżnik, a nie turysta.

CZERWONY BŁYSZCZYK

Prosty sposób na wakacyjny make-up – bez ciężkich podkładów, malowania oczu i... straty czasu.

KREM

Próbuję różnych kremów, ten akurat jest polski i ma ciekawy skład. Producentka RegCare gwarantuje, że w kremie nie ma nic poza tym, co służy naszej skórze. Lubię polskie kremy i chętnie je promuję za granicą.

ESPRESSO

Mam taki rytuał przed wyjazdem, że lubię wpaść do mojej ulubionej kawiarenki Porta 13. Tam wypijam espresso, żeby dodać sobie animuszu i wyruszyć w daleki świat.

KOLCZYKI

Też polskiej firmy, a jakże. Lamimi. Zakładam je np. na plażę. Do tego biały kostium, kapelusz i czuję się jak hollywoodzka gwiazda.

Wysłuchał i zapisał:
Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9e095ef298

OGNIEM NA WPROST

Niewdzięcznicy według Łukaszenki

Klaudia Jachira nie odpuszcza. Najnowszy konflikt polsko-czeski o Kopalnię Turów, a w zasadzie jej wygaszenie, stał się dla posłanki Koalicji Obywatelskiej inspiracją do postawienia pytania: „Jakie to szczęście, że za sąsiadów mamy Czechów. Wyobrażacie sobie, co by się działo, gdyby tak Polska graniczyła z Polską". Tym razem komentarze innych twitterowiczów były wyjątkowo celne. Pierwszy: „Śmialibyśmy się, że nasz sąsiad ma najgłupszą opozycję na świecie. POmogłem???" – napisał PikuśPOL. Drugi: „Kaligula mianował swojego konia senatorem, a PO Jachirę posłem". „Koń to przynajmniej mądre zwierzę" – dodał inny. Od siebie dodam: „Dwóch Jachir Grupa Wyszehradzka nie wytrzymałaby".

Aleksander Łukaszenka, zwany również złośliwie Bat'ko (ojczulek), bardzo troszczy się o nasz kraj. Ostatnio w związku z porwaniem samolotu Ryanaira i nałożonymi na Białoruś sankcjami zwołał deputowanych wyższej i niższej izby parlamentu, członków rządu, urzędników oraz gubernatorów, żeby podzielić się z nimi swoimi przemyśleniami. Dalej upiera się przy tezie, że to bomba na pokładzie była powodem zmuszenia samolotu do międzylądowania w Mińsku, a sankcjom i wszystkiemu innemu złemu winna jest Polska. Dodajmy – niewdzięczna Polska, bo to przecież nie kto inny, jak tylko Białoruś powstrzymywała napór fali emigrantów na nasz kraj, ale nie tylko. Również tony narkotycznych substancji wyłapanych dzielnie przez białoruskich celników ratowały polską młodzież przed degrengoladą. „Teraz sami będziecie ich łapali" – stwierdził kategorycznie w akcie zemsty. A może by tak zablokować mu przejazd tirami przez Polskę, Litwę, Łotwę i Estonię? Będzie musiał wysyłać swój eksport przez Finlandię. Może mu wtedy wreszcie coś przemówi do rozsądku?

Zespół Big Cyc wydał nową wersję starego utworu z lat 90. – „Makumba". Wykonania coveru podjęli się uczniowie African Music School. To młode sympatyczne Murzynki z Republiki Środkowoafrykańskiej, które swoim śpiewem pod kierownictwem polskiego misjonarza promują muzykę zamiast tak popularnych w ich kraju kałasznikowów. Trzech z nich gra na saksie, jeden na bębnach, są ze cztery gitarki i całkiem zgrabnie im to wychodzi. Również nowy tekst, który napisał Norbert Wardawy, niesie z sobą pozytywne przesłanie. Oto próbka: „Cześć, jestem Clother i jestem z »Africa«/Nie ma tu nic, tylko kurz na ulicach/Żyraf i słoni od dawna tu nie ma. Ogólnie to wielka bieda/Pewnego dnia pojawił się »białas«. Powiedział, że zrobi tu hałas/On nas nauczył, by w naszej dłoni znalazł się instrument zamiast broni". Ale nie! „Gazeta Wyborcza" jest innego zdania. Według Czerskiej ta piosenka to żenada. Jest rasistowska. Znaleźli jakąś tiktokerkę o ksywie czy nazwisku Bella Ćwir, której pierwsza wersja „Makumby" zmarnowała życie, bo ponoć „naznaczyła jej dzieciństwo". Teraz twierdzi na łamach, że najnowsze wykonanie jest „obleśne". Nie ma jak ponury klimat wymuszonej poprawności politycznej rodem z redakcji „Wyborczej". Czytając ich, odnosi się wrażenie, że politpoprawna duchota jest cięższa niż środkowoafrykańskie powietrze.

W litewskim Sejmie po burzliwej debacie głosowano antyrodzinną ustawę o związkach partnerskich. Co ciekawe, oprócz liberałów forsowali ją tzw. konserwatyści (współczesna wersja dawnej chadecji). Aż 33 posłów Partii Konserwatywnej, kierowanej przez Gabriela Landsbergisa, głosowało za projektem, tylko 12 było przeciw, 3 konserwatystów zdecydowało się wstrzymać od głosu, a 2 posłów tej partii w ogóle nie uczestniczyło w tak ważnym głosowaniu. Nie trzeba dodawać, że wszyscy członkowie frakcji Partii Wolności (liberałowie) – w liczbie 11 – głosowali za. Przeważyły głosy trzech parlamentarzystów z AWPL-ZChR (frakcja skupiająca Polaków na Litwie) i były decydujące w tym ważnym dla Litwy głosowaniu. Dzięki nim nowe prawo nie mogło zostać uchwalone. Pozostaje tylko podziękować.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9e095ef298

Dobro dziecka naczelnym dobrem

Marta Kaczyńska-Zielińska

Dobro dziecka jest jedną z fundamentalnych zasad prawa rodzinnego. Przepisy nie zawierają definicji tego pojęcia. Zarówno w orzecznictwie, jak i doktrynie opisano jednak wiele okoliczności określających, jak należy rozumieć tę nadrzędną regułę.

Zdaniem Stanisława Kołodziejskiego dobro dziecka należy traktować jako „zespół wartości, zarówno duchowych, jak i materialnych, jakie konieczne są do prawidłowego: rozwoju fizycznego dziecka, rozwoju duchowego dziecka, i to w jego aspekcie zarówno intelektualnym, jak i moralnym, należytego przygotowania go do pracy dla dobra społeczeństwa". Idzie zatem nie tylko o aktualną sytuację dziecka, lecz również o jego przyszłość. Zapewnienie dobra dziecka wymaga indywidualnej oceny, wzięcia pod uwagę jego wieku, płci, stanu zdrowia, uzdolnień, cech charakterologicznych, wrażliwości oraz więzi uczuciowych łączących je z bliskimi. Interes dziecka decyduje o tym, jak rodzice i opiekunowie powinni wykonywać swoje obowiązki względem dzieci i rodziny. Każdy podmiot rozstrzygający sprawę dziecka lub zajmujący się nim ma obowiązek uwzględnić jego dobro, nawet jeżeli w konkretnym wypadku przepisy prawa rodzinnego nie odwołują się wprost do wspomnianego pojęcia.

Art. 72 Konstytucji RP stanowi o zasadzie dobra dziecka i ustanawia obowiązek państwa zapewnienia ochrony praw dziecka, prawo do opieki i pomocy władz publicznych dziecka pozbawionego opieki rodzicielskiej, obowiązek państwa ochrony dziecka przed przemocą, okrucieństwem, wyzyskiem i demoralizacją, a ponadto obowiązek władz publicznych oraz osób odpowiedzialnych za dziecko do wysłuchania i w miarę możliwości do uwzględnienia zdania dziecka w toku ustalania praw dziecka. Dzięki wprowadzeniu instytucji skargi nadzwyczajnej w polskim postępowaniu sądowym strony zyskały dodatkową ścieżkę prawną zapewniającą ochronę dobra dziecka w sprawach, które do niedawna mogły uchodzić za beznadziejne. Dowodzi tego najnowsze orzecznictwo.

W kwietniu br. Sąd Najwyższy w Izbie Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych uwzględnił skargę nadzwyczajną na postanowienie Sądu Okręgowego oddalające apelację od postanowienia Sądu Rejonowego nakazującego matce, obywatelce Polski i Irlandii, wydanie dwóch urodzonych w Polsce małoletnich synów do Irlandii. SN uznał, że poważne ryzyko przemocy względem dziecka, a wyjątkowo również względem rodzica, który dopuścił się bezprawnego zatrzymania lub jego uprowadzenia, uzasadnia odmowę powrotu dziecka do miejsca zamieszkania i tym samym uwzględniła skargę nadzwyczajną na rzecz matki, która była maltretowana przez męża. Sprawa dotyczyła małżeństwa Polki z obcokrajowcem zawartego w Irlandii. W latach 2014–2016 matka w trakcie pobytu w Irlandii doświadczała przemocy ze strony ojca dzieci. Sąd w Dublinie zakazał mężczyźnie zbliżania się do matki oraz dzieci, odmówił jednak wyrażenia zgody na stałą relokację dzieci do Polski, zezwalając kobiecie jedynie na tymczasowy wyjazd z dziećmi do kraju. Matka nie wróciła z dziećmi do Irlandii. W 2017 r. ojciec dzieci złożył do Sądu Rejonowego w Polsce wniosek o wydanie dziecka do Irlandii w trybie konwencji haskiej dotyczącej cywilnych aspektów uprowadzenia dziecka za granicę. Wniosek został uwzględniony, a apelacje matki oddalono.

SN uwzględnił jeden z zarzutów skargi nadzwyczajnej. W jego ocenie przemieszczenie dzieci przez matkę należało ocenić jako bezprawne w świetle art. 3 lit. a konwencji, ale stwierdził, że podstawową zasadą prawa polskiego i międzynarodowego jest wspomniana zasada dobra dziecka. Powołał się na art. 72 ust. 1 ustawy zasadniczej nakazujący ochronę interesów małoletniego i wymagający przeciwdziałania patologiom, które zagrażają fizycznemu, psychicznemu i moralnemu dobrostanowi dziecka, a w szczególności przemocy. Art. 72 ust. 3 Konstytucji RP wymaga ochrony dziecka przed przemocą domową oraz przestępstwami przeciwko rodzinie. SN stwierdził, że obserwowanie zarówno samych aktów przemocy wobec matki, jak i jej skutków ma wpływ na rozwój i postawy dziecka.

Naszemu Koledze

Konradowi Kołodziejskiemu

Najszczersze wyrazy współczucia

i słowa otuchy

W trudnych chwilach po śmierci

TATY

składają

koleżanki i koledzy z tygodnika „Sieci",

portalu wPolityce.pl i telewizji wPolsce.pl

eprasa.pl 9e095ef298

RZECZY POSPOLITE

Powaga habitu

Tomasz Łysiak

Zdumiałem się, widząc wywiad, którego udzielił w internecie dominikanin o. Adam Szustak. Nie chodzi mi już tylko o jego, takie czy inne, opinie, które jedni nazywają progresywizmem, drudzy modernizmem w Kościele. Chodzi mi bardziej o formę, gdyż kapłan – jak widać na nagraniu – klnie. I chociaż czyni to niby „bezgłośnie", to doskonale wiadomo, jakie słowo pada z jego z ust. I to, co gorsza, w trakcie krytyki episkopatu, który jedynie chce, by ludzie zaczęli na powrót chodzić do kościoła. Wszystko mi jedno, co o. Szustak myśli o decyzjach czy apelach episkopatu – moim zdaniem forma jego wypowiedzi jest po prostu skandaliczna. Nie przystoi! Nie przystoi, gdy jest się księdzem i gdy w habicie – a zatem w trakcie służby kapłańskiej, świadomie, przed mikrofonem i kamerą – udziela się wypowiedzi publicznej.

Niektórzy mówią – gorsze od formy są treści, ja jednak uważam, że te kwestie formalne także są ważne. I nie kupuję argumentu „kto nigdy nie zaklął, niech pierwszy rzuci kamieniem".

Otóż może się to wydawać niektórym dziwne, ale są ludzie, którzy nie klną. Istnieją! Ale jak widać, coraz to rzadsze przypadki.

Ze zdumieniem, wielokrotnie, spotykałem się – np. w środowiskach filmowców, dziennikarzy, aktorów, reżyserów, ludzi ze świata kultury – z potokiem słów, który stawia włosy na głowie. Jest on często w całkowitej sprzeczności z tym, co potem słyszy się z ekranu telewizora, gdy taki artysta wypowiada się jako autorytet.

Są dla mnie również zawsze szokujące te nagrania, wykonane po kryjomu, na których słychać polityków, biznesmenów, członków elit, używających języka spod budki z piwem.

W dodatku bardziej mnie dziwią takie słowa w ustach polityków prawicy, konserwatystów niż lewicowców anarchizujących i wulgaryzujących przestrzeń publiczną niejako z założenia.

Jeśli ktoś sprawuje zawód tzw. zaufania społecznego – jest nauczycielem, księdzem, profesorem uniwersyteckim, to obowiązuje go pewien kodeks zachowań społecznych na co dzień, nie tylko gdy wypowiada się publicznie. Zawsze było to oczywiste. Czy komuś wpadłoby do głowy, by zacny profesor uniwersytecki w udzielanym wywiadzie klął jak szewc? Nie. Bo nie jest szewcem, lecz profesorem. Tak jest też z kapłanami. Habit zobowiązuje. Coś znaczy. Ten, kto wypowiada się w habicie, niesie z sobą obraz Kościoła, instytucji, ten jest Kościołem. I dlatego pewnych słów nie powinien używać. Szczególnie publicznie.

Wracamy z festiwalem

Z Wojciechem Majcherkiem, kuratorem 41. Warszawskich Spotkań Teatralnych, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Cieszy się pan?

Wojciech Majcherek: Każda edycja WST to święto, ale tej towarzyszy szczególna radość, ponieważ wracamy z festiwalem po przerwie spowodowanej pandemią. Bardzo już chcieliśmy zaprosić najlepsze przedstawienia z kraju i ponowić tę jedyną w swoim rodzaju okazję spotkania z warszawską publicznością.

Co znalazło się w programie?

Mamy sześć spektakli. Są wśród nich prace znanych twórców: Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego („Jeńczyna" ze Starego Teatru w Krakowie), Wiktora Rubina i Jolanty Janiczak („I tak nikt mi nie uwierzy" z teatru w Gnieźnie), Jana Klaty („Dług" z Nowego w Krakowie). Ale też pokażemy przedstawienia twórców debiutujących na WST: Radka Stępnia („Matka" Witkacego z Nowego w Poznaniu), Franciszka Szumińskiego („Śmierć Iwana Iljicza" Tołstoja z gdańskiego Wybrzeża), Jędrzeja Piaskowskiego („Nad Niemnem" Orzeszkowej z Teatru im. Osterwy w Lublinie).

Jak będzie działać hybrydowa formuła tej edycji?

Widzom, którzy nie będą mogli przybyć na festiwal, stworzyliśmy możliwość zobaczenia prawie wszystkich spektakli w internecie. Dodatkowo w programie online znalazły się słynny „Bokser" – adaptacja „Króla" Twardocha, zrealizowana przez Ewelinę Marciniak w Thalia Theater w Hamburgu, oraz „Fanny i Aleksander" Bergmana z Teatru Modrzejewskiej w Legnicy. Teatr Dramatyczny zaprezentuje swój „Protest" Havla.

Więcej informacji, również o biletach i karnetach, na stronie 41. WST: www.warszawskie.org.

Fot. Kasia Chmura-Cegielkowska/Teatralna.com

eprasa.pl 9e095ef298

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa mediaIna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, WOJTEK LASKI/EAST NEWS, AFP/EASTNEWS, EASTNEWS, ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PAP, SHUTTERSTOCK

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

nasz sondaż

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

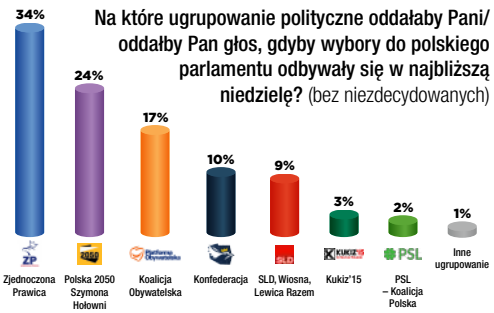

Czy Polacy zarabiający znacznie powyżej średniej krajowej (np. powyżej 12 tys. brutto) powinni płacić procentowo wyższe podatki niż osoby mające średnie i niskie zarobki?

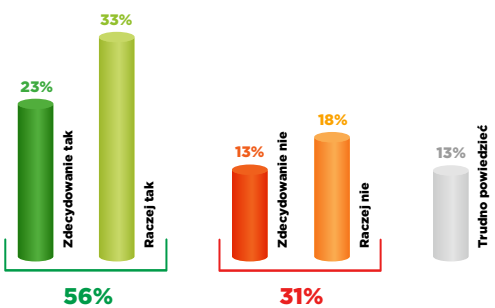

Czy popiera Pani/Pan budowę elektrowni atomowych w Polsce w związku z coraz wyższymi opłatami związanymi z produkcją energii elektrycznej z węgla?

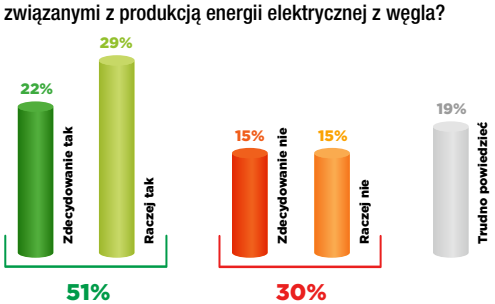

Jaki wynik według Pani/Pana uzyska polska reprezentacja piłki nożnej podczas najbliższych mistrzostw Europy w czerwcu tego roku?

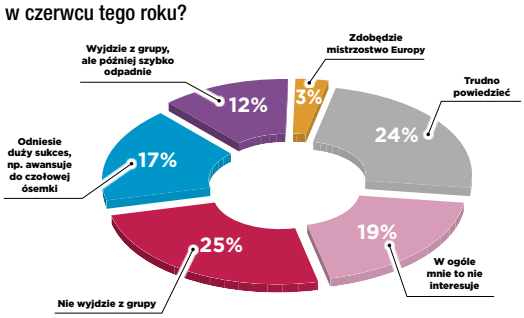

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1088.

Zakres czasowy badania 21–24 maja 2021 r.

eprasa.pl 9e095ef298

Wstydźcie się!

Widzieliśmy twarz zatłuczonego człowieka. Czy zwłoki po sekcji mają asymetrycznie zdeformowaną twarz? Czy mają wgnieciony łuk brwiowy, jakby ktoś przyłożył człowiekowi twardym przedmiotem? Dlaczego esbecja sprowadzała śledztwo na fałszywe tory – bo gdyby to był wypadek, to po co mieliby to robić?

O wielkich manipulacjach gazety Adama Michnika i innych dominujących środowisk III RP dotyczących polskiej historii Jakubowi Maciejewskiemu opowiada Bronisław Wildstein

Czy przez te 44 lata Stanisław Pyjas zatarł się w pańskiej pamięci?

Bronisław Wildstein: Gdy go zamordowano, miałem 25 lat, on był rok młodszy. Byliśmy dorosłymi ludźmi, świetnie się znaliśmy, jego wczesna śmierć sprawiła, że jeszcze mocniej zapadł w pamięć.

Noc z 6 na 7 maja spędził pan u „trzeciego kumpla", Lesława Maleszki. Rano wyszedł pan od niego z mieszkania. Jak się pan dowiedział o Staszku?

Powiedział mi o tym mój kolega, nieżyjący już, Mirek Kwiek. „Ubecja zabiła Staszka" – usłyszałem. Byłem w szoku, ale nie chciałem w to wierzyć. Poszedłem do akademika i stamtąd z moją narzeczoną, dziś żoną, oraz z naszym przyjacielem poszliśmy do zakładu medycyny sądowej. Domyśliłem się, że zwłoki są w prosektorium. Udałem się do tamtejszego ciecia, którego zapewniłem, że jestem bratem zmarłego, dałem mu pieniądze i on mnie wpuścił. Wtedy zobaczyłem ciało przyjaciela.

Co dokładnie pan zobaczył?

Nie tylko ja, cała nasza trójka to zobaczyła. Widzieliśmy twarz zatłuczonego człowieka.

Szydercy dziś twierdzą, że nie zrozumieliście podstawowej sprawy – to były zwłoki po sekcji.

Tak? A czy zwłoki po sekcji mają asymetrycznie zdeformowaną twarz? Czy mają wgnieciony łuk brwiowy, jakby ktoś przyłożył człowiekowi twardym przedmiotem? Ja trochę trenowałem boks, więc intuicyjnie zwróciłem uwagę na to, że to lewa część twarzy była bardziej zmasakrowana – co jest naturalne, gdy atakujący jest praworęczny. Ale oczywiście to są drugorzędne sprawy, bo o udziale bezpieki w tej śmierci świadczy więcej szczegółów.

Wróciliście do akademika, powiedzieliście przyjaciołom, co widzieliście. Co było dalej?

Zaczął się dziwny czas. Pamiętam, że na pogrzeb Staszka w Gilowicach jechali za nami esbecy. Wcale się z tym nie kryli, to był rodzaj demonstracji siły. Na pogrzebie zrobili nam wręcz eskortę. Szybko zdecydowaliśmy, że trzeba jakoś zamanifestować, obwieścić, co się stało i naszą niezgodę. Postanowiliśmy okres studenckiej zabawy zmienić w „czarne juwenalia". Nastąpiły te trzy wyjątkowe dni rozwieszania ulotek, marszów i niekończących się rozmów z ludźmi na ulicach, a także starć z esbekami i strażą juwenaliową, w której mieszkańcy Krakowa stawali po naszej stronie. Nie pamiętam, kto wpadł na pomysł, by powoływany właśnie Studencki Komitet Solidarności nazwać imieniem Staszka Pyjasa. Ja byłem przeciwny. Być może rozumowałem błędnie, ale wydawało mi się, że skoro i tak będziemy dochodzić do prawdy o jego zabiciu, uznałem, że to nosiłoby znamiona wykorzystywania śmierci przyjaciela.

I tak się zaczęło nasze życie opozycyjne...

Ani w tej odpowiedzi, ani w innych opowieściach nie znajduję śladu, byście wspominali swoją koleżankę...

Tak?

Marię Sochę.

Nie wiem, o kim mowa.

Dziś Maria Anna Potocka, dyrektorka krakowskiego muzeum i współautorka książki o Staszku Pyjasie. To ona twierdzi, że SB na pewno nie zabiła Staszka. Zapewnia też, że znała i Pyjasa, i jego grupę, także pana.

Zupełnie tej osoby nie pamiętam. Nie jest wykluczone, że pojawiła się gdzieś w szerszym kręgu postaci, które nas otaczały, przecież przez SKS przewijało się mnóstwo ludzi, ale akurat pani Potockiej nie kojarzę.

Pan podobno odmówił jej napisania tekstu do tej książki o Pyjasie?

Nie wiem czy jej. Zadzwoniła do mnie jakaś kobieta i dość nonszalancko powiedziała, że w Bunkrze Sztuki robią wystawę o Pyjasie i zrobią później publikację. „I mamy już – tak powiedziała

eprasa.pl 9e095ef298

– wypowiedzi Maleszki, Szostkiewicza" i tak dalej. „Pan też się może wypowiedzieć" – wspomniała. Tak to brzmiało. Ja jej odpowiedziałem, że w takim razie podziękuję.

Czyli osoba, której ani pan, ani Bogusław Sonik, ani inne osoby ze ścisłego grona SKS nie pamiętacie z tamtych czasów, wydaje książkę, w której bez żadnych dokumentów rozstrzyga, jak zginął Pyjas, twierdzi, że Maleszka jest wybitnym zagubionym intelektualistą, a pan jest największym złem w tym gronie. Potem powtarza to Wojciech Czuchnowski w „Gazecie Wyborczej" i cały dramat nazywa prawicowym mitem, właściwie to wyssanym z palca. O co tu chodzi?

To jest uderzenie w coś więcej niż w historię Staszka, moją czy SKS. To jest podkopywanie fundamentów naszej tożsamości – prawa do prawdy i do pamięci. Taka gorliwość reinterpretacji historii pojawia się za każdym razem, gdy jakieś wydarzenie z przeszłości zaczyna nas kształtować. Oto w rocznicę zamordowania Witolda Pileckiego w „Gazecie Wyborczej" pojawia się artykuł, w którym wizerunek „Ochotnika do Auschwitz" też zostaje zakwestionowany. Autor robi to z użyciem groteskowych argumentów, że niby Pilecki w obozie współdziałał z ludźmi, którzy z kolei współpracowali z Niemcami. To jest taka manipulacja, że nie starczyłoby nam czasu, by ją wyjaśnić. Krótko: bohater musi w celu wykonania zadania działać w ramach tamtejszych realiów. Ale to tych autorów nie interesuje – chodzi tylko o to, by zasiać wątpliwość, zakwestionować dokonania, nieważne za pomocą faktów czy kłamstw.

To jest uderzenie w coś więcej niż w historię Staszka, moją czy SKS. To jest podkopywanie fundamentów naszej tożsamości – prawa do prawdy i do pamięci. Taka gorliwość reinterpretacji historii pojawia się za każdym razem, gdy jakieś wydarzenie z przeszłości zaczyna nas kształtować

To chyba dotyczy i spraw jednostkowych, jak zabójstwo Pyjasa, i masowych, jak II wojna światowa.

Niedawno Jarosław Kurski, czyli obecnie realny szef „Wyborczej", i inny dziennikarz z jej ścisłego kierownictwa Bartosz Wieliński przeprowadzili wywiad z prof. Janem Grabowskim. I w tej rozmowie nie pada ani jedno pytanie, ani najmniejsza wzmianka o manipulacjach i przekłamaniach, które zostały mu udowodnione.

O kłamstwach w publikacjach Grabowskiego?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9e095ef298

Przyjmijmy nawet wersję łagodniejszą, która moim zdaniem odbiega od rzeczywistości, mówmy o błędach, nieścisłościach, dwuznacznościach. Bo przecież jest o co pytać, skoro wobec publikacji Grabowskiego jest tyle uzasadnionych zarzutów. Myśli pan, że rozmówcy o cokolwiek z tych spraw zapytali? Skądże! Wszystko kręci się wokół złej władzy PiS, która cenzuruje wielkiego wybitnego historyka. To jest wywiad przeprowadzony na kolanach, który jednocześnie narusza wszelkie reguły sztuki dziennikarskiej i szerzej, powinności, jakie media mają wobec swoich odbiorców.

Nie ma ani jednej pozytywnej rzeczy w polskiej historii, którą by zostawili w spokoju?

Nie ma. Ciekawym przypadkiem jest to, co III RP zrobiła ze Zbigniewem Herbertem. Literaturoznawca, wybitny specjalista od tego poety, prof. Józef Ruszar nazwał w sensie objętościowym wielką monografię Herberta napisaną przez Andrzeja Franaszka mordem w aksamitnych rękawiczkach. Po upadku komunizmu dominujące środowiska III RP dokonały tego, co wcześniej wydawało się niemożliwe, zamilczały Herberta z powodu jego niewłaściwych poglądów politycznych, przy okazji snując insynuację o jego obłędzie, a o jego świetnych, ukazujących się wtedy tomikach poetyckich, nic, cisza. Ale po jego śmierci rozpoczęła się akcja przejmowania Herberta. Dzisiaj salony próbują zawłaszczać autora „Pana Cogito", bo taki wybitny poeta, pisarz, intelektualista, ale w czasie ostatnich ośmiu lat jego życia i wybitnej twórczości ci sami ludzie potrafili zupełnie tego nie dostrzegać.

Bo przecież on ich nie znosił!

I tutaj pojawia się ten wyjątek. Herbert był wybitny, ale w tej sprawie, według nich, cierpiał na, nazwijmy to, punktową schizofrenię. W prawie wszystkich aspektach wielki i przenikliwy Herbert, w ocenie establishmentu i stanu rzeczy III RP okazał się zupełnym wariatem. Przypomina to trochę jednostkę chorobową, którą wymyśliła sowiecka psychiatria po to, aby w „psychuszkach" zamykać dysydentów, „schizofrenię bezobjawową", tylko w przypadku Herberta mielibyśmy „schizofrenię punktową".

Jednak to ich człowiek napisał potężną dwutomową biografię księcia poetów.

Byłem nawet na spotkaniu na Targach Książki we Lwowie, na którym Franaszek zrobił ze Zbigniewa Herberta piewcę wielokulturowości. To jest niedorzeczny anachronizm, bo oczywiście w dawnej Rzeczypospolitej było wiele kultur, ale przecież była ta jedna, polska, dominująca, która akceptowała różnorodność, sama pozostając najważniejszą ramową konstrukcją.

> Niedawno Jarosław Kurski, czyli obecnie realny szef „Wyborczej", i inny dziennikarz z jej ścisłego kierownictwa Bartosz Wieliński przeprowadzili wywiad z prof. Janem Grabowskim. I w tej rozmowie nie pada ani jedno pytanie, ani najmniejsza wzmianka, o manipulacjach i przekłamaniach, które zostały mu udowodnione

Nie ma społeczeństwa naprawdę wielokulturowego, bo musi istnieć forma je integrująca. Jeśli istnieją różne równoprawne kultury, to one wchodzą w konflikt albo w najlepszym wypadku egzystują obok siebie. A tutaj mamy nie tylko jakąś bajeczną opowieść o sielankowej wielokulturowości, ale i Herbert nagle odnajduje się jako jej wyznawca, co ma czynić go stronnikiem dominującej dziś ideologii.

Skąd ten upór w reinterpretowaniu polskiej historii?

Takie myślenie jest częścią szerszego zjawiska, dominującej na Zachodzie ideologii, która nawet doczekała się dziś adekwatnej nazwy, z dumą głoszoną przez zwolenników cancel culture, czyli likwidacją kultury. To podstawowy zabieg uderzenia w tożsamość. Dokonywane jest to różnymi metodami, ale zawsze w myśl zasady emancypacji, uwalniania człowieka od wszelkich tożsamości, co sprowadza się do zredukowania go do samotnej i bezbronnej jednostki. Zdaniem rzeczników emancypacji dopiero takie „oswobodzenie" człowieka z tradycyjnych, „opresywnych" form cywilizacyjnych ma uwolnić w nim jego autentyczny potencjał. To oczywiste nieporozumienie, bo człowiek istnieje dzięki kulturze, w konkretnych jej wspólnotowych wcieleniach.

A w Polsce?

To bardzo charakterystyczne, jak dawni komuniści z PRL przechrzcili się na tych wyemancypowanych liberałów. Nie wymagało to od nich szczególnego przeistoczenia, co świetnie ujął Ryszard Legutko w książce „Triumf człowieka pospolitego", w której zestawił komunistów i liberałów jako tych, którzy chcą zasadniczo przetworzyć naturę człowieka. Komunizm robi to brutalnie, bezpośrednio, za pomocą siły, a liberalizm łagodniej, głównie za pomocą przemocy symbolicznej. Człowieka trzeba tak zawstydzić, żeby sam swoją przynależność odrzucił, żeby uznał, że ta wspólnota jest nic nie warta. Temu służy pedagogika wstydu, termin, który ukułem 13 lat temu, a który obecnie wszedł już do języka debaty publicznej.

I to się dzieje na konkretnych przypadkach, o których rozmawiamy.

Próbują nam wmówić, że wszystkie tradycje są złe, bohaterowie wymyśleni, to wszystko mitologia, której trzeba się pozbyć w imię lepszego jutra. Jednocześnie ideologie są idealnym wehikułem, który ma ich wynieść do władzy. Po przetoczeniu się walca postępu człowiek pozostaje samotny naprzeciw zorganizowanych sił emancypacji. I nie ma z nimi szans.

eprasa.pl 9e095ef298

Czyli teraz ten wielki mechanizm zawstydzania i dekonstruowania świata dopadł raz jeszcze Staszka Pyjasa.

To jest do bólu przewidywalne. Nie czytałem tej książki, którą trzyma pan w rękach, a wiem, co napisali w niej Romanowski, Szostkiewicz, Maleszka, co jest w tekście Widackiego, bo oni zawsze powtarzają te wielokrotnie obalane tezy. Nie odpowiadają na pytania, dlaczego esbecja sprowadzała śledztwo na fałszywe tory – bo gdyby to był wypadek, to po co mieliby to robić? Nie wyjaśniają dziwnych zdarzeń z miejsca śmierci – gdzie się podziały okulary Staszka? Dlaczego nie było jego odcisków palców na poręczy, gdy na tej klatce schodowej każdy musiał się jej chwycić? Jak to możliwe, że spadł twarzą na posadzkę, połamał sobie kości twarzy, a potem obrócił się na plecy i udławił krwią? W dodatku podobno miał 2,6 promila alkoholu we krwi, wszedł po ciemku po schodach, nie dotykając niczego, i bezgłośnie spadł z wysokości. Dlaczego szef zespołu medycznego, który sporządził ekspertyzę stanowiącą podstawę uznania śmierci za wypadek, w prywatnej rozmowie powtarza wielokrotnie, że został on pobity? Łatwo jest cytować fragmenty ekspertyzy sądowej z 2010 r., gdy nie zna się kontekstu jej powstania i pomija kluczowe fragmenty o tym, że nie wykluczono udziału osób trzecich. Już pomijam cały ten kontekst wcześniejszych działań bezpieki, która nas inwigilowała, straszyła władze uniwersyteckie, rodziców Staszka, wysyłała anonimy na niego. Przecież w tej wersji o nieszczęśliwym wypadku nic się kupy nie trzyma!

Skoro to są takie łgarstwa bez pokrycia, to dlaczego środowisko „Wyborczej" nie ma skrupułów, by je publikować?

Mają za sobą poparcie mediów i licznych środowisk intelektualnych, a więc zamiast siły argumentu mogą stosować argument siły. Żyjemy w takiej rzeczywistości, która stoi na głowie, w której dziwki ubolewają nad upadkiem cnoty, złodzieje nad nieposzanowaniem prawa własności, a kłamcy rozpaczają, że prawda jest nie dość szanowana.

Żyjemy w takiej rzeczywistości, która stoi na głowie, w której dziwki ubolewają nad upadkiem cnoty, złodzieje nad nieposzanowaniem prawa własności, a kłamcy rozpaczają, że prawda jest nie dość szanowana

Jednak rządy prawicy trwają już szósty rok, a my rozmawiamy o ofensywie kłamstwa ze strony tych, którzy utracili władzę.

Pan mówi ciągle o Polsce, a to jest stan rzeczy całego Zachodu. Jesteśmy w trudnej sytuacji, skoro w globalnym świecie powszechnie uderza się w fundamenty kultury. Establishment kwestionuje samą zasadę prawdy, żongluje nietzscheańskimi metaforami, twierdzi, że nie ma jednego porządku, bo istnieją porządki równoległe, a potem dziwi się, że w społeczeństwie nie ma zaufania do instytucji, co widać nawet na przykładzie sceptycyzmu wobec szczepionek. To jest fundamentalny problem w skali światowej.

Brzmi pesymistycznie.

Bo istnieje możliwość, że nasza cywilizacja się po prostu skończy. Jest to szeroko rozumiany byt, którego upadek nie musi oznaczać końca Polski czy naszego regionu, bo tak się przecież zdarza, że coś z cywilizacji przetrwa. Mimo niedoskonałości analogii spróbuję się nią posłużyć – bo oto mówimy, że w V w. Rzym upadł, ale przecież na wschodzie Bizancjum istniało jeszcze przez tysiąc lat i długi okres było znaczącą kulturowo potęgą. Bardzo możliwe, że my jako naród i region przeżyjemy ten upadek. Chcę jednak podkreślić, że jesteśmy w bardzo trudnej sytuacji, a w kulturze ostatnich lat nie widać przełomu, jeśli to na gorsze. Gdzie są instytucje, które przeciwstawiłyby się presji antykultury? A media – przecież poza przejęciem przez rządzących mediów publicznych nie zrobiliśmy szczególnego postępu, mamy na rynku prasy nieomal to samo, co przed 2015 r. Z drugiej strony złudzeniem było przypuszczać, że przyjdzie do władzy ten czy ów polityk i odwróci światowe trendy w jednym, w dodatku niezbyt dużym, kraju. Tego się nie zmieni ani za rok, ani za pięć, za mojego życia na pewno nie. Władzy nie sprawują dziś tylko ośrodki polityczne, ale głównie pozapolityczne, które kolonizują państwa: korporacje, finanse, kultura, media, uniwersytety. To, co dziś nazywa się populizmem, jest tak naprawdę próbą odzyskania panowania nad państwem przez narody, ale jest to próba, która nie wiadomo, czy odniesie sukces, i potrzebuje czasu.

Ja nie mówię, że mamy rwać włosy z głowy, tylko trzeba po prostu brać się do roboty.

Pyjas a bezpieka

Stanisław Pyjas był studentem polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, który wraz z przyjaciółmi, m.in. Bronisławem Wildsteinem i Lesławem Maleszką, stworzył zalążek opozycji antykomunistycznej w Krakowie. Służba Bezpieczeństwa próbowała powstrzymać jego aktywność poprzez groźbę wyrzucenia ze studiów, inwigilację i zastraszanie (anonimowe, szkalujące listy rozsyłano do jego przyjaciół), ale Pyjas nie ulegał presji.

Rankiem 7 maja 1977 r. jego ciało znaleziono na klatce schodowej przy ul. Szewskiej 7 w Krakowie. Wkrótce potem w dziwnych okolicznościach zginął Stanisław Pietraszko, który jako ostatni widział go żywego, a także były bokser Marian Węclewicz, podejrzewany o zabicie Pyjasa. Z dokumentów wynika, że SB tuszowała ślady w śledztwie i procesie sądowym, a także planowała dyskredytować Wildsteina.

Po ponad 20 latach okazało się, że Maleszka, po 1989 r. dziennikarz „Gazety Wyborczej", współpracował z SB, donosząc m.in. na Stanisława Pyjasa. O dramacie z 1977 r. opowiada film Ewy Stankiewicz i Anny Ferens „Trzech kumpli" z 2008 r.

Po ponad 40 latach esbecka wersja śmierci Pyjasa znów forsowana jest w debacie publicznej.

eprasa.pl 9e095ef298

Za plecami Hołowni

Jeśli Hołownia odniesie sukces, także dzięki pieniądzom i układom jego „ciemnego" zaplecza, to ludzie, którzy za nim stoją, zgłoszą się z propozycjami nie do odrzucenia. Dlatego warto zobaczyć, kim są

STANISŁAW JANECKI

„Jam nie z soli ani z roli, ale z tego, co mnie boli" – mógłby powiedzieć Szymon Hołownia, gdyby nie taki drobiazg, że powiedział to 364 lata temu hetman Stefan Czarniecki. I oczywiście w wersji Hołowni byłby to element roli, którą odgrywa od jesieni 2019 r. To rola politycznego naturszczyka, który postanowił skorzystać nie tylko z czynnego prawa wyborczego, od razu aspirując do najwyższego stanowiska w Polsce. I tu akurat nie ma żadnej niespodzianki, o czym przekonuje choćby precedens w postaci nie tylko kandydowania w 1990 r. Stanisława Tymińskiego, ale jego wejście do drugiej tury i pokonanie w pierwszej Tadeusza Mazowieckiego. Taki projekt jest możliwy i ma sens tylko wtedy, gdy chodzi o stanowisko prezydenta. Na starcie, bo potem to się zmienia, jeśli ktoś nie zniechęci się porażką. Tymiński wcale po porażce nie zniknął: założył Partię X (w 1991 r. uzyskała ona trzy mandaty poselskie), a potem próbował startować na prezydenta jeszcze w 1995 r. (nie zebrał 100 tys. podpisów) oraz w 2005 r. (dostał 0,16 proc. głosów).

Szymon Hołownia to połączenie Stanisława Tymińskiego i obecnego prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego. Tymiński to człowiek z innego świata, Zełenski – człowiek telewizji i show-biznesu. Tacy kandydaci nie wyskakują z kapelusza ani sami siebie nie stwarzają. To legendy. Szymon Hołownia ma zresztą gotową odpowiedź na pytania o to, kim jest, skąd się wziął i kto za nim stoi: „Nie za bardzo wiedzą, jak to [jego akces do wielkiej polityki] poznawczo »obsłużyć«, więc wymyślają Tusków, Sorosów, Opus Dei, TVN czy mroczne biznesowe siły. Nie stoi za mną żaden polityk, żadne wielkie pieniądze, to pomysł od początku do końca obywatelski". Pomyślał i został kandydatem na prezydenta.

To ładna opowieść, ale ma mniej więcej taką wartość, jak ta o amerykańskim człowieku sukcesu, który zaczynał od pucybuta bądź roznosiciela gazet, a potem został milionerem. Tyle że jak już się pobawił w pucybuta czy roznosiciela, to dostał milion dolarów od ojca.

LUDZIE LIDERA

Michał Kobosko, najbliższy współpracownik Szymona Hołowni, twierdzi, że do obecnej roli „przygotowywał się od lat". Zapewne pisząc swoje kolejne książki nie wiadomo o czym, czyli mniej więcej o tym, co przekazuje jako polityk. To połączenie poradnictwa z zakresu tzw. rozwoju osobistego z moralizowaniem oraz refleksją obywatelską gospodyni domowej z inteligenckiego domu. Jest zresztą bardzo charakterystyczne, że Szymon Hołownia wciela się w emocjonalność kobiet, a nie mężczyzn, czyli robi to, co w literaturze międzywojnia czynił z wielkim powodzeniem Tadeusz Dołęga-Mostowicz („Prokurator Alicja Horn", „Trzecia płeć", „Świat pani Malinowskiej", „Złota maska", „Wysokie progi"). Pisarz osiągnął ogromny sukces, gdy chodzi o popularność i pieniądze, głównie dzięki odwoływaniu się do kobiecej emocjonalności. Hołownia chce to powtórzyć w polityce, dlatego jego wystąpienia w mediach społecznościowych mają charakter czegoś w rodzaju „Z pamiętnika pracującej kobiety zaangażowanej". To ma mu zapewnić poparcie kobiet – od konserwatych przez centrowe i liberalne po lewicowe. To pierwszy polityk mężczyzna, który

eprasa.pl 9e095ef298

chce sobie zapewnić przede wszystkim głosy kobiet. Ale to tylko metoda.

O tym, do czego ma służyć metoda Szymona Hołowni, mówią nazwiska jego współpracowników. Nie są przypadkowe. To przede wszystkim wspomniany już Michał Kobosko, były dziennikarz „Gazety Wyborczej", redaktor naczelny „Pulsu Biznesu", „Forbesa" (Polska), „Newsweek Polska", „Dziennika", „Dziennika Gazety Prawnej", „Wprost", wydawca czasopism Axel Springer Polska, redaktor naczelny polskiego oddziału Project Syndicate (finansowanego m.in. przez Open Society Institute George'a Sorosa i „Die Zeit"), szef polskiego biura amerykańskiego think tanku Atlantic Council. To Jacek Cichocki, za czasów Donalda Tuska sekretarz stanu w KPRM i sekretarz Kolegium ds. Służb Specjalnych, potem minister spraw wewnętrznych i koordynator służb, szef KPRM. To Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, w rządzie Tuska wiceminister spraw zagranicznych, a potem ambasador w Federacji Rosyjskiej. To gen. Mirosław Różański, mianowany Dowódcą Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych pod koniec urzędowania prezydenta Bronisława Komorowskiego. To Piotr Kuczyński, były główny ekonomista Domu Inwestycyjnego Xelion. To politolog prof. Rafał Matyja, twórca hasła IV RP. To Jacek Kozłowski, były polityk KLD, UW i PO, na początku lat 90. dyrektor generalny w Urzędzie Rady Ministrów, szef kampanii Hanny Gronkiewicz-Waltz na prezydenta Warszawy w 2006 r., a po wyborczym zwycięstwie PO wojewoda mazowiecki. To także Agnieszka Buczyńska, była prezes Regionalnego Centrum Wolontariatu w Gdańsku, organizatorka finału WOŚP w Gdańsku, podczas którego śmiertelnie ranny został prezydent Paweł Adamowicz (jest oskarżona o niedopełnienie obowiązków w związku z organizacją imprezy).

Dla Hołowni pracują Małgorzata Starczewska-Krzysztoszek, ekonomistka z Uniwersytetu Warszawskiego, Anna Radwan-Röhrenschef, socjolog, w latach 2006–2015 szefowa Polskiej Fundacji im. Roberta Schumana, obecnie w Instytucie In.Europa, Katarzyna Jagiełło, ekolog związana z Greenpeace. Do Hołowni dołączył też radca prawny i samorządowiec Bartłomiej Dyba-Bojarski, do marca 2020 r. radny Prawa i Sprawiedliwości w Łodzi.

Posłowie sejmowego koła Polska 2050 to raczej przypadkowy zestaw

Fot. Andrzej Wiktor

e-prasa.pl 9e095ef29

uciekinierów z innych partii i klubów: Hanna Gill-Piątek, Joanna Mucha, Paulina Hennig-Kloska, Wojciech Maksymowicz, Mirosław Suchoń i Tomasz Zimoch. Ten zestaw ma podkreślać, że u Szymona Hołowni zmieści się każdy – od Lewicy po PiS.

WERSJA DLA NAIWNYCH

Nieprzypadkowe wydaje się wsparcie Szymona Hołowni przez prof. Rafała Matyję, w ostatnich latach ostrego krytyka rządów PiS. Między bajki można włożyć zapewnienia Matyi, że urzekła go w Hołowni wizja „bezpartyjnej prezydentury". Trudno zresztą powiedzieć, na czym miałaby polegać. Matyja twierdzi, że Hołownia to „facet, któremu się chce". To „ktoś, kto będzie potrafił dotrzeć do ludzi i robić te wszystkie rzeczy, które trzeba robić". Ale politolog nie zdradza, o co chodzi. Stwierdził tylko, że łączy go z Hołownią „ogromne zmęczenie taką [jaką?] polityką i tym jałowym sporem". Tyle że główny spór polityczny w Polsce wcale nie jest jałowy: to podział między zwolennikami suwerenności a ludźmi uczestniczącymi w życiu społecznym i politycznym „z punktu widzenia kamerdynera" – jak to opisywał Hegel. Chodzi o rzeczywistość opisywaną w kategoriach ludzi i detali, a nie procesów. Problemem jest to, że Szymon Hołownia to wzorzec z Sèvres opisywania rzeczywistości „z punktu widzenia kamerdynera". Matyję zachwyca to, „co Hołownia mówił o swoich pomysłach, ale także o samorządzie, klimacie, ale też o społecznej wrażliwości i empatii", bo to „było bardzo świeże, autentyczne i nie miało tego specyficznego zapachu partyjnej szatni przed wyborczym meczem". Chodzi wyłącznie o „nową narrację, nowy język pokolenia 40-latków". Tylko to nie jest żadna nowa narracja, lecz odgrywanie kobiecej emocjonalności przez mężczyznę, przez co wszystko wydaje się inne.

Rafał Matyja nie kryje, że Hołownia miał zagospodarować tych młodych, którzy uczestniczyli w protestach „w obronie sądów" w lipcu 2018 r. To „gdzieś w tym tłumie mógł stać nowy lider", to „właśnie z tych demonstracji mogła wyłonić się nowa siła polityczna". Hołownia był wtedy wśród demonstrantów, a nawet do nich przemawiał. I to on ma być tą nową siłą. Ma wykorzystać to, że „tamte protesty zmobilizowały politycznie mnóstwo ludzi, dla których polityka do tego momentu nie była niczym szczególnie ważnym w życiu. Zmobilizowały także – niemal nieaktywne politycznie do tej pory – pokolenie czterdziestolatków". Zmobilizowały i zbuntowały „przeciwko temu, żeby nie zostać wciśniętym pod but którejś z partii. Bunt przeciw sytuacji, w której ma się do wyboru jedynie to, by albo siedzieć pod butem PiS, albo – ruszając na demonstrację opozycji – od razu zgłaszać się pod but Platformy". Chodzi o mało odkrywczą w polskiej polityce po 1989 r. koncepcję wzniesienia się ponad główny podział i zastąpienia antagonistów czymś nowym, tylko nie bardzo wiadomo czym.

> Wystąpienia Hołowni w mediach społecznościowych mają charakter czegoś w rodzaju „Z pamiętnika pracującej kobiety zaangażowanej". To ma mu zapewnić poparcie kobiet niezależnie od ich politycznych poglądów

Współpracownicy Szymona Hołowni swoimi życiorysami mówią, co i jak ich lider chce robić, choć wciąż to wszystko zawieszone jest we mgle. Natomiast sponsorzy jego kampanii i ruchu mówią, po co i dla kogo to wszystko. Jednym z tych sponsorów jest Ryszard Wojtkowski, w latach 1985–1991 dyrektor gabinetu premierów Zbigniewa Messnera, Mieczysława Rakowskiego, Tadeusza Mazowieckiego i Jana Krzysztofa Bieleckiego. Potem był menedżerem w firmach Coca-Cola i Gerber, a następnie prezesem Novartis Consumer Health International. Obecnie kieruje założonym przez siebie funduszem Resource Partners. Innym sponsorem jest Przemysław Krych, współzałożyciel Griffin Real Estate, czyli inwestora w nieruchomości. Pod koniec 2017 r. został zatrzymany przez CBA pod zarzutem korupcji i przesiedział pół roku w areszcie. Kampanię Szymona Hołowni wsparł też Paweł Gieryński, partner zarządzający w spółce Abris Capital, która kupiła GetBack od Leszka Czarneckiego, członek Związku Polskich Kawalerów Maltańskich, odznaczony papieskim Orderem św. Sylwestra. To nie jest przypadkowy zestaw osób, lecz próbka łącząca światy końca PRL i początków III RP, finansjery mającej często korzenie w PRL, ale umiejętnie potrafiącej korzystać także z autorytetu Kościoła. Pokazuje ona kręgi gotowe zainwestować w Szymona Hołownię, nie tylko w najprostszy sposób.

Ten świat nijak się ma do opowieści prof. Rafała Matyi i samego Szymona Hołowni o buncie 40-latków i nowej świeżej narracji. To wersja dla naiwnych albo klasyczna maskirowka. Takich sponsorów i darczyńców widać, gdyż ich dane musiały być ujęte w sprawozdaniu komitetu wyborczego. Ważniejsze od tych ujawnionych sponsorów, choć ci też odgrywają istotną rolę, są grupy interesów. Tylko w małym stopniu widać je poprzez niektórych najbliższych współpracowników Hołowni oraz po tych ujawnionych sponsorach. To ludzie wielkiego biznesu (plotki mówią o co najmniej dwóch potentatach z pierwszej dziesiątki najbogatszych w Polsce), finansjery, to osoby związane w przeszłości z wojskiem, a szczególnie z przetargami, to ludzie tajnych służb. Ale też weterani różnych konfiguracji partyjnych, przeważnie liberalnych. A na koniec również ludzie robiący interesy w szarej strefie albo tacy, którzy zaczynali od przestępczości, ale dawno zdążyli swoje interesy zalegalizować. Im jest potrzebny ktoś taki jak Hołownia, nawet jeśli nie do końca zdaje sobie sprawę, kto mu pomaga i na jakich warunkach. Ważne, żeby miał zapał i przekonanie, że sam siebie wymyśli i sam sobie wszystko zawdzięcza.

Jeśli odniesie sukces, także dzięki ich pieniądzom i układom, zgłoszą się ze swoimi propozycjami nie do odrzucenia. I podstawią swoich ludzi. A romantyczna wersja dla naiwnych będzie nadal funkcjonować, żeby pozyskiwać kolejnych adeptów i sponsorów.

Reklama | 53/0421/F

eprasa.pl 9e095ef298

Spisz się przez Internet!

Trwający Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021 jest realizowany w nowoczesnej formule spisu online. Spis przez Internet pozwala spełnić obywatelski obowiązek w zaledwie kilka minut. Dziś podpowiadamy, jak i do kiedy można skorzystać z elektronicznych ułatwień, do których zachęca Główny Urząd Statystyczny – organizator spisu powszechnego.

Trwający od 1 kwietnia br. spis powszechny wyróżnia się przystępną formułą opartą o tzw. samospis internetowy. Metoda ta umożliwia udział w badaniu poprzez wypełnienie specjalnie opracowanego formularza dostępnego na stronie **spis.gov.pl**. To wygodne rozwiązanie – formularz zawiera kilkanaście prostych pytań i można go wypełnić o dowolnej porze. Po raz pierwszy w historii polskiej statystyki publicznej samospis internetowy jest obowiązkowy.

Krok po kroku

Należy wejść na stronę **spis.gov.pl**, gdzie znajduje się aplikacja spisowa. Dostępne metody logowania:

- Krajowy Węzeł Identyfikacji Elektronicznej – umożliwia uwierzytelnienie za pomocą Profilu Zaufanego oraz systemów informatycznych banków.
- Wprowadzenie numeru PESEL oraz nazwiska rodowego matki – jako dane niezbędne przy pierwszym logowaniu. Dodatkowo wymagane jest stworzenie hasła, które razem z numerem PESEL posłuży do kolejnych logowań.
- Odrębny tryb z wykorzystaniem adresu e-mail i zdefiniowaniem hasła dostępu. Ta metoda jest przeznaczona dla cudzoziemców nieposiadających numeru PESEL, którzy 31 marca 2021 r. zamieszkiwali stale lub przebywali czasowo na terenie Polski.

Po udzieleniu odpowiedzi na wszystkie pytania i ewentualnej korekcie danych wystarczy zatwierdzić formularz. Następnie wyświetli się pytanie o chęć udziału w loterii. Po potwierdzeniu zostanie wygenerowany unikatowy kod. Osoby, które chcą wziąć udział w loterii, powinny pobrać kod i zgłosić go na stronie **loteria.spis.gov.pl** między 22 kwietnia a 7 lipca 2021 r.

Udział w loterii daje szansę na zdobycie nagród: kart przedpłaconych o wartości 500 zł i 1000 zł. Nagrodami głównymi w losowaniu finałowym są samochody miejskie. W loterii mogą wziąć udział pełnoletnie osoby, które spiszą się przez Internet.

Pytania w spisie

Pytania zebrane są w ośmiu blokach tematycznych. Dotyczą między innymi stanu cywilnego, poziomu wykształcenia, wykonywanego zawodu oraz aktualnego miejsca zamieszkania. Kilka pytań ma charakter dobrowolny – wówczas respondent może zaznaczyć opcję „nie chcę odpowiadać na to pytanie". Co ważne, Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021 nie obejmuje tzw. danych wrażliwych dotyczących poglądów politycznych czy wielkości dochodów.

Dostęp do aplikacji spisowej

Dostęp do danych w formularzu spisowym trwa przez 14 dni od pierwszego poprawnego zalogowania. Jeśli w aplikacji zaloguje się osoba przebywająca za granicą, uruchomiony zostanie specjalny scenariusz spisu, który będzie wymagał wypełnienia jedynie formularza indywidualnego. Warto pamiętać, że spis internetowy to najprostsza i najbezpieczniejsza metoda przekazania danych i realizacji obowiązku spisowego.

Kto musi wziąć udział w tegorocznym spisie?

Spis ludności jest powszechny. Zgodnie z zapisami ustawy oznacza to, że każdy zobowiązany jest do udziału w spisie i udzielenia odpowiedzi na pytania. Dzieci i nieletnią młodzież muszą spisać rodzice lub opiekunowie prawni. Natomiast w przypadku osób nieobecnych, ich dane przekazują osoby pełnoletnie, wspólnie z nimi zamieszkałe.

Bezpieczeństwo danych

Informacje przekazywane podczas spisu są prawnie chronione i objęte tajemnicą statystyczną. Osoby wykonujące prace spisowe są zobowiązane do bezwzględnego jej przestrzegania. Zgromadzone dane na etapie przetwarzania ulegają anonimizacji – nie jest możliwe ich późniejsze przyporządkowanie do określonej osoby fizycznej. Oznacza to, że informacje przekazane w spisie powszechnym są bezpieczne.

Aktualne informacje o spisie powszechnym dostępne są na stronie **spis.gov.pl** oraz na profilach GUS w mediach społecznościowych.

W przypadku pytań lub braku możliwości udziału w samospisie internetowym prosimy o kontakt z infolinią: **22 279 99 99***.

* Koszt połączenia zgodny z cennikiem operatora.

Spis Powszechny to:

- Obowiązkowe badanie realizowane raz na 10 lat przez Główny Urząd Statystyczny
- Ustawowa gwarancja ochrony Twoich danych
- Nowoczesna i bezpieczna formuła spisu online

Więcej na **spis.gov.pl**

Liczymy się **DLA POLSKI!**

GUS | Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021

eprasa.pl 9e095ef298

PiS traktuje młodych poważnie

Nigdy w historii polskiej polityki nie było tak kompleksowej oferty jak ta PiS, odpowiadającej na potrzeby młodych ludzi, oferty rozwiązywania ich problemów, a także pomagania w wyzwaniach, przed którymi stoją w swoim życiu

Michał Karnowski rozmawia z Michałem Moskalem, szefem gabinetu politycznego wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego, przewodniczącym Forum Młodych Prawa i Sprawiedliwości

Co młody człowiek robi w Prawie i Sprawiedliwości? Zdaniem mediów liberalnych to formacja wsteczna, zacofana, nie dla młodych.

Michał Moskal: To obraz całkowicie nieprawdziwy, żeby nie powiedzieć mocniej, kłamliwy. Po pierwsze, wielu młodych ceni sobie wartości, które przyświecają Prawu i Sprawiedliwości od zawsze. Po drugie, PiS ma szeroką ofertę dla młodych, zarówno gdy mówimy o możliwościach działania, jak i o programie. Dobrym przykładem z ostatnich dni jest chociażby Polski Ład. Nigdy w historii polskiej polityki nie było tak kompleksowej i poważnej oferty odpowiadającej na potrzeby młodych ludzi, oferty rozwiązywania ich problemów, a także pomagania w wyzwaniach, przed którymi stoją w swoim życiu.

Program mieszkaniowy?

To skupiło uwagę mediów w pierwszej kolejności i słusznie, bo są to wielkie zmiany: gwarancja państwowa wkładu własnego i zdecydowanie prostsze procedury budowania domów. W Polskim Ładzie położono także ogromny nacisk na ochronę środowiska. W programie zapisaliśmy chociażby projekt tysiąca ekologicznych, zeroemisyjnych szkół. Proponujemy też znaczne zwiększenie możliwości korzystania z pomocy psychologicznej, ponieważ wiemy, jak wiele młodych osób i rodzin się z tym problemem zmaga, zwłaszcza po roku nauki zdalnej. Kolejną propozycją są kwestie podatkowe: to nasze rządy wprowadziły zerowy PIT dla młodych, a teraz idziemy dalej i zwiększamy kwotę wolną od podatku, to realna i wymierna korzyść finansowa dla wszystkich, ale głównie młodych osób wchodzących na rynek pracy. Do tego dochodzi Rodzinny Kapitał Opiekuńczy – 12 tys. zł dla każdej rodziny na drugie, trzecie i kolejne dziecko do wykorzystania między 12. a 36. miesiącem życia. Czy jakakolwiek inna partia zrobiła więcej dla młodych? Czy ktoś ma lepszą i bardziej konkretną ofertę?

Zgoda co do faktów. Ale trudno też znaleźć partię, pod której adresem tylu młodych miałoby ochotę wykrzyczeć osiem gwiazdek. Co poszło nie tak?

Naturalnym elementem młodzieńczego buntu jest również bunt przeciwko ugrupowaniom rządzącym. Nie są to jednak zachowania stałe, poglądy każdego człowieka ewoluują wraz z nabywaniem doświadczenia życiowego. Gdyby tak nie było, dziś premierem byłby Janusz Korwin-Mikke. My młodych traktujemy poważnie i mamy dla nich konkretny program. Dla wszystkich oczywiście, również dla tych, którzy dziś na nas nie głosują. Wierzę, że to zaprocentuje.

Ten bunt, który wybrzmiał jesienią, był jednak szczególnie mocny.

Złożyło się na to kilka elementów. Po pierwsze, wskutek pandemii nie odbywały się zajęcia stacjonarne w szkołach, ograniczone były spotkania towarzyskie, a młodzi ludzie siedzieli w domach. To narastające przez wiele miesięcy napięcie znalazło ujście w protestach. Po drugie, konflikt dotyczył spraw

eprasa.pl 9e095ef298

Fot. Andrzej Wiktor

światopoglądowych, które budzą we współczesnym świecie ogromne emocje. Spór ten podgrzewają różne środowiska, często skrajnie lewicowo-liberalne. Gdy emocje po pierwszych protestach opadły i się okazało, kto próbuje zbić na nich kapitał polityczny, wiele osób poczuło się oszukanych. Jeśli ktoś myśli, że idolem młodych ludzi może być skompromitowana Marta Lempart, to ma o nich złe zdanie. Ja tak nie uważam.

> Mógłbym określić siebie jako zielonego konserwatystę, który szanuje przyrodę i zwierzęta, ponieważ rozumie, że skutki naszych dzisiejszych działań będą odczuwały przyszłe pokolenia

Co to znaczy być dzisiaj konserwatystą?

Niech spierają się o to tęższe umysły [śmiech]. Odpowiem tak: to znaczy służyć Polsce, cenić wspólnotę narodową i państwo, być człowiekiem ambitnym, z optymizmem patrzącym w przyszłość, jednocześnie pamiętać o tradycyjnych wartościach oraz roli rodziny w życiu społeczeństwa. Uważam, że prawdziwa wolność nie polega na zerwaniu wszelkich więzi i kontekstów kulturowych, a jest nią korzystanie z dorobku poprzednich pokoleń do budowy dobra wspólnego.

Forum Młodych PiS – dla kogo jest ta oferta?

Zapraszamy wszystkich, którym bliski jest program Prawa i Sprawiedliwości, rozumiany jako ambitna propozycja dla Polski. Formalny warunek jest tylko jeden, związany z wiekiem: trzeba mieć minimum 16 i mniej niż 30 lat.

I ludzie przychodzą?

Jak najbardziej. Dziś mamy już ponad 50 organizacji powiatowych, z każdym tygodniem tworzą się nowe struktury, codziennie dołączają nowi członkowie, przeważnie studentki i studenci. Obecnie jest to około tysiąca osób w skali kraju, a do końca roku zamierzamy tę liczbę co najmniej podwoić. Dla mnie to bardzo optymistyczne, bo się okazuje, że jest w moim pokoleniu wiele osób, które chcą z nami wspólnie działać i podzielają nasze wartości. To rodzaj kuźni kadr, z której wyjdą ludzie zdolni do podjęcia najpoważniejszych zadań.

Pan mówi „kuźnia kadr", a krytycy odpowiedzą, że chodzi o noszenie teczki za posłem.

Dziś posłowie mają tablety, a nie teczki z dokumentami. A na poważnie – tak może mówić tylko ktoś, kto nie widział naszej pracy z bliska i opiera się na powierzchownych opiniach. No i ktoś, kto uważa, że możliwość obserwowania z bliska pracy politycznej czy państwowej, uczenie się jej zasad, to coś poniżającego. Ja tak nie uważam. To doświadczenie, które przyda się każdemu, nie tylko w polityce, lecz i w biznesie, mediach, samorządzie. U nas można się wiele nauczyć, poznać ciekawych ludzi, a czasem nawet rodzą się tu przyjaźnie i miłości.

Zdarza się, że ktoś słyszy: „To propozycja nie dla pana"?

Jak wszędzie. Czasami ktoś dochodzi do wniosku, że to nie dla niego. Wiadomo, że młodzi ludzie dopiero szukają swojej drogi – i my to szanujemy. Większość z przychodzących jednak zostaje, bo znajdują u nas ciekawą ścieżkę rozwoju, opartą na szacunku dla wartości oraz drugiego człowieka i trosce o Polskę. Proszę zauważyć, że np. w Warszawie wielu radnych PiS to ludzie młodzi. Swoje pierwsze szlify zdobywali w naszej prężnie działającej stołecznej młodzieżówce, a dzisiaj wykorzystują zdobytą wiedzę i doświadczenie, służąc lokalnej wspólnocie.

Partyjne młodzieżówki nie mają najlepszej opinii. Mówi się nawet, że wychodzą z nich ludzie cyniczni już na starcie.

Być może to efekt przebiegu karier młodych polityków po drugiej stronie sceny politycznej, którzy zaczynali swoją działalność w tamtejszych młodzieżówkach, a kończyli ją przed prokuratorem. U nas przyzwolenia na takie działania nie ma. Takie osoby szybko są eliminowane z naszego grona. Inną sprawą jest to, że był czas, gdy część klasy politycznej cynicznie odpychała młodych od polityki – bo nie chcieli konkurencji, bo woleli, by nikt nie patrzył im na ręce, nie zadawał kłopotliwych pytań. My się na to nie zgadzamy, bo polityka to troska o dobro wspólne.

eprasa.pl 9e095ef298

Także ta partyjna?

Partie mają mechanizmy wewnętrzne, które czynią politykę bardziej przejrzystą. W różnych ruchach społecznych nie zawsze jest to takie oczywiste, czasem najciemniej jest pod latarnią. Poza tym we wszystkich dojrzałych demokracjach polityka opiera się na rywalizacji ugrupowań politycznych. I wszyscy wiedzą, że to nie jest rozwiązanie doskonałe, ale lepszego nikt nie wymyślił.

Polityka to brutalny świat, a pan zachęca młodych, by do niego wchodzili?

Tak, żeby mogli mieć wpływ na sprawy, które ich dotyczą. Czy świat artystyczny nie jest brutalny? Niektórzy twierdzą, że nieporównanie bardziej. Czy w świecie mediów, biznesu czy korporacjach prawniczych nie ma ostrej konkurencji? Jest. Różnica polega na tym, że politycy znajdują się na świeczniku, media codziennie pokazują ich pracę. A tam wszystko odbywa się za zamkniętymi drzwiami. Opinia, że tylko w polityce można się ubrudzić, miała na celu zniechęcenie do niej ludzi młodych, my pokazujemy, że może to wyglądać zupełnie inaczej.

> Jeśli ktoś myśli, że idolem młodych ludzi może być skompromitowana Marta Lempart, to ma o nich złe zdanie. Ja tak nie uważam

Jak pan trafił do polityki?

Pierwsze moje zaangażowanie polityczne to protesty przeciwko ACTA, to były lata 2011–2012, byłem wtedy w liceum. Potem studia i zaangażowanie w Niezależne Zrzeszenie Studentów, któremu przewodniczyłem przez dwie kadencje. Było to dla mnie wielkim zaszczytem. Stamtąd, zgodnie ze swoimi poglądami, znalazłem się w PiS.

Dziś jest pan dyrektorem gabinetu politycznego wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego. Bliżej centrum władzy być chyba nie można.

To pokazuje, że u nas młodzi naprawdę mają szansę, a decyduje o tym ciężka praca. Gdy patrzę na naszych kolegów z innych młodzieżówek, to widzę, jak są marginalizowani, odsuwani od ważnych zadań i pomijani przy układaniu list wyborczych. U nas jest inaczej i to nas odróżnia. Mamy jako młodzi możliwość wskazywania, co jest dla naszego pokolenia ważne. Przygotowujemy analizy, są komisje tematyczne, nawet konkretne projekty ustaw.

Takie jak piątka dla zwierząt, którą zgłosiła właśnie pana organizacja. Jak tu wygląda bilans?

Nadal jestem przekonany do naszych ówczesnych propozycji – niestety nie udało się. Tak bywa, trzeba wyciągnąć wnioski, uznać to za lekcję i dalej pracować na rzecz konserwatywnych wartości, które są nam bliskie. A jeśli mówimy już o sprawach ochrony środowiska, to jak wiele jeszcze można w tym zakresie zrobić, pokazuje właśnie Polski Ład – utworzenie nowych parków narodowych, rozwój technologii wodorowej czy fundusz niskoemisyjnego transportu.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9e095ef298

Pan by się określił jako ekolog? Zwolennik transformacji ekologicznej?

Dziś to sformułowanie kojarzy się niekoniecznie dobrze, bo często sztandar ekologiczny używany jest przez lobbystów czy skrajną lewicę. Mógłbym określić siebie jako zielonego konserwatystę, który szanuje przyrodę i zwierzęta, ponieważ rozumie, że skutki naszych dzisiejszych działań będą odczuwały przyszłe pokolenia. A gdy rozmawiamy o energetyce, to trzeba powiedzieć, że bez energii atomowej, mając na uwadze antywęglową politykę Komisji Europejskiej, nie uda nam się zapewnić bezpieczeństwa Polski w tym wymiarze. I co najważniejsze, tylko Zjednoczona Prawica jest w stanie to zrobić. Tylko PiS jest w stanie przeprowadzić Polskę przez transformację energetyczną, minimalizując koszty społeczne, mając za priorytet kieszeń każdego Polaka. Środowiska opozycyjne wokół tego tematu nie byłyby w stanie wypracować zgody do realizacji takiego projektu. Bo parafrazując Rafała Trzaskowskiego, po co nam własne elektrownie, skoro są już w Niemczech. A nawet buduje się tam nowe kopalnie.

Budowa elektrowni atomowych to projekt wymagający wielu lat. Czy obóz premiera Kaczyńskiego ma w pana opinii szansę wygrać kolejną kadencję?

Historia Europy pokazuje, że w momentach gospodarczych przyspieszeń i dobrych rządów możliwe są cykle sprawowania władzy dłuższe, niekiedy znacznie dłuższe niż dwie kadencje. Mam nadzieję, że to właśnie przydarzy się w Polsce – byłoby to dobre dla kraju. Wystarczy się cofnąć myślami do 2015 r. i sprawdzić, w jak dużym stopniu udało się zrealizować tamten program, jak to pozytywnie zmieniło Polskę. Mamy też ogromny postęp, pomimo pandemii, od 2019 r. A przed nami realizacja Polskiego Ładu, Krajowy Plan Odbudowy i wynegocjowane 770 mld zł dla Polski.

Czy emocje, ideologia nie okażą się dla wyborców ważniejsze? Zwłaszcza dla młodych?

Prowadzenie polityki na emocjach, na zasadzie, kto głośniej krzyknie, ten ma rację, jest fałszowaniem rzeczywistości, a młodzi reagują na to alergicznie. Najlepszym argumentem są zatem konkretne działania. Widzą nasze dokonania, coraz częściej także wokół siebie, i naszą propozycję dla młodego pokolenia oraz słyszą Borysa Budkę, który w szczycie pandemii ma do zaproponowania likwidacje TVP Info, IPN i CBA, w ogóle chyba likwidację wszystkiego jako główne hasło. Młodzi ludzie potrafią dostrzec, że rzekomo superekologiczni politycy doprowadzili do największej katastrofy ekologicznej od lat w naszym regionie, a ich obietnice, że zlikwidują piece kopciuchy, okazały się warte tyle, ile papier, na którym zostały zapisane. Nie da się okłamywać wszystkich w nieskończoność.

Stąd sięgają po nowe twarze. Wchodzi na scenę Szymon Hołownia. Co pan o nim sądzi?

Takie nowości zawsze niosą z sobą dla niektórych jakiś powiew świeżości. Ale im dłużej trwają, tym częściej pada pytanie: co naprawdę te formacje napędza? Jakie naprawdę doświadczenie ma ich lider? Jakie ma szanse i umiejętności na realizację swojego programu? Te testy dopiero przed nimi. Nie mówiąc o tym, że oni tego programu nie mają. Szymon Hołownia to showman i aktor, a jak wiemy, aktorzy nie piszą scenariuszy swoich filmów.

Mówią, że nie chcą dzielić Polaków, a PiS dzieli.

To są sztuczki erystyczne, ładne i okrągłe słowa, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. PiS pracuje na rzecz wszystkich Polaków. Spójrzmy choćby na proponowaną reformę podatkową: my niwelujemy różnice, likwidujemy dyskryminację pewnych grup. Czy stworzenie możliwości każdemu młodemu człowiekowi, by mógł studiować, pracować za godną płacę, założyć rodzinę i kupić mieszkanie to dzielenie? To absurd.

Na koniec zapytam: jakim szefem jest premier Jarosław Kaczyński?

Wymagającym i sprawiedliwym. Poprzeczka jest zawieszona bardzo wysoko, ale staram się sprostać stawianym przede mną zadaniom.

Rozmawiacie tylko o polityce?

Często polityka jest punktem wyjścia do innych tematów i łączy się z wieloma dziedzinami naukowymi, a w szczególności z historią, ale żeby nie zdradzać zbyt wiele, to mogę tylko powiedzieć, że trudno o ciekawszego rozmówcę.

REKLAMA

86/0421/F

eprasa.pl 9e095ef298

Stonoga wraca do aresztu. Kto się boi jego zeznań?

Wszystkimi zarzutami, które ciążą na Zbigniewie Stonodze, można obdzielić kilkudziesięciu groźnych przestępców. Oszustwa, groźby karalne, przekręty finansowe i kryminalny hejt – to jedynie wierzchołek góry lodowej. Jak to się stało, że przez lata unikał aresztu, mimo że sądy skazywały go aż 28 razy? Z czyjej ochrony korzystał?

WOJCIECH BIEDROŃ

Zbigniew Stonoga swój ordynarny internetowy hejt zawsze ukrywał pod płaszczykiem walki o praworządność i wojny z rzekomymi „patologiami państwa PiS". Ta wygodna poza miała ukryć fakt, że biznesmen ma na koncie 28 wyroków, a liczba zarzutów karnych idzie w setki. Jest ścigany europejskim nakazem aresztowania, a polskie sądy rozesłały za nim sześć listów gończych. W ciągu ostatnich 20 lat Zbigniew Stonoga usłyszał już niemal 40 wyroków karnych. To zawodowy oszust, który kreuje się na ofiarę systemu i „opresyjnego państwa PiS".

WALKA O AZYL

W ubiegłym roku Zbigniew Stonoga, korzystając z tego, że kolejny sąd nie zdecydował się na jego aresztowanie, uciekł do Norwegii. Tam wystąpił o azyl. Wtedy do akcji wkroczyli jego etatowi obrońcy, czyli Wojciech Czuchnowski oraz Lech Wałęsa, którzy swoimi „autorytetami" ręczyli za jego niewinność i przekonywali o tym, że w Polsce się na Stonogę uwzięli.

„Zwracam się do Państwa z pozytywną rekomendacją dotyczącą wniosku o azyl polityczny obywatela Polski, Zbigniewa Stonogi, który obecnie stara się o azyl polityczny w Królestwie Norwegii. Uważam, że wniosek ten zasługuje na przyjęcie, a Zbigniew Stonoga jest osobą prześladowaną przez obecne władze Rzeczypospolitej Polskiej – pisał Czuchnowski jesienią ubiegłego roku do norweskiego urzędu. – W mojej ocenie w ciągu ostatnich pięciu lat obecnych rządów władza wykorzystywała organy ścigania (policję, prokuraturę, służby specjalne) do walki ze Zbigniewem Stonogą, przy czym prowadząc przeciwko niemu swoje działania, wielokrotnie nadużywała swoich uprawnień i przekraczała dopuszczalne prawem granice. Działania władzy objęły też rodzinę Zbigniewa Stonogi. Zbigniewa Stonogę pozbawiono znacznej części majątku i wielokrotnie zatrzymywano pod nieprawdziwymi zarzutami" – kontynuował Czuchnowski.

Fot. Stefan Maszewski/Reporter

eprasa.pl 9e095ef298

W akcję obrony Zbigniewa Stonogi zaangażował się też Lech Wałęsa, który w Norwegii cieszy się sporym uznaniem.

„Uważam, że wniosek ten [o azyl polityczny w Norwegii – przyp. red.] zasługuje na przyjęcie, a Zbigniew Stonoga jest osobą szykanowaną przez obecne władze Rzeczpospolitej Polskiej, gdzie ostentacyjnie łamie się trójpodział władzy, a praworządność jest tylko mglistym marzeniem. [...] Uważam, że Zbigniew Stonoga jest osobą prześladowaną z powodów politycznych, zaś w Polsce grozi mu eskalacja prawnej przemocy ze strony władzy. Stanowi to zagrożenie dla jego wolności" – pisał Lech Wałęsa do władz Norwegii.

CZŁOWIEK STONOGI W „WYBORCZEJ"

Skąd taka obrona wielokrotnego przestępcy, który obok swojego kryminalnego procederu uosabia internetowy hejt? Narracja Stonogi, oprócz wulgaryzmów, nie różni się niczym od codziennej dawki antypisu w „Gazecie Wyborczej". Stonoga, podobnie jak Wojciech Czuchnowski, ze szczególnym upodobaniem atakuje Zbigniewa Ziobrę oraz jego rodzinę. W internecie wciąż można znaleźć nagranie, w którym Stonoga kieruje atak wobec prokuratora generalnego oraz jego najbliższych. W steku wyzwisk i wulgaryzmów wyraźnie wybrzmiewała groźba fizycznej eliminacji ministra oraz bliskich mu osób.

Ta atmosfera i „użyteczna" wiedza Zbigniewa Stonogi spowodowały, że nawiązał bliską współpracę z Wojciechem Czuchnowskim, który jest zaangażowany w krucjatę skrajnie upolitycznionych stowarzyszeń sędziowskich. Nie jest tajemnicą, że niektóre materiały Czuchnowskiego opierały się na „wiedzy", którą posiadał Stonoga lub przynajmniej gangster z otoczenia Stonogi – Piotr K. ps. Broda. A może współpraca obu panów była szersza? Czy wielokrotnie skazany przestępca był ważnym filarem powstawania niektórych „śledczych" publikacji w gazecie Adama Michnika? Czy Zbigniew Stonoga opowie o tej relacji, o współpracy? Tego nie można wykluczyć i to właśnie może dziś spędzać sen z powiek niektórym dziennikarzom.

MOCNE ZARZUTY

Dlaczego Zbigniew Stonoga uciekł z Polski? Skala zarzutów była już tak ogromna, że nawet korzystający wcześniej z podejrzanej pobłażliwości sądów oszust zdał sobie sprawę, że już się nie wywinie. Warto więc te zarzuty przypomnieć.

Tylko Prokuratura Regionalna w Lublinie podejrzewa go o przywłaszczenie ponad 1,1 mln zł z rzekomo charytatywnej fundacji, którą prowadził. Prokuratorzy przekonują, że Zbigniew Stonoga miał przeznaczać pieniądze fundacji na grę w kasynie.

Warto na moment pozostać przy tej sprawie. W październiku 2020 r. Zbigniew Stonoga wpadł w ręce prokuratury, która przedstawiła mu powyższe zarzuty. Niestety sędzia z Lublina oddalił wniosek prokuratury o tymczasowy areszt dla oszusta. Efekt był łatwy do przewidzenia. Stonoga natychmiast uciekł z Polski, by następnie poprosić o azyl w Norwegii. Na szczęście rząd Norwegii odmówił mu tego prawa. Kolega Czuchnowskiego pojawił się więc w Holandii, która jednak zdecydowała się przekazać go Polsce.

> Czy wielokrotnie skazany przestępca był ważnym filarem powstawania niektórych „śledczych" publikacji w „Gazecie Wyborczej"? Czy Zbigniew Stonoga opowie o tej współpracy?

Ale „sprawy lubelskie" Zbigniewa Stonogi to niejedyne jego kłopoty. W Prokuraturze Okręgowej w Warszawie toczy się śledztwo, w którym Stonoga jest podejrzany o przywłaszczenie 4,5 mln zł. Stonoga podejrzany jest także o przekręty VAT. Do tego dochodzi sprawa doprowadzenia do niekorzystnego rozporządzenia mieniem dwóch osób w kwocie 532 tys. zł.

Na liście ostatnich przewinień Zbigniewa Stonogi jest sprawa z Krakowa. W tamtejszym sądzie rozpoczął się proces, w którym na ławie oskarżonych znalazł się nie tylko Stonoga, lecz m.in. jego żona i syn. Zarzut prokuratury: pranie brudnych pieniędzy i wyrządzenie szkody jednej z krakowskich firm na 42 mln zł.

METODY JAK Z OBOZU KONCENTRACYJNEGO?

Zbigniew Stonoga żegna się z wolnością w swoim znanym stylu. To pewne, że po tym, jak zostanie on wydany Polsce, natychmiast trafi do aresztu. Ciężko uwierzyć, by znalazł się „rozgrzany" politycznie sędzia, który ponownie umożliwiłby mu ucieczkę z Polski. Sam Stonoga dobrze to rozumie.

„Holenderski sąd zagrał w tym filmie o etapowym mordowaniu mnie i moich najbliższych rolę doktora Mengele, który przez 150 dni stał na progu polskiego Auschwitz i trzymał kciuk w pozycji neutralnej, by w końcu skierować go w dół i wydać mnie na męczeńską śmierć" – napisał Stonoga w jednym z portali społecznościowych. „Nigdy więcej nie powinniśmy wierzyć w pier...nia innych państw o ich rzekomym zainteresowaniu stanem polskiego wymiaru sprawiedliwości. Teraz, gdy wszawica polska zaciągnęła gigantyczny kredyt w Unii Europejskiej i wymiar sprawiedliwości okazuje się być dostatecznie sprawiedliwy i zgodny z unijnym prawem" – komentował Zbigniew Stonoga.

To znamienne, że Zbigniew Stonoga atakuje dziś polskie sądownictwo. To samo, które przez bezmyślność swoich przedstawicieli pozwoliło oszustowi i przestępcy kpić z prawa. Jedno jest pewne – procesy karne, które czekają na niego w Polsce, obnażą jego proceder i staną się przedmiotem wielu publikacji. Tego m.in. boi się Zbigniew Stonoga. Jednak jego sprawa może ujawnić też niewygodne fakty dla „Gazety Wyborczej" i jej reporterów. Może się wyjaśni, skąd się wzięło wsparcie tej redakcji dla prymitywnego oszusta? Na jaw mogą wyjść też szczegóły powstawania niektórych tekstów redakcji z Czerskiej i udziału Stonogi w ich kreowaniu. Ta prawda może wstrząsnąć polskimi mediami.

eprasa.pl 9e095ef298

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Bogatsza część klasy średniej często narzeka na słabą jakość usług publicznych, zwłaszcza edukacji i służby zdrowia. Teraz wreszcie będzie miała okazję, aby wyłożyć parę złotych więcej z własnej kieszeni i to zmienić

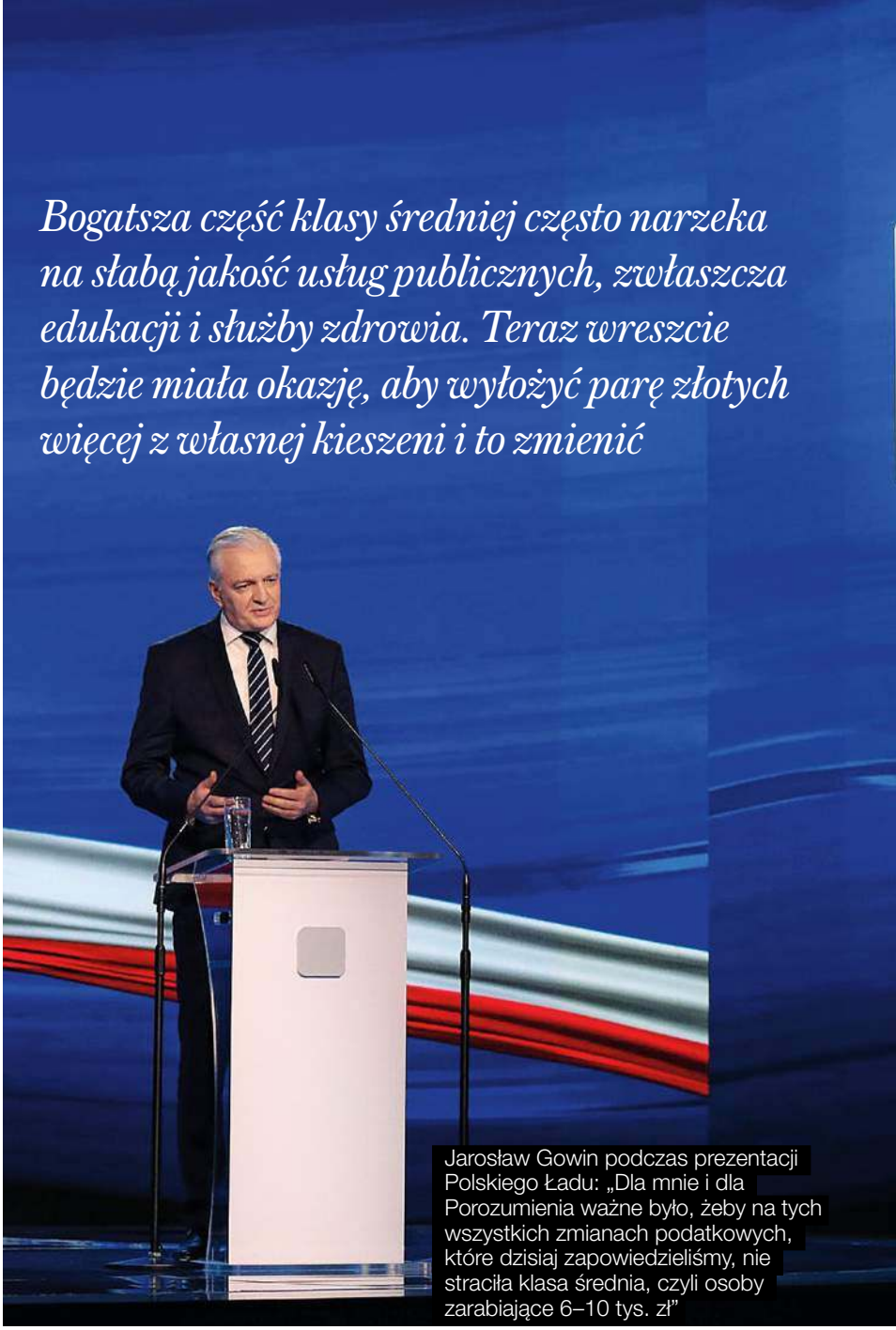

Jarosław Gowin podczas prezentacji Polskiego Ładu: „Dla mnie i dla Porozumienia ważne było, żeby na tych wszystkich zmianach podatkowych, które dzisiaj zapowiedzieliśmy, nie straciła klasa średnia, czyli osoby zarabiające 6–10 tys. zł”

Klasa średnia, czyli kto?

W państwach rozwiniętych klasa średnia uważana jest za kręgosłup współczesnego społeczeństwa. Jej relatywnie niezłe dochody, dobre wykształcenie i konsumpcyjny styl życia gwarantują koniunkturę gospodarczą, a co za tym idzie – stabilizację społeczną i demokratyczne rządy. Kwestia dochodów jest tu oczywiście kluczowa, najbogatsi zawsze stanowią niewielki procent społeczeństwa, zatem jeśli klasa średnia byłaby również nieliczna, to musiałoby to prowadzić do zdecydowanej przewagi klasy niższej – najuboższej. A ubogie społeczeństwo to społeczeństwo niezadowolone i sfrustrowane, a być może nawet zbuntowane. O żadnej stabilizacji nie może być w takich warunkach mowy. Dlatego w demokracjach liberalnych przywiązywano zwykle dużą wagę do kondycji klasy średniej, widząc w niej zaporę przed autorytarną lub populistyczną rewoltą.

Inna rzecz, że liberalne elity w warunkach kryzysu i topniejącej klasy średniej – zamiast wykazać troskę o swoich wyborców – zareagowały zwarciem szeregów i wrzuceniem swoich politycznych konkurentów do wspólnego worka z faszystami i populistami. Skutkiem, który możemy dziś zaobserwować w wielu państwach Europy Zachodniej,

eprasa.pl 9e095ef298

jest stopniowe wykruszanie się autorytetu tradycyjnych partii politycznych i rosnąca polaryzacja.

Po 1989 r. polskie ugrupowania liberalne – począwszy od Unii Demokratycznej, skończywszy na Platformie Obywatelskiej – również próbowały integrować wokół siebie nowo powstałą klasę średnią i opierać na niej swoją władzę. Udało to się jedynie częściowo, biorąc pod uwagę losy obydwu Unii: Demokratycznej i Wolności, oraz dzisiejszą słabość PO. Przyczyn tego stanu rzeczy jest kilka, ale jedną z najważniejszych jest zapewne słabość polskiej klasy średniej i jej duża niejednorodność dochodowa. Po prostu jedynie nielicznym udało się wskoczyć na odpowiednio wysoki pułap dochodów, a potem z tych pozycji bronić swojego stanu posiadania przed „uzurpatorami". Ci „uzurpatorzy" to inaczej większość klasy średniej, która nie miała tyle szczęścia – a może, tak jak dodają niektórzy – wystarczających układów i znajomości.

ILE TYSIĘCY NA GŁOWĘ?

W badaniach przeprowadzonych w 2019 r., a więc przed pandemią, przez Polski Instytut Ekonomiczny (PIE) klasę średnią definiuje się według dwóch kryteriów. Pierwsze to kryterium dochodowe, zgodnie z którym o przynależności do klasy średniej decydują dochody rozporządzalne w wysokości od 1,5 tys. do 4,5 tys. zł na jednego członka rodziny. Poniżej kwoty 1,5 tys. zł na członka rodziny mamy do czynienia z klasą niższą, a powyżej 4,5 tys. zł z klasą wyższą. Dochód rozporządzalny to – w dużym skrócie – kwota zarobiona na czysto po odliczeniu wszystkich kosztów stałych. Jeśli więc – przykładowo – rodzina wywodząca się z klasy średniej składa się z czterech osób, to jej miesięczne dochody powinny wynieść na czysto od 6 tys. aż do 18 tys. zł. Dla bezdzietnej pary z tej samej klasy odpowiednio mniej – od 3 tys. do 9 tys. zł.

Drugie kryterium ma charakter zawodowy (klasa średnia w rozumieniu społecznym). Zgodnie z nim do klasy średniej zaliczają się m.in. osoby samozatrudnione, menedżerowie niższego szczebla oraz pracownicy umysłowi wykonujący – jak to wdzięcznie nazwano – pracę rutynową, a zatem rozmaici urzędnicy, obsługa firm itp.

Oba kryteria nie są z sobą tożsame. Przykładowo 11,4 proc. osób wywodzących się z niższej klasy zawodowej przynależy dochodowo do klasy wyższej i aż 36 proc. do klasy średniej. Można więc powiedzieć, że nie zawsze poziom wykształcenia czy kompetencji kulturowych idzie w parze z grubością portfela.

RZESZA DOROBKIEWICZÓW

Według wyliczeń PIE do klasy średniej (rozumianej dochodowo) zalicza się w Polsce ponad 11 mln osób. To bardzo dużo, liczbowo wręcz europejska czołówka, przy czym można sądzić, że większość z tych ponad 11 mln stanowią ci o niższym dochodzie rozporządzalnym, a zatem ci, którzy bywają nazywani niższą klasą średnią. Przy przedłużającym się kryzysie lub większym tąpnięciu gospodarczym wielu z tych „niższych średniaków" może spaść do klasy niższej. Zwłaszcza że – jak wynika z przytoczonych badań – blisko połowa polskiej klasy średniej (45 proc. w 2019 r.) nie zdołała dotąd zgromadzić żadnych oszczędności. Żyją więc z bieżących zarobków. Podczas pandemii oszczędności Polaków jeszcze bardziej stopniały, w przeciwieństwie do bogatych państw Europy Zachodniej, gdzie doszło do odwrotnej sytuacji – obywatele zamożnych krajów UE, mając ograniczony dostęp do konsumpcji, więcej oszczędzili.

Trudno więc mówić, że Polska stoi klasą średnią. To raczej rzesza broniących się przed deklasacją dorobkiewiczów. Przy czym część z nich zagrożenie dla swoich dochodów widzi nie w wadliwej strukturze polskiej gospodarki, która ciągle konkuruje o rynki tańszą siłą roboczą i produkcją, lecz w zaborczym państwie.

Fot. pis.org.pl

eprasa.pl 9e095ef298

Świadczą o tym różne, nierzadko krytyczne opinie o zmianach podatkowych, które zamierza wprowadzić rząd w ramach Polskiego Ładu. W tej kwestii część „średniaków" mówi jednym głosem z klasą wyższą, choć interesy obu grup są w rzeczywistości rozbieżne. Mówiąc w skrócie, skoro najbogatsi płacą w Polsce relatywnie mniej niż inne grupy (podatek liniowy, składka zdrowotna), to oznacza to, że te inne grupy – w tym „średniacy" – muszą się zrzucać na najbogatszych.

Polski Ład ma nieco zrównoważyć te dysproporcje podatkowe. Ulgę odczują słabiej zarabiający, ci z klasy niższej lub z niższej klasy średniej, ale pod warunkiem, że pracują na etacie. Zarabiający powyżej 6 tys. zł brutto na etacie mają nie stracić dzięki nowej uldze. Z kolei etatowcy z zarobkami ponad 11 tys. zł brutto zapłacą nieco więcej, choć w przypadku tych, którzy nie przekroczą 13 tys. zł, będą to minimalne obciążenia, nie większe, niż wynosi cena jednej filiżanki kawy w warszawskiej kawiarni.

Łatwo więc zauważyć, że nowe rozwiązania dotkną głównie samozatrudnionych. Zwłaszcza tych, którzy szukają w tej formie ucieczki przed podatkami, w szczególności przed wyższą składką na ubezpieczenie zdrowotne. I to zapewne oni najbardziej sprzeciwiają się zmianom podatkowym.

NARZEKAJĄCY NAJBOGATSI

W obronie samozatrudnionych stanął ostatnio Rafał Trzaskowski, który wyszedł z inicjatywą założenia związku zawodowego samozatrudnionych. Cóż to miałoby być, tego nie wie nikt. Chodzi zapewne o zagospodarowanie głosów najlepiej zarabiających spośród klasy średniej. Przy czym, dodajmy z pełną brutalnością, że owi najbogatsi zawdzięczają część swoich dochodów rozmaitym przywilejom, takim jak podatek liniowy, możliwość wrzucania wielu wydatków w koszty i wreszcie relatywnie niskiej składce zdrowotnej. Inaczej mówiąc, gdy oni zyskiwali, ktoś inny musiał w zamian dokładać, a zatem tracić. Nietrudno się zorientować, że do wspólnej kasy dorzucała się większość, czyli ci o niższych zarobkach. Taki system, w którym uboższa większość finansuje ulgi bogatszej mniejszości, rzeczywiście doskonale się wpisuje w model państwa, który preferowała i – jak widać – ciągle preferuje Platforma Obywatelska.

Kto dziś wspiera PO? To właśnie ta licząca kilkanaście procent najbogatsza grupa Polaków, często roszczeniowa oraz pełna pogardy dla „frajerów" i „hołoty", czyli dla stojącej niżej w ekonomicznej hierarchii większości społeczeństwa. Narzekająca na słabą jakość usług publicznych, zwłaszcza edukacji i służby zdrowia, ale absolutnie nieskora do tego, aby wziąć odpowiedzialność za wspólne państwo i wyłożyć parę złotych więcej z własnej kieszeni.

> System, w którym uboższa większość finansuje ulgi bogatszej mniejszości, doskonale wpisuje się w model państwa, który preferowała i ciągle preferuje Platforma Obywatelska

Oczywiście nie oznacza to, że pozostali, ci mniej zamożni „średniacy", składają się – na odwrót – z samych zwolenników PiS. Tak nie jest, jakaś część niższej klasy średniej również sytuuje się po stronie antypisu, przy czym robi to z przyczyn niemających bezpośredniego związku z dochodami. Zarabiają mniej, ale – mimo to i niekiedy na własną finansową szkodę – wiernie imitują zachowania oraz poglądy bogatszych w nadziei, że sami kiedyś dołączą do ich grupy.

Są również wśród uboższych „średniaków" przedstawiciele lewicowej wielkomiejskiej inteligencji, niespecjalnie bogaci, ale za to solidnie nafaszerowani antypisowskim radykalizmem. Ci jednak wspierają wszelkie działania na rzecz progresji podatkowej, konfrontując się tym samym z niezbyt wyrafinowanymi „libkami".

Nie brakuje też wreszcie „wolnorynkowców" spod znaku Konfederacji, zwykle drobnych przedsiębiorców, wyznających proste, schematyczne zasady, trzymających się z daleka od lewicy i zarazem nieufnych wobec politycznej giętkości Platformy.

Czy ktokolwiek w takim razie zostaje z tego grona dla PiS? Pewnie niewielu, ale – jak się wydaje – obóz rządzący nie zamierza o tę grupę specjalnie zabiegać, tak jak nie zabiega o elektorat wielkomiejski czy o najbogatszych. Jasne jest bowiem, że te grupy i tak go nie poprą. Lepiej więc koncentrować się na tych, którzy mogą się odwdzięczyć swoim głosem w wyborach. Np. na niżej uposażonych, których w Polsce jest ciągle większość.

KWESTIA DOCHODÓW

Ta niżej uposażona grupa „średniaków" – zarabiająca na etatach od 2 do 5 tys. zł – to w Polsce łącznie 18 mln osób. Jest więc o co walczyć. Premier Mateusz Morawiecki w niedawnym wywiadzie dla „Polski Times" wyjaśnił obrazowo, że zachodnie społeczeństwa przypominają kształtem elipsę, gdzie „najcieńsze końce to grupy osób najbogatszych i najbiedniejszych, a najgrubszy środek to właśnie klasa średnia". Tymczasem w Polsce społeczeństwo przypomina piramidę – na wąskim szczycie najbogatsi, a u szerokiej podstawy – najbiedniejsi. Chodzi o to, aby ta piramida zaczęła się powoli przekształcać w elipsę. W przeciwnym razie biedniejszych będzie przybywało.

Potwierdzają to badania Pew Research Center z 2018 r., z których wynika wyraźnie, iż kurczenie się amerykańskiej klasy średniej jest skorelowane ze wzrostem nierówności majątkowych. Inaczej mówiąc, najbogatsi tuczą się na klasie średniej, niszcząc jej biznesy i przejmując jej dochody.

Inna rzecz, że takiej metamorfozy nie dokona się wyłącznie za pomocą zmian podatkowych (choć są one krokiem we właściwym kierunku). Redystrybucja ma sens, ale pod warunkiem, że jest co dystrybuować. Jest to jednak niemożliwe bez wcześniejszego wyrwania się z zaklętego kręgu „taniej siły roboczej", która od ponad 30 lat jest podstawą polskiej gospodarki. Zwrócono na to zresztą uwagę w przyjętej w 2017 r. przez rząd Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Polacy muszą więc więcej zarabiać, aby potem mieli się czym dzielić i budować stabilne, zdrowe gospodarczo państwo.

eprasa.pl 9e095ef298

Trzeba się zastanowić nad długofalowymi skutkami dla polskiej polityki, także skutkami wyborczymi, mocnego powiedzenia dziś przez państwo sporej części młodego pokolenia Polaków: „A teraz to wy staniecie się bezpaszportowym gorszym sortem”

Fot. Shutterstock

„Paszportowcy”, czyli nowa klasa wolnej szlachty

eprasa.pl 9e095ef298

JAN ROKITA

Jakiś entuzjazm ogarnął ostatnio rząd Morawieckiego, gdy idzie o wprowadzenie u nas tzw. paszportów zdrowotnych. Parę dni temu minister Niedzielski z dumą mówił na falach jednej z rozgłośni radiowych, iż „musi się pochwalić, że jesteśmy bardzo zaawansowanym krajem w Europie, gdyż mamy certyfikat kodowy QR już od dawna dostępny". Wszelkie zastrzeżenia dotyczące samej istoty „paszportu zdrowotnego" lekceważył zaś sloganem, iż „nie jest wyznawcą teorii spiskowych". Z kolei jego zastępczyni, wiceminister Goławska, traktuje całą kwestię w kategorii europejskiej rywalizacji o to, który kraj najszybciej dobiegnie do paszportowej mety, okazując tym swoją wyższość nad innymi. „Ostateczną datą jest 25 czerwca, ale my będziemy gotowi raczej z początkiem miesiąca" – mówi Goławska. „Staramy się, by podłączyć się do tego systemu unijnego jak najszybciej". Polskie testy techniczne systemu paszportowego, w tym także jego zgodności z wymogami unijnymi, zakończyły się w maju. Zatem można przypuszczać, że już za chwilę pierwsi entuzjaści paszportów będą mogli otrzymać utęsknione zakodowane dane o swoim zdrowiu, które uczynią z nich nową uprzywilejowaną klasę współczesnej „wolnej szlachty", mającej wyłączność na korzystanie z pełni obywatelskich praw.

RÓŻNE PRAWA W RÓŻNYCH KRAJACH

Już 20 maja portugalska prezydencja w Radzie UE ogłosiła, iż zgodnie z unijnymi wymogami traktatowymi zawarte zostało porozumienie między państwami członkowskimi i europarlamentem w sprawie paszportów. Całe szczęście, że negocjacji nad treścią tego porozumienia nie wygrali najwięksi unijni huraentuzjaści, którzy chcieli centralnej unijnej bazy danych i ujednoliconego spisu przywilejów, jakimi mają zostać obdarzeni właściciele paszportów. Ostatecznie zatem uznano regułę suwerenności państw członkowskich, zarówno w oznaczaniu zakresu tych przywilejów, jak i gdy idzie o gromadzenie oraz ochronę danych.

To oznacza w praktyce, że „paszportowcy" nie będą posiadać takich samych praw we wszystkich krajach, a nawet nie będą mieć gwarancji swobodnego poruszania się po Europie. Co prawda państwa mają mieć obowiązek uprzywilejowanego traktowania „paszportowców" na granicach i nieczynienia im jakichkolwiek utrudnień w poruszaniu się, to jednak w wyjątkowych wypadkach, po dokonaniu co najmniej dwa dni wcześniej odpowiedniej notyfikacji, będą mogły wprowadzać czasowe restrykcje graniczne, takie choćby jak wymóg kwarantanny, a w ostateczności nawet zamknięcie granicy. Do suwerennych decyzji państw należeć będzie także ogłoszenie listy pozaunijnych szczepionek uznawanych za wystarczające; chodzi rzecz jasna przede wszystkim o rosyjskiego Sputnika V oraz chiński preparat Sinopharm.

Jednolity w całej Unii kod QR ukrywać będzie: imię i nazwisko, datę urodzenia, daty i miejsca szczepień oraz nazwy zastosowanych szczepionek, historię przebytych infekcji koronawirusem, rodzaje i daty testów oraz ich wyniki, a także dane instytucji sanitarnej, która paszport wystawiła. Forma paszportu będzie cyfrowa (aplikacja na smartfonie) albo tradycyjna – czyli papierowego dokumentu.

Parlament Europejski cały czas domaga się wprowadzenia uzupełniająco systemu darmowych testów w skali całej Unii. Jest w tym żądaniu pewna wolnościowa logika, wedle której dyskryminacja przyszłych „bezpaszportowców" byłaby mniejsza, gdyby za darmo mogli się oni poddać niezwłocznie testowi (np. na granicy), dowodząc w ten sposób, że nie są roznosicielami zarazy. To by oznaczało, że i tak „bezpaszportowcy" będą obywatelami drugiej klasy, ale po przebyciu pewnych kłopotów i stracie sporej ilości czasu również oni mogliby podróżować między krajami unijnymi. Jednak rządy państw nie godzą się na takie kosztowne i skomplikowane menedżersko rozwiązanie, z którego wprowadzeniem miał już tyle kłopotów ambitny niemiecki minister zdrowia Jens Spahn. Kompromis polega zatem na tym, że Komisja Europejska wyasygnuje spore pieniądze na to, aby jednak pod unijnym patronatem uruchomić jakieś punkty darmowych testów.

KOMU PO CO TE PASZPORTY

Presja na jak najszybsze wprowadzenie paszportów ma trojaką naturę. Jej motyw pierwszy i najbardziej klarowny – to z utęsknieniem wyczekiwany „powrót normalności", na który liczą ci, którzy mieli już dostęp do szczepionki i chcieli się zaszczepić. Większość spośród nich lekceważy ryzyko i obawę o wykluczenie innych z obywatelskiej wspólnoty i jednolitych praw. I nie ma się co specjalnie temu dziwić.

Motyw drugi – to oczywiście pieniądze. To nie przypadek, że silne lobby stworzyły kraje śródziemnomorskie, z Grecją i Włochami na czele, dla których natychmiastowa i pełna wolność podróżowania dla „paszportowców" to ostatnia nadzieja na nieutracenie drugi rok z rzędu dochodów z turystyki, decydujących dla finansowego potencjału ich budżetów. Zresztą już na własną rękę zarówno Rzym, jak i Ateny jako pierwsze zredukowały wymogi wjazdu na swoje terytoria do jednego testu, niekoniecznie najaktualniejszego, a na dodatek (potwierdziły mi to ostatnio prywatne opowieści młodych Niemców) masowo fałszowanego na smartfonach, co staje się powoli ulubionym „sportem" młodzieży przekraczającej granice. Interes w paszportach ma też biznes cyfrowy i nie tylko cyfrowy. Np. IBM przygotowuje na zlecenie rządu w Berlinie aplikację na smartfony, rozmaite zaś pomysły na zarobienie pieniędzy przy tej okazji są modne zwłaszcza w kręgu innowacyjnych start-upów. Pomysłów biznesowych jest bez liku: np. na błyskawiczną produkcję odzieży z wmontowanymi czipami, w których zakodowane by zostały wszystkie dane paszportu zdrowotnego. W takim ubraniu turysta byłby jeszcze bardziej „wolny" od wszelkich kontroli i restrykcji.

eprasa.pl 9e095ef298

Motyw trzeci – ma naturę bardziej ideologiczną. Tacy politycy jak Manfred Weber – niemiecki chadek i szef grupy EPP w Parlamencie Europejskim – nie kryją tego, iż chcą jak najszybszego „odzyskania wolności przez osoby zaszczepione, przetestowane lub wyzdrowiałe". Trudno nie dostrzec, że za tym pośpiechem kryje się polityczna nadzieja na to, iż wszelkiej maści antyszczepionkowcy, wielbiciele Trumpa, brexitowcy, nacjonaliści czy zwolennicy AfD zostaną zmuszeni do podporządkowania się sanitarnej poprawności. A jeśli nie – to w końcu znajdzie się sposób na ich ukaranie poprzez wykluczenie z kręgu obywateli korzystających z pełni praw w liberalnym społeczeństwie. W potocznym politycznym oglądzie antyszczepionkowcy utożsamiani są bowiem z prawicowymi antyglobalistami; możliwe zresztą, że dlatego, iż faktycznie antylockdownowe rozruchy i manifestacje w całej Europie były organizowane i firmowane przez konserwatywną prawicę. Jeszcze niedawno prezydent Macron (ostro i stanowczo), a za nim także kanclerz Merkel (trochę łagodniej i mniej zdecydowanie) deklarowali, iż „nigdy nie zaakceptują systemu, w którym dostęp do tego czy innego kraju miałby zostać uzależniony od jakiegoś certyfikatu" (to słowa Macrona z marca 2021 r.). Ale porozumienie wynegocjowane 20 maja przez portugalską prezydencję zaprzeczyło tamtym zobowiązaniom. Przekraczanie granic będzie już niedługo zależne od „jakiegoś certyfikatu", a Macron musiał się na to zgodzić, gdyż nic nie słychać było o francuskim wecie.

OBYWATELE DRUGIEJ KATEGORII

Chodzi tylko o to, iż taka strategia oddzielenia „lepszych" (a więc pełnoprawnych) od „gorszych" (a więc niepełnoprawnych) obywateli państw Unii pozostaje nie tylko w oczywistej sprzeczności z oświeceniowym ideałem liberalnego społeczeństwa, dla którego równość praw jest warunkiem sine qua non jego istnienia. Dane pochodzące z badań socjologicznych pokazują, że ów podział może się dokonać wedle zaskakujących i niebezpiecznych (także dla jego twórców) kryteriów.

Wedle globalnych badań Gallupa (publikowanych w maju) na dziesięciu mieszkańców ziemskiego globu trzech mówi, iż na pewno się nie zaszczepi, trzech dalszych zaś nie wie, co zrobić, albo odmawia odpowiedzi. Gallup oblicza, że to oznacza mniej więcej liczbę 1,3 mld ludzi, przy czym najwyższa szczepionkowa dyscyplina deklarowana jest w krajach azjatyckich (np. Birma czy Indie – powyżej 90 proc.). Gdy idzie o Europę, społeczeństwa unijne plasują się mniej więcej w środku stawki.

Pierwszy zatem problem – to niebotyczna liczba tych, których system paszportów zepchnie do roli obywateli drugiej kategorii. Ale problem drugi – to kim będą owi nowi wykluczeni. I tu badania nie pozostawiają wątpliwości, zwłaszcza gdy idzie o Europę, wyniki polskie, opublikowane w końcu kwietnia przez rządowy Polski Instytut Ekonomiczny, są zaś charakterystyczne: aż 60 proc. ankietowanych w przedziale wiekowym 18–34 lat odpowiadało: „Nie będę się szczepić". Niższe poczucie zagrożenia, naturalny nonkonformizm właściwy młodemu wiekowi czy po prostu przekora będąca częścią coraz ostrzej zarysowującego się konfliktu pokoleń. Nie jest ważne, jaka przyczyna jest tą główną, gdy idzie o postawę ludzi młodych. Politycznie kluczowy jest nagi fakt, że nowymi wykluczonymi będą w większości bynajmniej nie konserwatywni starcy, małomiasteczkowi i ze wsi, którzy z obawy o swe życie karnie pomaszerowali do szczepień, a teraz tak samo karnie pójdą po odbiór swych paszportów, nawet jeśli nie będą mieć pewności, czy one im się do czegoś przydadzą. Ale kontestujący rzeczywistość młodzi, którzy przez długi czas nie mieli dostępu do szczepień, a teraz, gdy ów dostęp się otwiera, nie mają wcale poczucia jakiegoś poważnego zagrożenia przez zdychającą powoli zarazę.

> „Paszportowcy" nie będą posiadać takich samych praw we wszystkich krajach, a nawet nie będą mieć gwarancji swobodnego poruszania się po Europie

To truizm, iż najlepiej by było, gdyby się wszyscy zaszczepili. Ale dziś już wiadomo z pewnością, że tak się nie stanie. Rządy (także ostatnio rząd polski) czynią w związku z tym różne piarowskie zabiegi, jak konkursy i loterie z nagrodami, które można wygrać tylko za sam fakt szczepienia. Rządy nie różnią się w tym od sieci handlowych, które konkursami i promocjami skłaniają ludzi do całonocnego wystawania w kolejce przed sklepami, a potem do bójek o pierwszeństwo wejścia. To jest oczywiście tandetna polityka, choć zapewne przyniesie jakieś efekty. Jednak w rezultacie wielkich błędów i niekonsekwencji, jakich państwa dopuściły się w zwalczaniu zarazy do tej pory, nieufność do polityki sanitarnej i szczepień nie zostanie zapewne na skalę masową przełamana. Ani w Polsce, ani gdzie indziej w Europie.

Rzecz jasna w obliczu potężnej unijnej presji nie sposób w ogóle wyobrazić sobie polskiego oporu w sprawie paszportów, skoro skutecznie „uciszono" nawet tak zawziętego zazwyczaj Macrona. Tylko może nie warto okazywać tak bezrefleksyjnego entuzjazmu paszportowego, jak to robi ostatnio polski rząd. Skoro udało się w Unii zyskać przynajmniej to, iż zakres przywilejów dla „paszportowców" będzie określany przez same państwa, to można zrobić to w Polsce jak najostrożniej, tak by owych przywilejów było u nas jak najmniej, a nowy podział społeczny na nową klasę „wolnej szlachty" i „gorszych obywateli" jak najsłabiej odczuwalny. No i zastanowić się nad długofalowymi skutkami dla polskiej polityki, także nad skutkami wyborczymi, mocnego powiedzenia dziś przez państwo sporej części młodego pokolenia Polaków: „A teraz to wy staniecie się bezpaszportowym gorszym sortem".

eprasa.pl 9e095ef298

Każdy z nas powinien się zreformować

Niepokoi mnie pewna tendencja – katolicy, którzy słusznie pragną oczyszczenia Kościoła, nieraz zapominają, że coraz istotniejsze, rozstrzygające, są relacje z Bogiem. To jest dziś najważniejsze. I nieuleganie pokusie aksamitnego chrześcijaństwa, jakiejś wersji light, żeby pozyskać „zwolenników"

Z Aliną Petrową-Wasilewicz, dziennikarką Katolickiej Agencji Informacyjnej, autorką kilkunastu książek i laureatką Nagrody im. bp. Chrapka „Ślad", rozmawia Goran Andrijanić

Fot. Andrzej Wiktor

Właśnie ukazała się pani książka „Uratować tysiąc światów", biografia siostry franciszkanki Rodziny Maryi Matyldy Getter. Ratowała ona żydowskie dzieci podczas II wojny światowej we współpracy z Ireną Sendlerową. Czy takie historie interesują jeszcze młodych? Może ich bohaterkami teraz są już tylko kobiety takie jak Marta Lempart, które wykrzykują wulgaryzmy na ulicach i obrażają wszystkich dookoła? Przecież ona uważa, że działa w imię wolności!

Alina Petrowa-Wasilewicz: Przeszłość nie fascynuje dziś większości młodych ludzi. Mają swoje dynamiczne i wciąż zmieniające się „dziś", swoich instagramerów, youtuberów, bohaterów mediów społecznościowych, którzy mogą liczyć na miliony odsłon. Badania wykazały, że nastolatki marzą o karierze instagramerek czy szafiarek. To jest powszechne. Istnieją jednak środowiska, które pasjonują się historią i mam nadzieję, że do nich dotrze moja książka, bo matka Matylda to postać wyjątkowa. Odważna, ale i rozważna, zdająca egzamin z człowieczeństwa w każdej sytuacji. W czasach pokoju zakładała sierocińce, podczas wojny opiekowała się jej ofiarami, troszczyła o ubogich, współpracowała z podziemiem. I podjęła to najbardziej ryzykowne zadanie – ratowała zagrożonych śmiercią Żydów i wraz ze współsiostrami tak perfekcyjnie zorganizowała ich ukrywanie, że wszyscy szczęśliwie doczekali końca wojny. To fenomen na skalę europejską.

Zakonnicom i ukrywającym się Żydom stale groziło niebezpieczeństwo. Zdarzały się nieprawdopodobne sytuacje, które opisuję. I to może, mam nadzieję, przykuć uwagę także młodych czytelników. Sądzę też, że matka Madylda doskonale uczy, czym jest prawdziwa wolność – ona nie polega na wykrzykiwaniu rozmaitych haseł na ulicach, lecz na sprzeciwianiu się złu, na odrzuceniu nieludzkich, barbarzyńskich reguł, czasem w ukryciu i bez rozgłosu.

Czy młodzi ludzie naprawdę odeszli, jak twierdzi wielu, od tradycyjnych wartości, takich jak odpowiedzialność, poświęcenie, ofiara?

Ponownie powołam się na badania. Wykazują one, że Polska jest najszybciej laicyzującym się krajem na świecie, a większość młodych ma lewicowe poglądy. Wygląda na to, że wyrasta pierwsze pokolenie Polaków, które jest obojętne religijnie i bardzo krytycznie, nieraz wrogo, nastawione do Kościoła katolickiego.

Wraz z zanikiem religijności zmieniają się priorytety, hierarchia wartości, które kształtują wybory życiowe. Wraz z zanikiem chrześcijaństwa wartości, takie jak ofiara i poświęcenie, umieranie dla kogoś czy jakichś wielkich spraw i ideałów, stają się niezrozumiałe. Koncentracja na własnych potrzebach, samorealizacja, autoekspresja zastępują dotychczasowe drogowskazy.

Czy one są lepsze? Ci młodzi powinni sami się o tym przekonać, innej drogi nie ma. Być może przejdą drogę bohatera powieści Michela Houellebecqa, który zastanawia się, że być może jego pokolenie uległo złudzeniom indywidualizmu, wolności, otwartego życia, nieskończonych możliwości, że zbyt chętnie i bezkrytycznie poszli z duchem czasu. Gdyby jednak, po własnych wędrówkach i próbach, poczuli niewystarczalność dzisiejszych propozycji i duchowy głód, muszą mieć gdzie wrócić. I być zaakceptowani.

Jestem Chorwatem mieszkającym w Polsce. Odkąd tu jestem, ciągle mam wrażenie, że w tym kraju dzieje się coś ważnego, nawet w sensie duchowym, co dotyczy nas wszystkich w tej części Europy, nie tylko Polaków. Zgadza się pani z tym czy to tylko moje wyobrażenie?

eprasa.pl 9e095ef298

Ja jestem pół Bułgarką, pół Polką, więc tak jak pan mam dystans, zresztą do obu moich ojczyzn. I zgadzam się z panem. Ale jest to temat trudny, delikatny, drażliwy, obchodzony szerokim łukiem. Bo z jednej strony spraw duchowych nie sposób udowodnić. Z drugiej pojęcie Polski – Chrystusa narodów (a wiemy, że nie tylko Polacy mieli taką wizję własnej historii) mocno przemawiało do kilku pokoleń, ale też zostało wyśmiane i wyszydzone, gdyż miało podsycać megalomanię narodową. Nie ma więc tematu.

Wiem, że się narażę, bo powiem rzecz bardzo niepopularną – widzę tę duchową misję Polski. Słyszałam wiele opowieści z czasów zaborów, II wojny światowej i komunizmu, w których uwidaczniała się „podszewka" duchowa i metafizyczna walki Polaków o wolność. Chodziło o wizję człowieka i Boga, o to, by odwołać się do Wielkiej Improwizacji: czy Bóg jest Ojcem, czy carem? Czy człowiek jest wolny z natury, czy jest niewolnikiem? Intuicja podpowiada mi, że polskie walki toczyły się o to, że kosztowały życie bardzo wielu ludzi. Można tę „obronę obrazu Boga i człowieka" dostrzec w walce o niepodległość w okresie zaborów, w czasie okupacji i powstania warszawskiego czy komunizmu. Tu nie chodziło tylko o własne państwo czy godziwe warunki materialne, ale o ludzką wolność i godność, za którą ujmuje się Stwórca.

I dziś, gdy człowieka redukuje się do jego biologicznych funkcji, ta wizja jest bezcenna, gdyż stawia tamę nowym zniewoleniom, które są skutkiem fałszywie pojmowanej wolności. Ta walka trwa, może obecnie jest jeszcze bardziej dramatyczna, bo destrukcja będzie głębsza.

Napisała pani książkę „Kapłanki czy kury" o matkach, które poświęciły się wychowaniu dzieci i macierzyństwu, które zmieniło ich życie. A dzisiaj macierzyństwo jest postrzegane jako źródło represji?

Feminizm liberalny paradoksalnie działa przeciwko kobietom. Można to zobaczyć na wielu polach. Owszem, kobiety uzyskały wszystkie prawa, które były zastrzeżone dla mężczyzn (ale o to jeszcze zawalczyły poczciwe sufrażystki). Jednak skutki tej wolności są nieraz bardzo uciążliwe dla kobiet, np. ich samotne macierzyństwo z powodu nieodpowiedzialności ojca dziecka. Owszem kobiety pracują zawodowo, realizują się, ale są podwójnie obciążone – pracą zawodową i macierzyństwem. Antykoncepcja czyni je „wolnymi", ale pociąga za sobą negatywne skutki zdrowotne, bo antykoncepcja koncentruje się przeważnie na „neutralizacji" kobiet. Sport kobiecy zostanie prawdopodobnie zniszczony przez transpłciowych mężczyzn, którzy z oczywistych względów będą wygrywać każde zawody. Proszę zwrócić uwagę, jaka jest cena równości, którą płacą przede wszystkim kobiety.

A jako prawdziwa feministka mam największe pretensje do feministek liberalnych za to, że nie walczyły o to, żeby kobiece wartości – macierzyństwo, tworzenie bezpiecznego i dobrego domu – zostały docenione na równi z wartościami ważnymi dla mężczyzn. Przeciwnie, feministki całkowicie przejęły i narzucają swoim „siostrom" wartości męskiego, na dodatek niezbyt subtelnego świata – dominację, siłę, sukces, znaczenie w środowisku. A skoro ignorujemy świat kobiecych wartości, życie rodzinne i macierzyństwo, nie możemy ich także cenić. Stąd to pogardliwe powiedzenie o „kurach domowych", utożsamianie pracy w domu z ograniczeniem umysłowym, brakiem ambicji itd.

To mocna presja kulturowa na kobiety, nie każda ją wytrzymuje. Stąd wziął się pomysł książki o kobietach, które w pełni doceniają rolę żon i matek, realizują się w nich, rozwijają intelektualnie i duchowo. Moje bohaterki odkryły małą drogę duchową w codzienności zwykłych zajęć i podążają nią, realizując się też zawodowo, choć w skromniejszym zakresie.

Dużo mówi się o potrzebie reformy Kościoła i kryzysie, w jakim się znalazł, o ludziach, którzy go opuszczają, szukaniu rozwiązań... Jakie jest pani spojrzenie na tę kwestię?

To pytanie na odrębną rozmowę. Chyba wszyscy się zgodzimy, że Kościół jest w kryzysie i potrzebne są reformy. W potocznej świadomości, i słusznie, dwie sprawy wysuwają się na pierwszy plan – problem nadużyć seksualnych i ubóstwa duchownych. Pierwsza powinna być rozwiązana w sposób zdecydowany i konsekwentny, winni ukarani, a do opinii publicznej powinny trafiać informacje o tych działaniach. Druga jest trudniejsza i choć bogactwo Kościoła jest wyolbrzymione, jednak mimo wszystko należy zwracać na to uwagę.

Ale mnie niepokoi pewna tendencja – katolicy, którzy słusznie pragną oczyszczenia Kościoła, nieraz zapominają, że coraz ważniejsze, rozstrzygające, są relacje z Bogiem i że każdy z nas też powinien się zreformować. Czy jesteśmy przekonującymi świadkami? Czy Bóg, w którego wierzymy, mógłby zachwycić i zafascynować ludzi, z którymi się spotykamy? Osobiste relacje z Bogiem – to jest dziś najważniejsze. I nieuleganie pokusie aksamitnego chrześcijaństwa, jakiejś wersji light, żeby pozyskać „zwolenników".

Matka Teresa z Kalkuty miała taki sposób postępowania – nie mówiła kandydatkom do jej zakonu żadnych miłych słówek, że tu się zrealizujesz, tu jest taka świetna wspólnota itd. Dziewczyna była od razu posyłana do podopiecznych, którzy umierali. Przekaz był jasny – czy decydujesz się na krzyż? Czy tego chcesz?

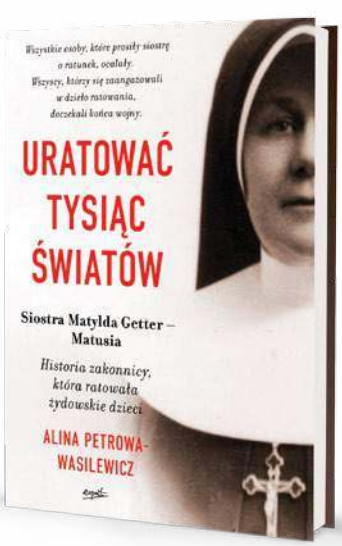

eprasa.pl 9e095ef298

Jasia nie doczekała się tatusia

Historia rodziny Borychowskich jak w soczewce skupia w sobie los wielu polskich rodzin, które za pomoc Żołnierzom Wyklętym cierpiały przez dziesięciolecia. Najstarsza z rodzeństwa, Janina, odeszła niedawno, nie dowiadując się, gdzie pochowany jest jej ojciec

MARCIN WIKŁO

Oni są wyjątkowi, bo w nich jak w lustrze może się przejrzeć niejeden cichy polski bohater. To rodzina symbol – mówi mi Arkadiusz Gołębiewski. Reżyser ponad 15 lat temu opowiedział historię Mariana i Czesławy Borychowskich oraz czwórki ich dzieci w filmie „Sny stracone, sny odzyskane". 30 września 1950 r. ich dom w podlaskiej wsi Borychowo otoczyły milicja i KBW. Ktoś doniósł, że ukrywają się tam partyzanci. Rzeczywiście nocą przyszło do nich czterech z patrolu Arkadiusza Czapskiego „Arkadka" z VI Brygady Wileńskiej AK. – Tatuś mówił, że mamy mało miejsca, ale przecież psa się nawet nie wygania, a co dopiero człowieka. Pozwolił im zostać, nakarmił, dał schronienie – opowiadają w filmie. Pamiętają to dobrze, choć byli przecież dziećmi. Janina miała 17 lat, Stasia – 12, Stasio – 10, najmłodsza była siedmioletnia Tereska.

Represje były okropne. Ojca i matkę zamknięto w celach milicyjnego aresztu w Sokołowie Podlaskim. Wśród osadzonych znalazła się także najstarsza córka Janina. Trójkę młodszych dzieci zamknięto w specjalnym pokoju na piętrze katowni. – Jedzenie przynosili jak każdemu aresztantowi, ale nie było się gdzie umyć. Kibelek mieliśmy w tym pokoju. Najgorsze było to, jak słyszeliśmy zza ściany krzyki ojca. Oni go tam bili, a my słyszeliśmy – mówią. Po latach głos wciąż grzęźnie w gardle. – Przyszedł ubowiec i pyta się, dlaczego krzyczymy. Bo słyszeliśmy, jak biją tatusia. Co odpowiedział? Wasz tatuś to jest zdrajca.

Czesławę Borychowską doprowadzono do takiego stanu psychicznego, że lekarz zabronił oprawcom dalszych przesłuchań. Potem kobieta zachorowała na żółtaczkę. Za pomoc „bandytom" skazano ją na 10 lat więzienia, wyszła na mocy amnestii po czterech. Prawie dorosła Jasia była torturowana i bestialsko bita, po czym zostały głębokie blizny. Sadzano ją na odwróconym krześle, byle tylko powiedziała, kto jeszcze się u nich ukrywał. Nie powiedziała. Została w celi przez półtora roku. Dwie młodsze dziewczynki i ich brata zawieziono po miesiącu od aresztowania do różnych domów dziecka w Otwocku. Tam na dzień dobry

Fot. fot. Arkadiusz Gołębiewski

eprasa.pl 9e095ef298

ogolono ich na łyso i powiedziano, że są dziećmi bandytów.

Ojciec, Marian, trafił do aresztu na Rakowiecką. Zmarł w lutym 1951 r., nie doczekał procesu, ale wyrok zapewne byłby skazujący, raczej nie uniknąłby kary śmierci. Do dzisiaj jego szczątków nie odnaleziono, przez lata najbliżsi byli pewni, że wrzucono go do dołów śmierci na powązkowskiej Łączce.

SPÓŹNILIŚMY SIĘ

Z informacją o tym, że Janina zmarła, do Arkadiusza Gołębiewskiego zadzwoniła jej siostra Tereska. – Jasia nie doczekała się, że tatusia znajdą. A ja, panie Arkadku, się doczekam? – zapytała starsza kobieta z dziecięcą szczerością.

Podczas pogrzebu Janiny Sobiczewskiej (nazwisko po mężu) minister Wojciech Kolarski odczytał list od prezydenta Andrzeja Dudy, który odznaczył kobietę Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski: „Historia naszej Ojczyzny utkana jest z indywidualnych historii ludzkich, z dziejów poszczególnych osób, rodzin, wspólnot lokalnych. W opowieściach tych przejawia się często to, co w polskości najcenniejsze i najpiękniejsze".

Prof. Krzysztof Szwagrzyk wspominał wydarzenia sprzed dziewięciu lat, gdy zespół IPN rozpoczynał prace poszukiwawcze w kwaterze „Ł" na Powązkach. Przychodziło wówczas do nich sporo osób, głównie rodzin, które miały nadzieję na odnalezienie swoich bliskich. Przyszło także pewnego dnia rodzeństwo Borychowskich, prowadzone jak zawsze przez najstarszą Jasię. – I ja, i mój zespół usłyszeliśmy wówczas ich historię po raz pierwszy. Poznaliśmy niesamowitą, piękną rodzinę. Ludzi, którzy w warunkach ciemnej stalinowskiej nocy zachowali się pięknie. Udzielili schronienia, przyjęli pod dach, nakarmili Żołnierzy Wyklętych, chłopców z lasu, swoich. Bo tak trzeba było. Tak czuli. Byli Polakami, byli katolikami, nie godziło się postąpić inaczej. Zapłacili za to ogromną cenę. Nie tylko wtedy. Aż trudno uwierzyć, że po 1989 r. wciąż musieli walczyć – mówił Szwagrzyk.

Wiadomo, że na Łączce pogrzebani byli wielcy polscy bohaterowie, że do dołów śmierci wrzucono tutaj i gen. Emila Fieldorfa „Nila", i płk. Łukasza Cieplińskiego, a także najprawdopodobniej rtm. Witolda Pileckiego. Marian Borychowski nie był żołnierzem, tylko i aż pomagał, choć groziła mu śmierć. Czy jego bohaterstwo było mniejsze? Prof. Szwagrzyk nie pokazuje tego po sobie, ale irytują go dziennikarze wypytujący, kiedy zostaną odnalezieni ci najważniejsi. Oczywiście, że wszystkim na tym zależy, ale odsyła wtedy do wspomnień takich osób jak rodzina Borychowskich. – Wtedy na Łączce pani Janina zadawała proste pytanie, gdzie jest pochowany tatuś. Zawsze i tylko tak o nim mówiła – wspomina prof. Szwagrzyk. – Spóźniliśmy się, dopiero nad jej grobem mogę powiedzieć, że Marian Borychowski został pogrzebany na Powązkach, ale nie na Łączce. Kilka pól dalej, w kwaterze F2, w rzędzie 6, w grobie 31. Przed nami jeszcze jeden obowiązek. Miejsce jest wskazane, ale są tam współczesne groby. Musimy odnaleźć szczątki pana Mariana i godnie je pochować – powiedział nie bez żalu historyk.

To jest kolejny akt tej tragedii. Wiadomo, w którym miejscu należy szukać, ale na wierzchu są późniejsze groby, często należące do aktywnych uczestników systemu komunistycznego. Jest więc prawny impas. „Dzieci kwatery Ł" – jak w kolejnym filmie nazwał ich Arkadiusz Gołębiewski – wciąż czekają na odnalezienie szczątków swoich ojców i godne ich upamiętnienie.

PAMIĘTAMY O NICH

Po latach okazało się, kto ich wydał. To sąsiad Czesław Białowąs, zarejestrowany później jako TW „Michał". W PRL szanowany pracownik oświaty. Publikował nawet w ogólnopolskich periodykach wiersze, które posłużyły IPN do analizy jego licznych donosów.

A Borychowscy przez lata milczeli. Schorowana Czesława, gdy wyszła z więzienia, zabrała dzieci z domów dziecka i musiała zacząć życie od nowa. Okazało się, że ich dom i gospodarstwo rozkradziono. Dzieci w końcu rozjechały się po Polsce, a matka zmarła w 1984 r. Nie doczekała się oczyszczenia z komunistycznych zarzutów. Jedyną, podkreślmy, jedyną rzeczą, którą rodzeństwo ma dzisiaj z całego dobytku ich rodziców, jest ślubna fotografia. Jak najcenniejszy skarb przechowuje ją Teresa.

Ile jest jeszcze takich historii? O ilu wiemy, a ile zostanie zabranych do grobów? O rodzinie Borychowskich dowiedzieliśmy się dzięki niestrudzonej pracy Fundacji PamiętaMY i takich osób jak mec. Grzegorz Wąsowski, dr Kazimierz Krajewski czy obecny szef MSWiA Mariusz Kamiński. To z ich inicjatywy w Borychowie już w 2005 r. stanął pomnik ku czci ojca tej bohaterskiej rodziny.

W końcu nadeszło też dobre słowo z najwyższego szczebla. W 2007 r. w Pałacu Prezydenckim odbyła się piękna uroczystość. Lech Kaczyński, któremu wyjątkowo bliskie i drogie były bohaterskie postawy zwykłych ludzi, odznaczył pośmiertnie Mariana Borychowskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. To wtedy Janina Sobiczewska miała okazję powiedzieć do wzruszonej Marii Kaczyńskiej: „Jesteśmy bardzo dumne, że w końcu przestałyśmy być »dziećmi bandytów«".

Lech Kaczyński, któremu wyjątkowo bliskie i drogie były bohaterskie postawy zwykłych ludzi, odznaczył pośmiertnie Mariana Borychowskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. To wtedy Janina Sobiczewska miała okazję powiedzieć do wzruszonej Marii Kaczyńskiej: „Jesteśmy bardzo dumne, że w końcu przestałyśmy być »dziećmi bandytów«"

eprasa.pl 9e095ef298

Rejs nr FR 4978, czyli samobójstwo

Dlaczego Łukaszenka zdecydował się na tak ryzykowną akcję? Wersja o szaleństwie tracącego kontakt z rzeczywistością wystraszonego białoruskiego satrapy jest pociągająca, ale nie wytrzymuje krytyki

MAREK BUDZISZ

Ateny nie otrzymały żadnej informacji o podłożeniu bomby na pokładzie samolotu linii Ryanair, rejs nr FR 4978, lecącego z Aten do Wilna – poinformowała grecka gazeta „Proto Thema", powołując się na oficjalny komunikat miejscowego Urzędu Lotnictwa Cywilnego. Przedstawiciele lotniska w Wilnie również zaprzeczyli, jakoby otrzymali maile nadane rzekomo przez Hamas z informacjami, że na pokładzie samolotu znajdują się ładunki wybuchowe. Nawet Hamas zaprzeczył, aby to jego komórki wysłały informację o bombie w samolocie. „Nie uciekamy się do takich metod" – powiedział rzecznik organizacji Fawzi Barhoum.

ZDARZYŁO SIĘ 24 MAJA

Przedstawiciele lotniska w Atenach twierdzą, że samolot został gruntownie sprawdzony i wyleciał w swój lot do Wilna punktualnie o godzinie 10.15 w niedzielę 24 maja br. Jednak nie wszystko było w porządku, bo Raman Pratasiewicz, były redaktor naczelny białoruskiego kanału informacyjnego Nexta, który został aresztowany po tym, jak samolot zmienił trasę lotu i wylądował w Mińsku, powiedział jednemu ze swych rozmówców, że miał

dyktatora

wrażenie, iż jest śledzony. Jego uwagę szczególnie wzbudziła grupa rosyjskojęzycznych współpasażerów, z których jeden, mężczyzna, starał się sfotografować jego kartę pokładową. Po tym jak Pratasiewicz zauważył jego zabiegi, ten szybko odszedł na koniec kolejki czekających na odprawę.

Te wszystkie informacje są ważne, bo tak długo, jak nie ma wyników oficjalnego międzynarodowego dochodzenia na temat powodów, dla których samolot Ryanair z 172 osobami na pokładzie zmienił kurs i niespodziewanie wylądował w stolicy Białorusi, skazani jesteśmy na dziennikarską rekonstrukcję wydarzeń.

Tym bardziej że oficjalna wersja prezentowana przez białoruskiego dyktatora jest – najłagodniej mówiąc – niespójna. Najpierw Łukaszenka twierdził, że to piloci samolotu poinformowali wieżę kontroli lotów, iż na pokładzie jest bomba i muszą lądować awaryjnie, co po opublikowaniu zapisów rozmów okazało się nieprawdą. Potem pojawiła się wersja o tajemniczych e-mailach, rzekomo od Hamasu, z których jeden miał być wysłany z komputera o polskim adresie IP, by potem się okazało, tak przynajmniej twierdzili przedstawiciele reżimu, że jednak przyszedł on ze Szwajcarii. Oficjalne media białoruskie kolportowały też informacje, że samolotu Ryanaira nie chciały przyjąć lotniska we Lwowie, Warszawie ani w Wilnie, czemu zresztą zaraz przedstawiciele tych portów lotniczych stanowczo zaprzeczyli, twierdząc, że nawet nie byli o to pytani.

Wreszcie Łukaszenka, występując publicznie na spotkaniu z parlamentarzystami, powiedział, że samolot musiał zostać sprowadzony na ziemię, bo zachodziło ryzyko, że może się rozbić w białoruskiej elektrowni atomowej w Ostrowcu lub zostać zestrzelony przez ochronę przeciwlotniczą obiektu. „Mało wam było jednego Czarnobyla" – grzmiał z trybuny białoruski dyktator. Rosyjska „Nowaja Gazieta" napisała, komentując jego wystąpienie, że Łukaszenka ma zadziwiającą cechę. Mianowicie nawet jeśli bezczelnie kłamie, to bardzo wierzy w przedstawianą przez siebie wersję wydarzeń.

SAMOLOT ZMIENIA KURS

Co zatem spowodowało, że samolot, którym do Wilna leciał Raman Pratasiewicz ze swoją dziewczyną, wylądował w Mińsku? Wadim Łukaszewicz, rosyjski ekspert ds. lotnictwa cywilnego, zwraca uwagę na dziwne zachowanie załogi samolotu, który znajdował się w momencie zmiany kursu 70 km od lotniska w Wilnie. „Jeśli lot przebiega normalnie, to na 177 km przed lądowaniem trzeba zacząć redukować wysokość, a co za tym idzie – prędkość lotu, bo inaczej nie uda się bezpiecznie wylądować – dowodzi. – Ale w tym wypadku nic takiego nie zaszło. Boeing Ryanair leciał na pełnej wysokości przelotowej, co sprawia wrażenie, iż piloci za wszelką cenę chcieli opuścić przestrzeń powietrzną Białorusi. Prawie im się to udało, bo zmienili kurs, będąc nad Lidą, jakieś 11 km od granicy z Litwą. Wystarczyły dwie minuty – argumentuje Łukasiewicz – aby samolot znalazł się nad Litwą i kwestia sprowadzenia go na ziemię, zakładając teoretycznie, że wersja z bombą była prawdziwa, byłaby już problemem litewskich służb kontroli lotów. Nawet z tego punktu widzenia zachowanie Białorusinów jest nielogiczne, bo przekierowanie lotu do Mińska oznacza, że samolot z bombą dłużej będzie znajdował się w powietrzu".

Fot. ONLINER.BY / AFP / EastNews, Drop of Light / Shutterstock

eprasa.pl 9e095ef298

Fot. AP Photo / Sergei Grits / EastNews

Wersja o bombie na pokładzie boeinga nie trzyma się kupy jeszcze z innego powodu. Jak ujawnili dziennikarze portalu New Lines Magazine, rzekomy mail Hamasu z informacją o ładunku wybuchowym został wysłany 24 minuty po tym, jak białoruska wieża kontroli lotów poinformowała o rzekomej bombie pilotów samolotu. Dziennikarze Radia Swoboda ironizują w związku z tym, że Łukaszenka musi mieć maszynę umożliwiającą podróże w czasie, skoro wiedział o ładunku wcześniej, niż rzekomo nadszedł mail od Hamasu.

Wadim Łukaszewicz nie ma wątpliwości co spowodowało zmianę zachowania pilotów. Był to myśliwiec MiG-29 białoruskich sił zbrojnych, który pojawił się na dwie minuty przed opuszczeniem przez boeinga białoruskiej przestrzeni powietrznej. Holenderski portal Oryx, specjalizujący się w kwestiach wojskowych, opublikował nawet film, na którym widać myśliwiec uzbrojony w sześć pocisków rakietowych, który realizował misję sprowadzenia na ziemię samolotu lecącego do Wilna. „To kapitan podejmuje zawsze ostatecznie decyzję – argumentuje rosyjski ekspert – ale coś musiało wpłynąć na to, że zdecydował się na dłuższy, niemal 200-kilometrowy i znacznie bardziej niebezpieczny lot, w sytuacji kiedy do Wilna miał 70 km". W jego opinii białoruski myśliwiec musiał zademonstrować gotowość do zestrzelenia samolotu pasażerskiego, innego logicznego wyjaśnienia zmiany zachowania pilotów Ryanaira nie ma. „Kak twoja familia, swołocz?" – zapytał w pewnym momencie rosyjski ekspert, mając na myśli pilota białoruskiego MiG-a, który zaryzykował życie 172 pasażerów i załogi samolotu pasażerskiego tylko po to, aby dyktatorowi dostarczyć ściganego na Białorusi 26-letniego dziennikarza.

Z ROSYJSKIM WSPARCIEM?

Rosyjscy komentatorzy są przekonani, że operacja przechwycenia samolotu i aresztowania Ramana Pratasiewicza wymagała zaangażowania wielu służb i decyzje musiały być podejmowane na najwyższym szczeblu, najprawdopodobniej przez samego Łukaszenkę. Nie można też oczywiście wykluczyć zaangażowania „bratniego" rosyjskiego FSB. Przynajmniej dwie poszlaki wskazują na to, że Moskwa nie tylko wiedziała o tym, co się szykuje, lecz również jej agenci brali udział w operacji. Osobną, wartą rozważenia jeszcze kwestią jest odpowiedź na pytanie, czy wszyscy w rosyjskiej elicie władzy wiedzieli o akcji Łukaszenki, bo może tylko niektórzy, a cała operacja jest też częścią wewnątrzrosyjskiej rozgrywki. W Mińsku oprócz zmuszonych do przerwania lotu byłego redaktora naczelnego kanału Nexta i jego przyjaciółki, studiującej w Wilnie obywatelki Rosji Sofii Sapiegi, zrezygnowało z dalszej podróży jeszcze czterech pasażerów boeinga z rosyjskimi paszportami, co zdaniem obserwatorów może świadczyć, że w skład „grupy realizacyjnej" śledzącej figuranta wchodzili rosyjscy agenci. Skądinąd wiadomo, że Grecja jest krajem spenetrowanym przez rosyjskie służby, które działają tam z dużą swobodą, czego nie można powiedzieć o dość siermiężnym białoruskim KGB, a zatem wydaje się, że podpisana jeszcze jesienią ubiegłego roku specjalna umowa o bliskiej współpracy służb specjalnych obydwu krajów zaczyna przynosić pierwsze efekty.

> Operacja przechwycenia samolotu i aresztowania Ramana Pratasiewicza wymagała zaangażowania wielu służb i decyzji samego Łukaszenki. Nie można też wykluczyć zaangażowania w nią „bratniego" rosyjskiego FSB

MOTYWY ŁUKASZENKI

Pojawia się oczywiste w kontekście tego, co się stało, pytanie, dlaczego Łukaszenka zdecydował się na tego rodzaju ryzykowną akcję? Wersja o szaleństwie tracącego kontakt z rzeczywistością wystraszonego satrapy jest pociągająca, ale nie wytrzymuje krytyki. Z pewnością mamy do czynienia z drastycznym zaostrzeniem przez reżim represji wobec opozycji. W tygodniu poprzedzającym porwanie samolotu w więzieniu zamordowany został Witold Aszurak, skazany w styczniu członek kierownictwa Białoruskiego Frontu Narodowego. Władze pierwotnie twierdziły, że ten zdrowy 50-letni mężczyzna, który nie skarżył się wcześniej na problemy z sercem, miał zawał. Ale po tym, jak rodzina zobaczyła zmasakrowane zwłoki opozycjonisty, stało się

eprasa.pl 9e095ef298

jasne, że został on brutalnie pobity. Kilka dni po zatrzymaniu Pratasiewicza, którego zresztą też pobito i zmuszono – najprawdopodobniej szantażem – do wystąpienia w oficjalnych mediach, drakońskie siedmioletnie wyroki więzienia dostali Paweł Seweryniec, lider białoruskiej chadecji i jego towarzysze. Wraz z pogarszającą się sytuacją gospodarczą kraju, zwłaszcza w związku z wchodzącymi w życie w czerwcu amerykańskimi sankcjami, które objęły firmy białoruskiego sektora paliwowego i chemicznego, reżim obawia się wzrostu aktywności opozycji i kolejnej fali demonstracji, a może nawet strajków, których boi się zdecydowanie bardziej niźli ulicznych protestów. W ten sposób, pokazując stanowczość, Łukaszenka może chcieć przejąć z rąk opozycji inicjatywę, a może ją po prostu zastraszyć. Franak Wiaczorka, bliski współpracownik i doradca ds. polityki zagranicznej Swiatłany Cichanouskiej, zwrócił uwagę, że podróżowali oni tym samym rejsem z Aten do Wilna, tyle że tydzień wcześniej. Mogło zatem chodzić o zastraszenie również Cichanouskiej, zwłaszcza że niemal równocześnie pojawiły się informacje o zbliżającym się procesie jej męża, siedzącego w więzieniu od końca maja ubiegłego roku.

Białoruski reżim mógł też nie docenić wstrząsu, jaki jego akcja wywoła na Zachodzie. Dotychczas przedstawiciele władz w tonie dość lekceważącym wypowiadali się na temat europejskich sankcji, a eksperci udowadniali, że w 2010 r., kiedy również Łukaszenka walczył z opozycją, reakcja Europy była szybsza, sankcje zaś bardziej dolegliwe. Być może w Mińsku uważano, że po serii retorycznych potępień Zachód wróci do polityki w stylu bussines as usual, co zresztą nie jest wykluczone.

Wydaje się, że możemy mieć też do czynienia z innymi motywami. Liberalny, jak na rosyjskie standardy, moskiewski dziennik „Niezawisimaja Gazieta", którego redaktor naczelny Konstantin Remczukow stał na czele komitetu wyborczego mera Moskwy Sobianina, opublikował trzy dni po porwaniu boeinga komentarz redakcyjny, w którym niedwuznacznie sugerował, iż Łukaszenka gra wespół z liderami rosyjskiego bloku siłowego. W świetle tej narracji w interesie Mińska jest kreowanie się na ofiarę agresji kolektywnego Zachodu i obrońcę Moskwy, wysuniętą kasztelanię, ważną w czasie zaostrzenia konfliktu. To dlatego Łukaszenka od pewnego czasu mówi, że Białoruś jest atakowana w ramach wojny nowej generacji. Przyjęcie przez Kreml takiej narracji obiektywnie wzmacnia pozycję białoruskiego reżimu, bo przecież nie zmienia się dowódcy oddziałów frontowych odpierających agresję. Moskwie też łatwiej się pogodzić w takich okolicznościach z wyłożeniem na rzecz Mińska dodatkowych 5 mld dol. rocznie, bo na tyle białoruscy eksperci szacują ekonomiczny skutek gospodarczej izolacji kraju w następstwie sankcji. Paradoksalnie podobny interes mają umacniający swą władzę rosyjscy siłowicy. Przekształcenie Federacji Rosyjskiej w oblężoną twierdzę nie tylko utwierdza ich dominację w rodzimej polityce, lecz również na trwałe obezwładnia wewnątrzsystemową, w ramach szeroko rozumianego obozu władzy, opozycję. Jej przedstawiciele, tacy jak choćby Siergiej Czemiezow, prezes zbrojeniowego giganta Rostech, a prywatnie kolega Putina jeszcze z czasów drezdeńskiej rezydentury, chcą kontrolowanego otwarcia na Zachód po to, aby z jednej strony modernizować rosyjską gospodarkę w oparciu o europejskie technologie, a po drugie „rozegrać wielką partię" wyparcia Ameryki z Europy i zawiązania strategicznego sojuszu z tandemem francusko-niemieckim. Z pozycji oblężonej twierdzy tego rodzaju strategii nie da się realizować.

Dlaczego Łukaszenka zdecydował się na działanie właśnie teraz? Może chodzi o zapowiedziane na połowę czerwca spotkanie Biden–Putin? Jakakolwiek odwilż na linii Moskwa–Waszyngton czy choćby normalizacja relacji obiektywnie zwiększa wpływy umownych „liberałów" w rosyjskim obozie władzy, w którym napięcia w związku z wrześniowymi wyborami do Dumy są widoczne gołym okiem. Nawet chwilowe zawieszenie broni na linii Moskwa–Zachód jest śmiertelnym zagrożeniem dla Łukaszenki, bo wówczas może się zrealizować scenariusz, o którym otwarcie mówił niedawno prezydent Emmanuel Macron, wzywając Putina, aby ten zaprowadził „porządek" w Mińsku, usuwając coraz bardziej niebezpiecznego satrapę. Z punktu widzenia rosyjskich elit jest to zresztą scenariusz marzenie. Zachód proszący Putina o to, aby ten usunął w imię demokracji i praw człowieka tyrana, który na dodatek przez lata blokował połączenie obydwu państw. To tak, jakby jednym uderzeniem zdobyć w meczu od razu dwie bramki.

eprasa.pl 9e095ef298

Wywiad, który zmieni oblicze BBC?

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Dziennikarz BBC dopuścił się oszustwa, by przeprowadzić wywiad z księżną Dianą. Ta historia sprzed ćwierć wieku jest dziś wodą na młyn konserwatywnych brytyjskich polityków, którzy twierdzą, że publiczny nadawca wcale nie jest tak rzetelny, jak twierdzi

British Broadcasting Corporation, w skrócie BBC, najstarszy publiczny nadawca oraz jedna z największych firm medialnych na świecie, będzie w przyszłym roku świętować 100-lecie swojego istnienia. Rocznicowe przygotowania idą pełną parą. W końcu BBC to międzynarodowa twarz Wielkiej Brytanii, jeden z fundamentów brytyjskiej kultury, jak twierdzą autorzy książki „Wojna przeciwko BBC" (The war against the BBC) Patrick Barwise i Peter York.

Niestety brytyjski nadawca publiczny ma przykry zwyczaj wikłania się w skandale, które każą wątpić w jego bezstronność i rzetelność, co jest wodą na młyn konserwatywnych polityków uważających, że BBC jest instytucją skostniałą, etatystyczną, korporacyjną, wrogo nastawioną do biznesu, eurofilską, a przede wszystkim wyraźnie lewicową. Już Margaret Thatcher zarzucała temu nadawcy „brak patriotyzmu", m.in. w związku z tym, jak relacjonował wojnę o Falklandy.

Tym razem zarzewiem skandalu stał się wywiad sprzed ćwierć wieku, którego księżna Diana udzieliła młodemu reporterowi BBC Martinowi Bashirowi, ujawniając ciemne strony życia w brytyjskiej rodzinie królewskiej. Lady Di, której małżeństwo z księciem Karolem, następcą brytyjskiego tronu, przechodziło wówczas poważny kryzys, przyznała się przed kamerami do tego, że cierpi na bulimię, miała depresję poporodową, jej małżeństwo składa się „z trzech osób" (tą trzecią była obecna żona Charlesa Camilla Parker-Bowles), a rodzina królewska widzi w niej „zagrożenie". Padły też gorzkie słowa pod adresem królowej Elżbiety II. Wywiad wywołał ogromną sensację – obejrzało go ponad 20 mln Brytyjczyków – i odcisnął trwałe piętno na brytyjskiej monarchii. Dwór widziany oczami „księżnej ludzkich serc" na trwałe zagościł w popkulturze, co widać choćby na przykładzie popularnego Netflixowego serialu „The Crown".

JAK ZDOBYĆ ZAUFANIE

Już wtedy, w 1995 r., pojawiły się podejrzenia, że Bashir zmanipulował żonę księcia Karola, by wydobyć z niej interesujące go informacje. Młody i nikomu nieznany wówczas dziennikarz miał sfałszować dokumenty bankowe sugerujące, że tabloidy oraz służby bezpieczeństwa dworu płacą ludziom z otoczenia Diany za śledzenie jej podczas burzliwego rozwodu z księciem Karolem. Bashir pokazał fałszywe wyciągi bankowe bratu Diany, Charlesowi Spencerowi, bo chciał, by ten poznał go ze swoją siostrą. W ten sposób dziennikarz miał podsycić paranoję księżnej, która uważała, że dwór jest do niej negatywnie nastawiony, a członkowie rodziny królewskiej piorą jej brudy w prasie. W 1996 r. nadawca wszczął w tej sprawie śledztwo, które zakończyło się oczyszczeniem Bashira z wszelkich podejrzeń. Kluczowa okazała się przy tym notatka sporządzona własnoręcznie przez Dianę, w której księżna zarzekała się, że dziennikarz „nie pokazał jej żadnych dokumentów" ani nie przekazał jej „żadnych nowych informacji, nic, o czym by nie wiedziała wcześniej". Dodała, że nie żałuje udzielonego wywiadu. Sprawa została więc zamieciona pod dywan przez ówczesnego dyrektora BBC Lorda Halla. Niesmak i podejrzenia jednak pozostały. I nie opuściły Bashira na kolejnych etapach jego kariery, która po „wywiadzie stulecia" z księżną Dianą dopiero się rozkręciła.

Bashir do 1999 r. pracował w BBC, następnie przeniósł się do ITV, potem do NBC i ABC, by w 2016 r. powrócić do publicznego nadawcy w roli korespondenta ds. religijnych. Po drodze zrobił setki wywiadów, m.in. z Michaelem Jacksonem czy żonami popularnych piłkarzy (tzw. WAGS). Kontrowersje towarzyszyły mu przez cały czas. Jak twierdzi była żona irlandzkiego piłkarza George'a Besta, Bashir „podstępem oraz alkoholem skłonił ją do zwierzeń na temat jej prywatnego życia". „Pojawił się w moim życiu w trudnej chwili, przekonał mnie, żebym mu zaufała i zachęcił do picia alkoholu. Potem nakręcił film dokumentalny, z którego wynikało, że jestem alkoholiczką i w końcu zabiję swojego męża" – twierdzi Alex Best. Według niej Bashir to „wąż i rekin".

Nie tylko celebryci padli ofiarą nieetycznych metod Bashira. Na początku lat 90., jeszcze zanim wszedł na salony i stał się „bliskim przyjacielem" Lady Di, dziennikarz zajmował się sprawami kryminalnymi. W 1991 r. „pożyczył" od matki

eprasa.pl 9e095ef298

Martin Bashir rozmawia z księżną Dianą

zamordowanej dziewięciolatki ubranie, by przeprowadzić na nim badania DNA. Karen Hadaway i jej szkolna koleżanka zostały zamordowane cztery lata wcześniej w Brighton (Morderstwa „Babes in the Wood"). Ubrania nigdy nie oddał, a mogło ono posłużyć jako dowód w procesie zabójcy dziewczynek. Russel Bishop został uniewinniony z powodu braku dowodów. Dopiero w 2018 r. sąd skazał go za podwójne zabójstwo w ponownym procesie. Bashir nigdy nie przeprosił matki dziewczynki, Michelle Hadaway, za swoje postępowanie. Twierdził, że nie pamięta, co zrobił z ubraniem małej Karen.

ZDOLNY MANIPULATOR

Jonathan Maitland, były kolega Bashira z BBC, uważa, że zrobił on karierę dzięki swoim „wyjątkowym" zdolnościom do manipulacji. Może i tak, ale to nie tłumaczy zachowania nadawcy finansowanego z pieniędzy publicznych, który tuszował skandale z udziałem swojego reportera, a w 2016 r., mimo ciążących na nim podejrzeń, ponownie go zatrudnił. Gdyby nie brat Lady Di, Charles Spencer, kariera Bashira trwałaby w najlepsze. Spencer wysłał pod koniec 2020 r. list do Tima Daviego, dyrektora zarządzającego BBC, w którym ponownie oskarżył Bashira o zmanipulowanie go w 1995 r. w celu uzyskania wywiadu z księżną Dianą. BBC znów uruchomiła dochodzenie, które tym razem przeprowadził były sędzia Sądu Najwyższego lord John Dyson. Wykazało ono, że Bashir działał w sposób nieetyczny i nieuczciwy, a BBC nie spełniła własnych wysokich standardów. Dziennikarz przyznał się w międzyczasie do błędu – przynajmniej częściowo: „To było głupie i bardzo tego żałuję" – powiedział. Jednocześnie stwierdził, że nie skrzywdził Diany, a ona „i tak by mi udzieliła tego wywiadu".

Po publikacji raportu syn Lady Di, książę William, stwierdził, że BBC zachowała się haniebnie, podsycając paranoję jego matki, co miało doprowadzić do „znacznego pogorszenia się relacji jego rodziców". Szczególna krzywda – jak dodał – „spotkała jego ojca, księcia Karola". Obaj synowie, William i Harry, podkreślili, że stosowane przez Bashira metody i wynikająca z nich fałszywa narracja przyczyniły się do śmierci ich matki dwa lata później.

Może Diana udzieliłaby wywiadu Bashirowi, jak dziennikarz twierdzi, nawet bez jego manipulacji. Faktem jest, że była z niego zadowolona. Z drugiej strony księżna przez lata odmawiała wszelkich wywiadów – odrzuciła nawet propozycję królowej amerykańskiej telewizji Oprah Winfrey.

Najnowszy skandal zmobilizował przeciwników BBC, tych w Partii Konserwatywnej oraz wśród jej komercyjnych rywali, którzy mają nadzieję na głęboką reformę publicznego nadawcy. Tym bardziej że zgłaszają się kolejne ofiary Bashira, w tym rodzina Michaela Jacksona, która twierdzi, że dziennikarz w swoim filmie dokumentalnym o gwieździe pop z 2003 r. pt. „Żyć z Michaelem Jacksonem" (Living with Michael Jackson) niesłusznie zrobił z piosenkarza pedofila.

KONIEC ABONAMENTU?

Brytyjski premier Boris Johnson obiecał w 2019 r., że zreformuje BBC. Firma zatrudnia ponad 22 tys. osób i posiada blisko sto kanałów telewizyjnych oraz radiowych. Długo uchodziła za symbol bezstronnego dziennikarstwa. Te czasy jednak – jak twierdzą brytyjscy konserwatyści – już dawno minęły. „Należy zadać sobie pytanie, czy dalsze finansowanie BBC z abonamentu ma sens, gdy inni nadawcy znaleźli na to inne sposoby. Dlaczego każdy, kto ma telewizor, miałby płacić abonament za określony zestaw kanałów, których może wcale nie ogląda?" – argumentował Johnson w grudniu 2019 r.

Obecnie każdy Brytyjczyk musi płacić abonament w niebagatelnej wysokości 157 funtów. To daje ok. 5 mld funtów rocznie i stanowi 76 proc. całych dochodów publicznego nadawcy. Reforma miałaby polegać na dekryminalizacji obowiązku płacenia abonamentu. Obecnie Brytyjczyk, który się od tego uchyla, może zapłacić około tysiąca funtów kary. Gdy tego nie zrobi, może nawet trafić do więzienia.

Jeśli płacenie abonamentu stanie się dobrowolne, BBC może stracić na tym setki milionów funtów, o stronniczości nadawcy przekonany jest bowiem nie tylko premier, lecz także wielu widzów. Zmiana zasad finansowania BBC mogłaby się rozpocząć w 2022 r. i wejść w życie w 2027 r. Do tej daty istnienie abonamentu gwarantuje królewski dekret. W styczniu 2021 r. reforma została tymczasowo zawieszona przez Johnsona, ale w obliczu najnowszego skandalu z Bashirem torysi zastanawiają się, czy do niej nie wrócić.

Konkurencja tymczasem nie śpi. W ciągu najbliższych kilku tygodni zostanie uruchomiony telewizyjny kanał informacyjny GB News, założony m.in. przez byłą gwiazdę BBC Andrew Neila i częściowo finansowany przez amerykański Discovery Channel.

eprasa.pl 9e095ef298

Spór o Sobór Watykański II

Czy Vaticanum Secundum odpowiada za jeden z największych kryzysów Kościoła katolickiego, który trwa do dziś?

GRZEGORZ GÓRNY

Historia katolicyzmu w drugiej połowie XX stulecia została zdominowana przez dwa zjawiska. Pierwszym z nich był Sobór Watykański II, drugim zaś trwający do dziś kryzys Kościoła, który w krajach zachodnich przybrał wręcz rozmiary masowej apostazji. Czy między tymi dwoma wydarzeniami istnieje związek przyczynowo-skutkowy? To temat dyskusji, jaka toczy się dziś w wielu środowiskach katolickich na całym świecie. Generalnie niemal wszyscy przyznają, że istnieje więź łącząca sobór z posoborową zapaścią, jednak pojawiają się trzy zasadniczo odmienne interpretacje tej zależności.

SEKULARYZACYJNE TSUNAMI

Trudno o większy kontrast niż zestawienie z jednej strony entuzjazmu, z jakim spotkały się reformy soborowe w Kościele, z drugiej zaś kryzysu, który wkrótce potem dotknął wspólnoty katolickie w licznych państwach świata. Bezpośrednio po zakończeniu obrad Vaticanum Secundum wieszczono wielkie odrodzenie religijne, pisząc o nowej wiośnie Kościoła, a nawet nowym wylaniu Ducha Świętego. Zamiast tego nastąpił jednak gwałtowny odpływ wiernych ze świątyń, spadek powołań kapłańskich, zanik praktyk sakramentalnych, a także odrzucenie nauczania Kościoła, zwłaszcza w sferze moralnej. Kraje, które jeszcze niedawno jawiły się bastionami katolicyzmu, jak np. Hiszpania czy Irlandia, zamieniły się w poligony agresywnego sekularyzmu. Nawet w państwach latynoskich, w których tożsamość narodowa wydawała się nierozerwalnie spleciona z katolicyzmem, wierni masowo porzucają Kościół, przechodząc do wspólnot protestanckich, zwłaszcza zielonoświątkowych i ewangelikalnych.

Fot. East News/Album

eprasa.pl 9e095ef298

Z tym zjawiskiem łączy się malejący wpływ zasad chrześcijańskich na życie publiczne w większości krajów świata. Kiedy w 1965 r. kończył się Sobór Watykański II, w żadnym państwie Zachodu nie było legalnej aborcji na życzenie, nie mówiąc już o eutanazji czy przywilejach małżeńskich dla par jednopłciowych. Nawet antykoncepcja była dostępna jedynie w nielicznych miejscach, a i to najczęściej na receptę lekarską.

To, co nastąpiło, kontrastowało zasadniczo z nadziejami i oczekiwaniami towarzyszącymi obradom Vaticanum Secundum. Ojcowie soborowi zapowiadali, że Kościół zyska nową dynamikę i dzięki nowoczesnym środkom wyrazu będzie umiał lepiej dotrzeć ze swym przesłaniem do współczesnego człowieka. W efekcie nie tylko zostanie pogłębiona wiara wewnątrz wspólnoty katolickiej, lecz także rozszerzy się jej wpływ na życie społeczeństw. Żadna z tych zapowiedzi nie została jednak spełniona. Co więcej, sprawy potoczyły się w przeciwnym kierunku. Czy wpływ na to miał sobór?

Są tacy, którzy twierdzą, że wywarł on dobroczynny wpływ na życie Kościoła, ponieważ przygotował go na nadchodzącą falę sekularyzacji, która i tak musiała nadejść. Gdyby nie on, to kryzys byłby znacznie większy. Problem z tą odpowiedzią polega jednak na tym, że jest ona nieweryfikowalna, ponieważ należy do gatunku „co by było, gdyby...". Nie wiemy, co by było, gdy sobór się nie odbył. Wiemy natomiast, co nastąpiło po jego zakończeniu. Na bazie tych faktów pojawiają się trzy główne interpretacje późniejszych wydarzeń.

ZAHAMOWANE REFORMY

Pierwszą diagnozę sformułowały środowiska umownie zwane progresywnymi. Ich zdaniem warunkiem skuteczności działania Kościoła jest większe otwarcie na świat i nawiązanie ściślejszego dialogu ze współczesną kulturą. Według nich sobór poszedł w tym kierunku, ale nie dość zdecydowanie, i zatrzymał się w połowie drogi. W efekcie nie dokończono reform, które powinny być zrealizowane. Dlatego właśnie nastąpił kryzys.

Wyrazicielami tego stanowiska stali się m.in. teologowie związani z czasopismem „Concilium", tacy jak np. Hans Küng, Gustavo Gutiérrez, Edward Schillebeeckx czy Karl Rahner. Niektórzy wprost wysuwali konieczność zwołania Soboru Watykańskiego III, który dokończyłby dzieło reform. Wielu z nich protestowało publicznie przeciw encyklice Pawła VI „Humanae vitae", zabraniającej katolikom stosowania antykoncepcji. Kontestowali też pontyfikat Jana Pawła II, zarzucając mu, że cofa Kościół do czasów przedsoborowych. Niektórzy przedstawiciele tego nurtu byli nawet upominani przez Kongregację Nauki Wiary, jak np. Küng, Schillebeeckx czy Charles Curran.

Podobne poglądy głosił również niezwykle wpływowy kard. Carlo Maria Martini z Mediolanu, który powtarzał, że najważniejszym zadaniem katolików jest nadrobienie 200 lat zapóźnienia, jakie Kościół ma wobec współczesnego świata. Według niego Kościół popełnił błąd, nie przyswajając sobie zdobyczy oświecenia, i od tamtej pory stracił kontakt z nowoczesnością. Dlatego konieczna jest przyspieszona modernizacja.

Jego zdaniem zwołanie kolejnego soboru nie spełniłoby takiego zadania, ponieważ tego typu wydarzenie, gromadzące tysiące biskupów z całego świata, może się odbywać raz na kilkadziesiąt lat, tymczasem zapóźnienie Kościoła wymaga szybkich i radykalnych zmian. Dlatego proponował on wybranie ścieżki synodalizacji. W tej optyce najskuteczniejszym instrumentem przeprowadzania reform są synody, które mogą być zwoływane dość często i reagować na bieżąco na pojawiające się problemy.

W tym duchu rozwija się obecnie m.in. tzw. droga synodalna w Niemczech, która stawia przed sobą cztery cele: doprowadzić do nowego podziału władzy w Kościele, czyli zwiększyć kompetencje świeckich kosztem prerogatyw biskupów; zmienić etykę seksualną Kościoła, zwłaszcza w odniesieniu do homoseksualizmu, a więc przestać uznawać stosunki jednopłciowe za grzeszne, a nawet wprowadzić jakąś formę błogosławienia takich par w świątyniach; znieść obowiązkowy celibat księży i doprowadzić do wyświęcania żonatych mężczyzn; wysunąć postulat nowych form sprawowania przez kobiety urzędów w Kościele, nie wykluczając także ich kapłaństwa.

Realizacja powyższych postulatów ma być najlepszą receptą na przezwyciężenie dzisiejszego kryzysu Kościoła. Problem polega jednak na tym, że tego typu rozwiązania wprowadzono już dawno w niektórych wspólnotach protestanckich, np. luterańskiej, a jednak nie zahamowało to procesu odchodzenia wiernych. Co więcej, proces sekularyzacji przebiega tam znacznie szybciej i gwałtowniej niż wśród katolików.

BŁĘDNA DROGA

Całkowicie odmienną diagnozę posoborowego kryzysu przedstawiły środowiska tradycjonalistyczne, których twarzą stał się abp Marcel Lefebvre. Ich zdaniem zapaść katolicyzmu wynikała z błędnej drogi, jaką obrał Sobór Watykański II. Dlaczego? Bo według nich niektóre przyjęte wówczas dokumenty stoją w sprzeczności z Magisterium Kościoła prezentowanym na przestrzeni wieków. Dotyczy to zwłaszcza konstytucji dogmatycznej o Kościele

eprasa.pl 9e095ef298

„Lumen gentium", konstytucji o liturgii świętej „Sacrosanctum concilium", dekretu o ekumenizmie „Unitatis redintegratio" oraz deklaracji o wolności religijnej „Dignitatis humanae". Owa sprzeczność, ich zdaniem, wynikała z przeniknięcia do Kościoła modernistycznych nurtów teologicznych, często związanych z myślą protestancką i oświeceniową.

Ekskomunika abp. Lefebvre'a w 1988 r. spowodowała, że tego typu refleksja znikła niemal z głównego nurtu debat w Kościele. Na każdego, kto wysuwał wątpliwości wobec Soboru Watykańskiego II, padał cień podejrzeń o sympatyzowanie ze schizmatykami. W ten sposób na wiele lat krytyka Vaticanum Secundum została zawężona głównie do środowisk lefebrystycznych, zwłaszcza Bractwa Kapłańskiego Świętego Piusa X.

W ostatnich latach, za pontyfikatu Franciszka, dyskusja na ten temat rozgorzała jednak na nowo, nawet w kręgach, które do tej pory dystansowały się wobec diagnoz abp. Lefebvre'a. Najmocniejsza krytyka soboru wychodzi obecnie spod klawiatury abp. Carla Marii Viganò, ale nie ustępuje mu wielu publicystów katolickich, m.in. tak opiniotwórczy watykaniści, jak Marco Tosatti czy Aldo Maria Valli.

Nawet w tym gronie nie ma jednak zgodności, co znaczy krytyka Vaticanum Secundum. Jest to pojęcie tak szerokie, że dla jednych może oznaczać uznanie soboru za nieważny lub heretycki, dla innych zaś za niejednoznaczny lub nierozważny. Drugie stanowisko wynika z faktu, że niektóre fragmenty dokumentów soborowych są napisane tak wieloznacznie, iż można je interpretować w różnoraki sposób, nawet taki, który jest sprzeczny z obowiązującym nauczaniem Kościoła. Do tej pory zawsze w przypadkach, kiedy pojawiała się tego typu niejednoznaczność, należało wyjaśniać wszelkie wątpliwości w świetle dotychczasowej tradycji Kościoła. Po Soborze Watykańskim II coraz mocniej zaczęła dochodzić jednak do głosu odmienna interpretacja, kładąca nacisk na to, co kard. Joseph Ratzinger nazywał „hermeneutyką zerwania" w opozycji do „hermeneutyki ciągłości".

Bp Athanasius Schneider z Astany uważa, że nieprecyzyjne wyrażenia pojawiające się w soborowych dokumentach należałoby, po spokojnej debacie teologicznej, dopracować i skorygować. Historia Kościoła zna zresztą takie przypadki, np. orzeczenia Soboru Florenckiego dotyczące sakramentu święceń kapłańskich zostały później szczegółowo doprecyzowane. Zabieg taki byłby tym bardziej usprawiedliwiony, że Sobór Watykański II nie miał charakteru dogmatycznego, lecz duszpasterski. Reprezentanci takiego stanowiska znajdują się dziś jednak w elitach katolickich w zdecydowanej mniejszości.

> Kiedy w 1965 r. kończył się Sobór Watykański II, w żadnym państwie Zachodu nie było legalnej aborcji na życzenie, nie mówiąc już o eutanazji czy przywilejach małżeńskich dla par jednopłciowych

FAŁSZYWE NADINTERPRETACJE

Najbardziej znanymi autorami trzeciej odpowiedzi wiążącej sobór z późniejszym kryzysem byli Jan Paweł II i Benedykt XVI. W 1985 r. kard. Joseph Ratzinger w książce „Raport o stanie wiary" przestrzegał, „by Soboru Watykańskiego II – jego oficjalnych deklaracji i autentycznych dokumentów – nie obciążać odpowiedzialnością za ewolucję posoborową, zdecydowanie przeciwstawną literze i duchowi dzieła Ojców Soboru".

Mówił wówczas: „Jestem przekonany, że szkody, które ponieśliśmy w ciągu ostatnich dwudziestu lat, nie są zawinione przez Sobór. Przyczyny znajdowały się »wewnątrz« Kościoła, w którym ujawniły się utajone przedtem siły – albo nieodpowiedzialne, albo tylko naiwne w swoim optymizmie – entuzjazmujące się nowoczesnością, a w rezultacie mylące postęp techniczny z prawdziwym, całościowym postępem. Szkody te zostały spowodowane także tym, co przyszło z »zewnątrz« jako skutek rewolucji kulturalno-obyczajowej średniego mieszczaństwa, które zdobyło przewagę na Zachodzie. To nowe, tzw. trzecie mieszczaństwo hołduje przede wszystkim indywidualizmowi, racjonalizmowi i hedonizmowi, w ramach wyznawanej przez siebie radykalno-liberalnej ideologii".

W tym ujęciu za kryzys odpowiedzialny jest nie tyle sobór, ile jego fałszywa nadinterpretacja. W podobnym duchu wypowiadał się Jan Paweł II w książce „Przekroczyć próg nadziei", w której jeden z rozdziałów nosił znamienny tytuł: „Sobór konieczny, lecz inny". Papież apelował, „ażeby interpretować Sobór w sposób właściwy, a bronić przed interpretacjami tendencyjnymi. Takie interpretacje bowiem istnieją, nie pojawiły się dopiero po Soborze, w pewnym sensie Sobór zastał je już w świecie, a nawet w Kościele, jako pewne dyspozycje albo antydyspozycje do jego przyjęcia i zrozumienia, a także wprowadzania w życie".

Takie stanowisko przez lata prezentował m.in. redaktor amerykańskiego magazynu „Crisis" Eric Sammons. Zmienił on zdanie na bardziej krytyczne wobec soboru, gdy uświadomił sobie, że tymi, którzy fałszywie interpretowali Vaticanum Secundum, byli sami Ojcowie Soborowi. W 1968 r. przeciw „Humanae vitae" zaprotestowali przecież masowo ci sami kardynałowie i biskupi niemieccy, austriaccy, holenderscy, belgijscy czy szwajcarscy, którzy kilka lat wcześniej redagowali i zatwierdzali soborowe dokumenty. Według Sammonsa „wrogie przejęcie" nastąpiło więc nie po zakończeniu soboru, lecz w jego trakcie.

Miarą wyzwania, przed którym staje dziś Kościół, jest fakt, że nawet Janowi Pawłowi II i Benedyktowi XVI nie udało się obalić fałszywej interpretacji Vaticanum Secundum, która dominuje dziś w większości intelektualnych środowisk na świecie. Przez 35 lat ci dwaj papieże wzywali do tego, by prawdziwie odczytać sobór, a jednak zadanie to się nie powiodło.

Dziś każdy, kto zastanawia się nad przyczynami współczesnego kryzysu, musi się cofnąć niemal 60 lat, do najliczniejszego zgromadzenia biskupów w historii Kościoła, zapowiadającego wielką ofensywę duszpasterską, a poprzedzającego największą zbiorową apostazję w dziejach katolicyzmu.

eprasa.pl 9e095ef298

Partner dodatku:

TAURON

SIECI

Dodatek na DZIEŃ DZIECKA

Przedłużamy Dzień Dziecka - u nas trwa aż 7 dni!
Zachęcamy Was do wspólnej, rodzinnej zabawy.
W tym dodatku przedstawiamy gotowe pomysły na 7 łatwych do zrealizowania atrakcji dla małych i dużych – po jednej na każdy dzień świętowania od 31 maja do 6 czerwca.
Zapewniamy, że cała rodzina będzie się świetnie bawić.
Niech tegoroczny TYDZIEŃ Dziecka będzie dla Was wspaniałą frajdą!

eprasa.pl 9e095ef298

Poniedziałek 31 maja ***Gramy w kapsle lub inne zapomniane gry podwórkowe***

Możecie grać w gumę albo w zbijaka, ale szczególnie polecamy wam kapsle. Im więcej graczy, tym lepsza zabawa. Wiek nie gra roli – ważne, żeby wszyscy umieli pstrykać palcami w kapsle.

Tor rysujemy kredą na chodniku lub wyskrobujemy patykiem w ziemi. Trasa może zakręcać, przecinać się, mieć różne przeszkody. Kto wypadnie z trasy, wraca na miejsce, w którym był przed pstryknięciem. Wygrywa osoba, której kapsel jako pierwszy przekroczy linię mety.

Możecie ozdobić kapsle tradycyjnie – flagami albo np. postaciami z kreskówek czy komiksów, zdjęciami sportowców albo znaczkami ulubionych marek samochodów. Gotowi... START!

Wtorek 1 czerwca ***Robimy piknik i puszczamy bańki***

Z piknikiem z pewnością sobie poradzicie – oby tylko pogoda dopisała. Ale jak zrobić magiczny płyn do baniek? Zdradzimy wam sekretny przepis.

Składniki: płyn do mycia naczyń (np. Ludwik), woda i gliceryna (do kupienia w aptece).

Proporcje: 1 część płynu do naczyń na 10 części wody. Na koniec dodajemy glicerynę – ok. 10 kropli na litr powstałego płynu.

Sposób przygotowania: miksturę bardzo delikatnie mieszamy, starając się nie robić piany. Uwaga: glicerynę, która nadaje trwałość bańkom, można zastąpić cukrem pudrem.

Środa 2 czerwca ***Tworzymy rodzinny kolaż marzeń***

Potrzebujecie: kolorowe czasopisma, nożyczki, klej i dużą sztywną kartkę.

Znajdźcie obrazki, które się wam podobają, bo pokazują to, co lubicie razem robić, albo to, co byście chcieli. Wytnijcie je, ułóżcie na kartce i przyklejcie. Możecie przyozdobić kolaż rysunkami lub zrobić przy nim jakieś ważne dopiski.

Taki rodzinny obraz może zawisnąć gdzieś w domu. Ważne, żeby zaplanować realizację tego, co się wam zamarzyło. Powodzenia!

Czwartek 3 czerwca ***Sadzimy roślinę, a najlepiej drzewo***

Możecie zasadzić kwiatek w doniczce albo drzewo w ogródku.

Ważne, żeby pamiętać o odpowiednim podlewaniu. Jeśli zdecydujecie się posadzić drzewo, będzie rosło z wami przez kolejne kilkadziesiąt lat!

Piątek 4 czerwca ***Spędzamy noc pod namiotem lub idziemy na nocny spacer***

Noce już cieplejsze, więc wszystko powinno się udać.

Jeśli niebo będzie bezchmurne, to możecie pooglądać gwiazdy. A nocą wszystko wygląda i brzmi inaczej – emocje gwarantowane!

Sobota 5 czerwca ***Szukamy skarbów***

Rodzice wcześniej sprytnie chowają skarb, tworzą mapę dotarcia do niego lub – jak w podchodach – zostawiają po drodze wskazówki.

Dzieci idealnie sprawdzą się w roli poszukiwaczy. Szukanie skarbów może być też świetną okazją do zakopania czegoś, np. pamiątek, które odkopiecie wspólnie za kilka lat.

Niedziela 6 czerwca ***Puszczamy latawce albo samolociki z papieru***

Jeśli latawiec to zbyt duże wyzwanie, przygotujcie samolociki z papieru.

Poniżej macie instrukcję, a obok specjalną kartkę, z której złożycie samolot. Możecie ją skserować tak, żeby każdy z rodziny mógł zrobić własny. Warto ozdobić samoloty, żeby zyskały niepowtarzalne barwy.

A potem czas na rodzinne zawody lotnicze. Sprawdźcie, czyj samolot poleci najdalej/najwyżej/najpiękniej.

Dodatek powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 55/0521/F

Instrukcja składania samolotu

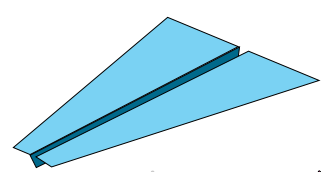

TAURON

1.

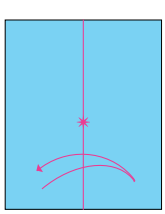

Złóż kartkę na pół, a potem ją rozłóż.

2.

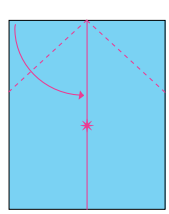

Złóż górne rogi do środka, równo z wcześniej wyznaczonym zagięciem.

3.

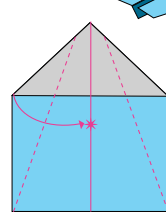

Złóż boki do środka tak, żeby wierzchołki spotkały się na gwiazdce.

4.

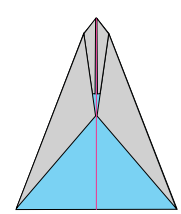

Tak powinna wyglądać teraz twoja kartka.

5.

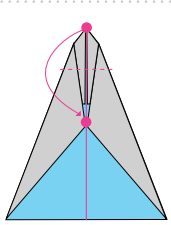

Zagnij czubek samolotu do dołu tak, aby dosięgnął gwiazdki.

6.

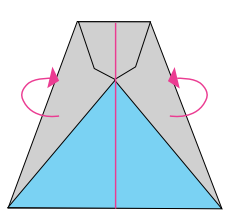

Złóż papier DO TYŁU wzdłuż pierwotnego zagięcia przez środek.

7.

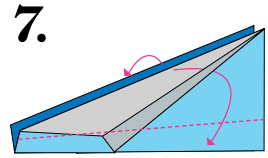

Odwróć samolot na bok i wygnij skrzydła na zewnątrz.

8.

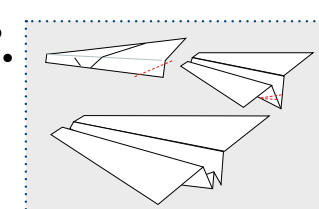

Dla lepszego sterowania zagnij fragment ogona.

eprasa.pl 9e095ef298

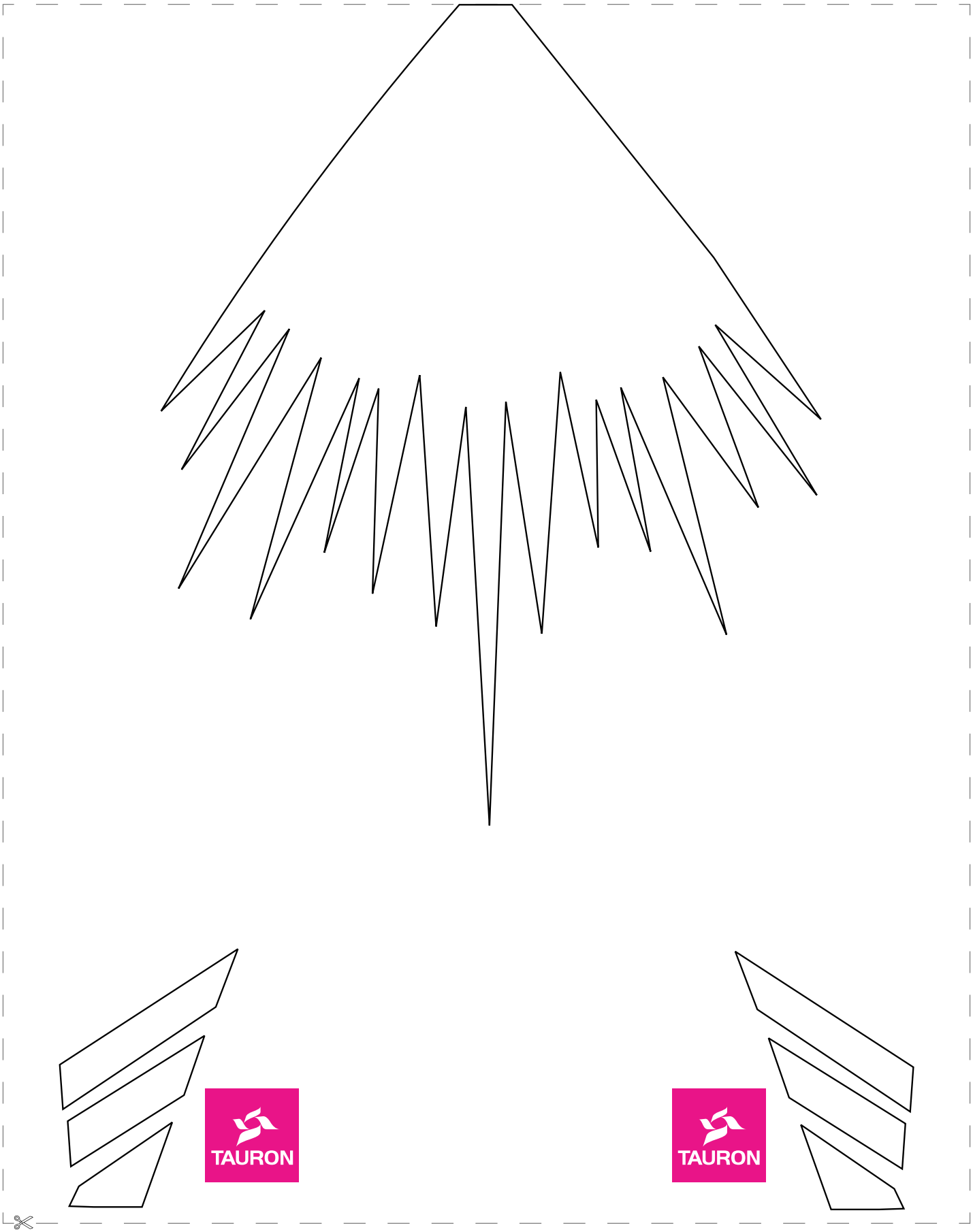

Skseruj tę stronę, żeby każdy z rodziny miał swój własny samolot. Możecie ozdobić samoloty, kolorując je kredkami lub flamastrami – wtedy zyskają niepowtarzalne barwy. Wytnij wzór samolotu po przerywanej linii oznaczonej symbolem nożyczek, a potem złóż zgodnie z instrukcją zamieszczoną obok.

eprasa.pl 9e095ef298

↑ GÓRA ↑

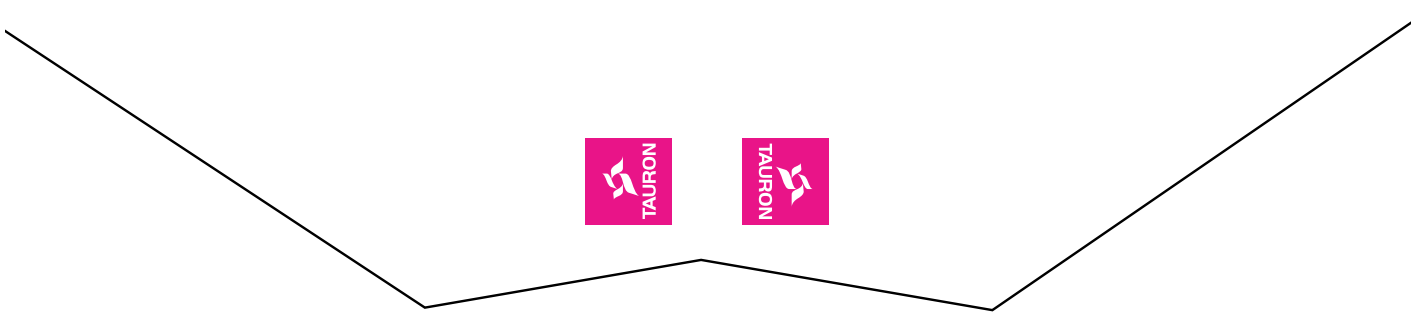

Zróbcie rodzinne zawody lotnicze. Możecie skorzystać z tych wzorów samolotów lub przypomnieć sobie inne sposoby składania i je przetestować. Sprawdźcie, czyj samolot poleci najdalej/najwyżej/najpiękniej.

Życzymy świetnej rodzinnej zabawy i pomyślnych wiatrów!

eprasa.pl 9e095ef298

Narodowy skarb. Idol kina, który spełnił sen o amerykańskim sukcesie. Filmowy kowboj wszech czasów. Twardy gracz. Wybitny reżyser. Clint Eastwood 31 maja kończy 91 lat. Wkrótce kolejna premiera

Wiele twarzy Clinta

Fot. Jaguar PS / Shutterstock

eprasa.pl 9e095ef298

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

W 2020 r., gdy koronawirus przeformatował świat, zatrzymując też machinę Hollywood, Clint Eastwood – po raz pierwszy od pięciu dekad – nie zapowiedział żadnych filmowych projektów. Jednak filmowego kowboja wszech czasów, uosabiającego zarazem jeden z największych sukcesów Hollywood, nawet covid nie mógł zatrzymać. Pół roku po 90. urodzinach w maseczce reżyserował neowestern, w którym również zagrał.

„Brudny Harry", 1971

UCZUCIA TWARDZIELA

Kinową premierę „Cry Macho" zapowiedziano na 22 października tego roku. Film dopełnia zrealizowane wcześniej obrazy: „Gran Torino" z 2008 r. i późniejszego o dekadę „Przemytnika" (wszystkie powstały we współpracy z pisarzem Richardem Nashem i scenarzystą Nickiem Schenkiem).

Tym razem bezdroża Meksyku, w powrotnej podróży do Teksasu, przemierza na ekranie leciwy gwiazdor rodeo. Gdy od dawnego szefa przyjmie zadanie sprowadzenia do domu jego kilkunastoletniego syna, w czasie długiej drogi stanie również przed koniecznością skonfrontowania się z samym sobą.

Na ekranie znów zobaczymy pozornie nieprzeniknionego bohatera; twardego, nieustępliwego, czasem zaciekłego, który jednak pozwoli uwierzyć widzom w ludzką prawość, oraz relacje i uczucia, które są w stanie przebić nawet najtwardszą skorupę.

Takiego aktora, producenta i reżysera miłośnicy kina poznali blisko trzy dekady temu dzięki filmowi „Bez przebaczenia" (1992). W nagrodzonym czterema Oscarami (w tym dwoma dla Eastwooda – za najlepszy film i reżyserię) westernowym z ducha obrazie emerytowany rewolwerowiec podjął się zemsty na zlecenie okaleczonej prostytutki.

Potem Eastwood wyreżyserował jeszcze ponad 20 filmów – od sensacyjnych przez melodramaty, kino obyczajowe i akcji, po obrazy wojenne.

Znalazło się wśród nich „Za wszelką cenę" (2004, dwa Oscary dla Clinta jako współproducenta i reżysera; o kolejne dwa skutecznie zawalczyli na filmowym ringu: Hilary Swank i Morgan Freeman). Był też „Richard Jewell" (2018), z Kathy Bates w roli matki niesłusznie oskarżonego głównego bohatera, i „Sully" (2016), z Tomem Hanksem jako dzielnym kapitanem samolotu, a także „Snajper" (2014) z Bradleyem Cooperem czy „Niepokonany" (2009) z Morganem Freemanem w roli Nelsona Mandeli.

Wojenny dwugłos: „Sztandar chwały" i „Listy z Iwo Jimy" (2006) poprzedziła nagrodzona dwoma Oscarami i dwoma Złotymi Globami „Rzeka tajemnic" (2003, pierwszy film, do którego Eastwood skomponował ścieżkę dźwiękową).

W nowe tysiąclecie wprowadzili reżysera, aktora i producenta „Kosmiczni kowboje" (na planie działali z nim m.in. Tommy Lee Jones i Donald Sutherland). W politycznym thrillerze „Władza absolutna" (1997) „starł się" z Gene'em Hackmanem i Edem Harrisem. Przed „Północą w ogrodzie dobra i zła" (1997) widzów przyciągnęła do kin opowieść o tym „Co się wydarzyło w Madison County" (1995). Eastwood stworzył tu niezapomniany duet z Meryl Streep. W „Doskonałym świecie" (1993) jako szeryf Garnett konfrontował się z bohaterem granym przez Kevina Costnera.

TYTUŁ CHWAŁY

Już tylko wymienione powyżej obrazy pokazują, z jaką rozpiętością tematyczną i gatunkową postanowił się mierzyć Eastwood – jako reżyser, producent i coraz

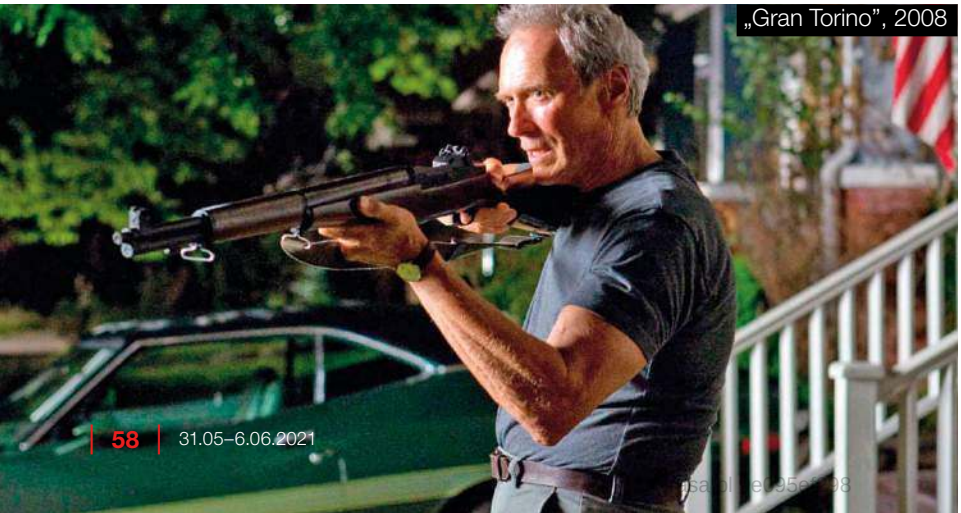

„Gran Torino", 2008

Fot. Warner Bros / Malpaso Company / EastNews, mat. prasowe

rzadziej aktor (w wywiadach tłumaczył, że z drugiej strony kamery jest ciekawiej).

Efekty osiągał imponujące. Uhonorowany czterema Oscarami (i ośmioma nominacjami do tej nagrody), dziesięciokrotnie uczestniczył w rywalizacji o Złote Globy (cztery razy zwycięsko). Odebrawszy w sumie 36 statuetek i 64 razy wchodząc do finałowej rozgrywki o filmowe trofea (licząc od roku 1989, kiedy jako reżyser otrzymał pierwszy Złoty Glob za film „Bird", inspirowany życiem saksofonisty Charliego „Birda" Parkera), Eastwood wyrobił sobie taką pozycję w świecie kina i – szerzej – kultury, że w 2006 r. Amerykański Instytut Filmowy uznał go za „narodowy skarb".

W KAPELUSZU I BEZ

Dał się poznać jako twórca i producent zaangażowany, poszukujący nie tylko ciekawych, lecz i ważnych tematów, o których mógłby na ekranie opowiedzieć. Jednocześnie w historię kinowego self-made mana (który znalazł dla siebie przestrzeń także jako kompozytor, polityk i biznesmen) od początku wpisane są wizerunki bohaterów, które kreował jako aktor.

Najnowsza produkcja z „trójudziałem" Eastwooda domyka kolejną nieformalną trylogię w imponującej karierze artysty. Bohaterami „Gran Torino", „Przemytnika" i – teraz – „Cry Macho" są niepogodzeni z życiem i nieoddający innym pola 80-latkowie, których sytuacja zmusza do własnych rozliczeń.

Za sprawą pierwszej tzw. dolarowej trylogii (złożonej ze spaghetti westernów w reż. Sergio Leone – „Za garść dolarów" 1964, „Za kilka dolarów więcej" 1965, „Dobry, brzydki, zły" 1966) w świadomości widzów zaistniał Bezimienny. To Leone namówił aktora, by zagrał tę postać z kamienną twarzą i twardym spojrzeniem, ograniczając dialogi do minimum. Eastwood – jak twierdzą złośliwi – na tyle dosłownie zastosował się do rad włoskiego mistrza, że ten zaczął dzielić jego mimikę na „tę w kapeluszu i tę bez kapelusza".

W 1971 r. do Bezimiennego dołączył równie nieprzenikniony co brutalny inspektor, rozpoczynając serię filmów o Brudnym Harrym.

I właściwie tylko te dwie, tak wyraziste postaci zapewniłby Eastwoodowi miejsce w historii kina. Tymczasem wcielił

„Co się wydarzyło w Madison County", 1995

się on w ponad 40 różnych bohaterów. Tak o tym mówił w jednym z wywiadów: „Większość będzie mnie kojarzyć z filmami sensacyjnymi, co jest w porządku, ale będzie też grupka ludzi – lubię tak myśleć – którzy zapamiętają mnie również z innych produkcji, do których bardziej się przyłożyłem".

WIEDZIEĆ WIĘCEJ NIŻ INNI

„Podobnie jak jego bohaterowie Clint jest skryty, jeśli chodzi o swoją osobę, swoją przeszłość, życie prywatne. Może nie tyle skryty, ile niewylewny [...]. Czasami ma pamięć doskonałą, innym razem dogodnie wybiórczą. Lubi wiedzieć, ale dzielić się wiedzą – niekoniecznie" – pisze Patrick McGilligan, autor książki „Clint. Życie i legenda", która ukazała się właśnie nakładem wyd. Znak Horyzont.

Co więc wiemy o Eastwoodzie? Już za życia – legendzie kina, człowieku rozległych wpływów, ojcu ośmiorga potwierdzonych dzieci, których doczekał się jako dojrzały mężczyzna?

Urodzony 31 maja 1930 r. w San Francisco od dzieciństwie był związany z muzyką, po latach podjął nawet studia muzyczne (których nie skończył). Jako nastolatek pracował dorywczo. Potem też imał się różnych zajęć. Był m.in. kierowcą ciężarówki, ratownikiem i strażakiem.

Po odbyciu służby wojskowej (do armii USA został wcielony w 1950 r.) rozpoczął pracę w wytwórni filmowej Universal. Zagrał tam trochę filmowych epizodów i przeniósł się do Nowego Jorku, gdzie dostał główną rolę w westernowym serialu CBS „Rawhide" (1959–1965). To w tej produkcji zobaczył go Leone.

Z czasem, wcielając się w kolejne postacie rodem z Dzikiego Zachodu, stał się synonimem westernowego bohatera (choć prywatnie jest... uczulony na konie, podobnie jak na psy i koty, za to uwielbia węże i kiedyś miał ich w kolekcji nawet 13).

W plebiscycie zorganizowanym w 2003 r. przez kanał Turner Classic Movies został uznany „filmowym kowbojem wszech czasów", wyprzedzając takie legendy, jak John Wayne czy Steve McQueen.

Gdy jednak otrzymywał ten tytuł, filmowe gatunki przestały go określać czy – tym bardziej – ograniczać. A to za sprawą decyzji, jaką podjął w 1967 r., by pieniądze zarobione na „dolarowej trylogii" zainwestować we własną wytwórnię. Malpaso zapewniła mu niezależność (tu zadebiutował w 1971 r. jako reżyser filmu „Zagraj dla mnie Misty"). W miarę upływu lat dawała coraz więcej wpływów (ponoć urosły ponad miarę). Szefuje jej do dziś.

ZOSTAJĄ FILMY

Gdy Patrick McGilligan opublikował biografię, która trafia właśnie do polskich czytelników, krytycy chwalili ją za rzetelność, ale bohater wpadł we wściekłość, pozwał autora o 10 mln dol. i doprowadził do zakazu rozpowszechniania książki w USA.

Co go tak rozsierdziło? Czy informacja, że ludzie, do których docierał autor, nie chcieli o Eastwoodzie mówić z obawy przed... „zemstą albo jeszcze gorzej – pozwem". Nawet dyrektor szkoły podstawowej, do której uczęszczał aktor, musiał zadzwonić do Malpaso, nim podjął decyzję o wypowiedzi...

„Uderzyło mnie, ilu spotkałem ludzi, którzy Clinta nienawidzą i się z tym nie kryją – pisze McGilligan. – Oglądając się na jego karierę, widzę, że jego życie po części jest triumfem PR, a omamienie prasy i krytyków to nieuchronna część tej opowieści" – dodaje, by w finale przytoczyć jednak wypowiedź „szanowanego francuskiego krytyka" o Eastwoodzie: „Na koniec zostają ci jego filmy. Jeśli kochasz jego filmy, cała reszta się nie liczy".

eprasa.pl 9e095ef298

3 MIŁOŚCI

Najpierw miłość, potem prawda

ROBERT TEKIELI

Na naszych oczach wydarzył się cud. Pod warszawskim sądem spotkały się tęczowa dziewczyna, zbuntowana, rozpaczliwie szukająca miłości, akceptacji oraz bezpieczeństwa, i różańcowa babcia z Radia Maryja. Nazwijmy je Ania i Zofia.

83-letnia Zofia mogłaby być babcią 21-letniej Ani. Razem z innymi słuchaczami starsza pani modliła się niedawno na warszawskiej ulicy o zaprzestanie ataków na Radio Maryja i Telewizję Trwam. Ania przyszła zakłócić tę modlitwę. Widać, że i na co dzień dziewczyna próbuje zwrócić na siebie uwagę ubiorem, fryzurą, każdym gestem. W tym dniu ma tęczową maskę, torebkę i flagę. Prowokuje, bluzga, pali papierosa, tańczy, śpiewa, trzyma transparent z fragmentem z Biblii, w którym Jezus mówi, by „strzec się uczonych w Piśmie". W pewnym momencie, nie zważając na jej zrozpaczoną werbalną agresję, do Ani podeszła zapłakana Zofia, uklękła i ucałowała jej stopy. Dziewczyna osłupiała, schyliła się do kobiety, zaczęły rozmawiać. Bunt wyparował. Ania dostała to, czego jej brakowało, co spowodowało, że się buntowała. Miłość.

Ta miłość musiała być bezwarunkowa, musiała być całkowitym przyjęciem drugiego człowieka. Gdyby w geście Zofii była odrobina fałszu, gra pod publiczkę, Ania odrzuciłaby ją. Zofia musiała być prawdziwa, absolutnie autentyczna, bo za chwilę klęczące babcia i wnuczka płaczą, wtulone w siebie. Na zdjęciach widzimy, że Ania wręcz wczepiła się w Zofię. Być może pierwszy raz doświadczyła przytulenia Jezusa. Tak działa bezwarunkowa miłość. Na końcu Ania i Zofia robią znak krzyża.

Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zazdrości, nie szuka poklasku, nie unosi się pychą, nie dopuszcza się bezwstydu, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złego, nie cieszy się z niesprawiedliwości, lecz współweseli się z prawdą. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma. Miłość nigdy nie ustaje.

Na ulicy stolicy widzieliśmy ewangeliczną scenę. Zofia nie rzuciła Ani w twarz słusznych przecież zarzutów. W trakcie konfrontacji zranienie zderza się ze zranieniem, urazy zderzają się z urazami. A miłość cierpliwa jest, potrafi znieść cierpienie, przyjmując cierpiącego, nawet jeśli spotkanie zaczyna się od agresji. Potem jest płacz i jedność.

My nie mamy zwalczać błędnie myślących. Ich bunt jest również reakcją na brak w naszym wspólnotowym życiu miłości, ładu, sprawiedliwości, pokoju.

Nasz wspólny gniew, Zofii i Ani, chrześcijan i ludzi patrzących na świat przez pryzmat lewicowych, ale nie rewolucyjnych wartości, należy się handlarzom krwią w wolnym świecie, którzy wywołują wojny, by na nich zarabiać. I bezrefleksyjnym mężczyznom w mundurach, którzy zabijają wcale nie po to, by bronić swoich kobiet i dzieci.

Ale rewolucjoniści przekonują wszystkich, że obok handlarzy śmiercią i masowych morderców przedmiotem rewolucyjnego gniewu mają być „wrogowie wszystkich mniejszości". Seksokomuniści twierdzą też, że walczą o prawa człowieka dla mniejszości.

Nie, nie walczycie o prawa człowieka. Bo są nimi prawo do życia, wolność i bezpieczeństwo osobiste, zakaz tortur, wolność sumienia i wyznania, wolność słowa, prawo do sądu, prawo do obywatelstwa, prawo do prywatności, prawo do wolnych wyborów, wolność zgromadzeń i stowarzyszeń.

A rewolucyjne „prawa reprodukcyjne", oznaczające aborcję na żądanie, nie są prawami człowieka. To prawa śmierci.

Istnieje gniew i bunt. Jest boży gniew Jezusa rozwalającego stragany handlarzy robiących interesy w świątyni i jest Lutrowy bunt.

Luter popełnił potworny błąd, ale zaczął od walki ze złem w Kościele. Z tym samym złem, które 250 lat wcześniej widział również święty Franciszek. To zło istnieje, więc błędem jest dziś obrona Kościoła przez idealizowanie go. Luter nie walczył z idealnym Kościołem, takim, jaki powinien być. Tyle że w przeciwieństwie do Biedaczyny z Asyżu wybrał złą metodę. Rewolucję, nie zmianę. Gniew bywa dobry, rewolucyjny bunt niszczy, dzieli.

Polska jest podzielona. Katolicy muszą walczyć o jedność. Kochać te nasze biedne dzieci wychowywane za pomocą mass mediów przez wykorzenionych ludzi, którzy swej ojczyzny nie widzą w Polsce, bo czują się obywatelami Europy czy świata i nienawidzą wiary oraz Kościoła. Zagrożona dziś Polska potrzebuje głębokiej jedności przy współistnieniu różnorodnych opinii oświetlających prawdę z wielu stron.

Musimy dokonywać rozróżnień. Spokojnie wykazywać błędy rewolucjonistów. Rozmawiać z wrażliwymi gniewnymi i pokazywać im różnicę między gniewem a buntem, pomiędzy oczywistym sprzeciwem wobec zła a rewolucją. Walczyć o świat za pomocą postu, modlitw i tworzenia hospicjów.

Najpierw miłość, potem prawda. Ludzie łakną miłości. Nie pouczania. Chcą rozmawiać. Potrzebują bezinteresownych świadków. Wtedy dzieją się cuda.

eprasa.pl 9e095ef298

KULTURA

Warte Patrzę na zdjęcie Jana Pawła II z okładki albumu Białego Kruka zatytułowanego ***„Nauczanie wolnego narodu”*** z fotografiami Adama Bujaka i widzę 70-letniego mężczyznę w sile wieku. O dobrej twarzy wadowickiego górala, kogoś, o kim wiele narodów myślało jak o ojcu. Człowiek, który był Karolem, znał niemiecki narodowy socjalizm, bolszewicki socjalizm międzynarodowy, poznał też od podszewki Zachód przemieniony przez rewolucję ’68 roku. W czerwcu 1991 r. przyjeżdża z pierwszą pielgrzymką do Polski po upadku komunizmu. I ostrzega, gniewa się, podnosi głos. Władający do dziś większą częścią tzw. Trzeciej Rzeczpospolitej próbowali najusilniej zneutralizować tę właśnie część przesłania JP2. Skutecznie.

To pielgrzymka chyba najważniejsza, może porównywalna jedynie z pierwszą, z czerwca 1979 r., w czasie której miała miejsce kluczowa dla naszej wolności modlitwa wielkiego proroka i mistyka o zstąpienie Ducha Świętego na polską ziemię. Papież w 1991 r. oplótł swoje przesłanie do Polaków wokół Dekalogu. Fundamentu i drogowskazu sprzed ponad 3,5 tys. lat.

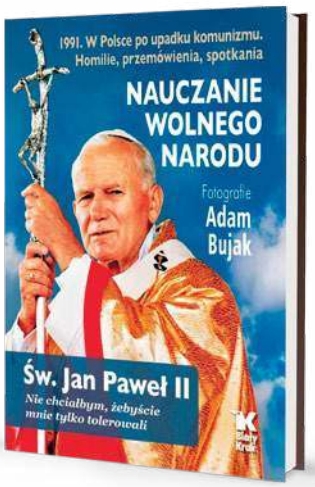

Polacy wchodzili właśnie na śliską ścieżkę. Naród był już wolny, ale w kryzysie moralnym i zagrożony podwójnie. Przez udających demokratów rodzimych marksistów i o wiele groźniejszych marksistów zachodnich. Początek lat 90. to totalna antykościelna i antykatolicka propaganda przebrana w liberalne szaty.

Wstrząsająca jest aktualność homilii JP2 sprzed 30 lat. Zobaczmy tytuły rozdziałów tego albumu. Papież prorok zaczął 1 czerwca w Koszalinie: „Moralny fundament jest od Boga” (przykazanie I), by 9 czerwca w Płocku powiedzieć o przykazaniu X: „Niechaj nikt nie bogaci się kosztem bliźniego”. A wcześniej: „Ateizowanie państwa i życia społecznego niewiele ma wspólnego ze światopoglądową neutralnością” (III), „Czy można lekkomyślnie narażać polskie rodziny na dalsze zniszczenie” (IV), „Złudzenie wolnej miłości przysłania rozwiązłość” (VI), „Czy to jest cywilizacja – czy raczej antycywilizacja” (IX). Papież nie chciał, by Polacy błądzili, powtarzając błędy Starego Zachodu. Proponował trafną diagnozę i skuteczną terapię na nowy rodzaj zniewolenia: jasnogórskie „Jestem przy Tobie, pamiętam, czuwam”. Wielu ludzi Zachodu zatraciło motywy, żeby żyć. I JP2 mówi, dlaczego tak jest: „Nie chciałbym, żebyście mnie tylko tolerowali”. Kochał i chciał być kochany. Świat bez miłości umiera.

Co możecie nam dać, liberałowie czy lewicowi rewolucjoniści? Tolerancję? Nierobienie czegoś? Człowiek potrzebuje miłości. Jesteście oszustami.

POPKULTURA

Warte Na Netflixie pojawił się ostatnio klasyk kina romantycznego i jego remake. Godne polecenia, choć pierwszy tylko dla dorosłych. Chodzi o ***„Endless love” („Niekończącą się miłość”)*** Franka Zeffirellego z 1981 r. i film o tym samym angielskim tytule z roku 2014 – chociaż w Polsce nie wiadomo dlaczego przetłumaczono go na ***„Miłość bez końca”***. Pierwotna wersja to dramat romantyczny oparty na historii pierwszej miłości nastolatków, której zabraniają im rodzice, „Romeo i Julia” w nowoczesnym wydaniu. Jade i David walczą o swoje uczucie z ojcem dziewczyny, który zabrania chłopakowi spotykania się z jego córką. Na drodze bohaterów mamy wiele tragicznych zakrętów i dramatycznych wydarzeń, m.in. ginie ojciec Jade. Postaci są psychologicznie wiarygodne, a sam film to wyciskacz łez. Oczywiście w filmie sprzed 40 lat, jak to u reżysera bluźnierczego „Jezusa z Nazaretu”, na ekranie mamy naturalistycznie pokazany seks 15-latki i 17-latka. Natomiast nowsza wersja filmu zgodnie z kategorią może być oglądana już przez 13-latków i jest bardziej radosna, a główna bohaterka liczy sobie lat 17. Nowsza wersja jest obecnie w liście 10. najpopularniejszych produkcji oglądanych w Polsce na Netflixie.

POPKULTURA

Warte Nie chce mi się wierzyć, że nie pisałem tu jeszcze o ***„Pingwinach z Madagaskaru”***. Parę lat temu, w jednej z parafii na północy Polski, w której dawałem rekolekcje, pora ich emisji – bodaj godzina 21.00 – to był jedyny moment wspólnotowy dla mieszkających tam pięciu księży. Serial DreamWorks ma moc, naprawdę nie wiem, jak przez tyle odcinków można utrzymać tak wysoki komediowy poziom. A teraz na Netflixie jest możliwość, by obejrzeć pełnometrażową komedię familijną „Pingwiny z Madagaskaru”. To przygodowy film animowany komputerowo z 2014 r., spin-off wspomnianej telewizyjnej serii. Skipper, Kowalski, Rico i Szeregowy razem z elitarną brygadą szpiegów Wiatru Północy muszą tym razem pokonać złowieszczą ośmiornicę Oktawiusza Mackiewicza. Bardzo fajna, zabawna komedia dla wszystkich – dużych i małych. Obecnie jest piątym najchętniej oglądanym filmem na polskim Netflixie, więc nie ma co pytać Kowalskiego o opcje.

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl 9e00ae12

Wojciech Stanisławski

Tysiąc stron szeptów

Wytrwałość Lidii Czukowskiej, towarzyszącej Achmatowej przez blisko 30 strasznych lat, pokazuje, że również wiek XX rodził nowe formy heroizmu, wierności, odwagi, nie gorsze od tych starożytnych

Lidia Czukowska, „Zapiski o Annie Achmatowej", tłum. Eugenia Siemaszkiewicz, Eliza Wolska, t. I–III, Kolegium Europy Wschodniej, Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia, Wrocław 2021

Wydawałoby się, że ta historia, ta biografia jest już dość znana. No tak, męczyli Sowieci Achmatową, rozstrzelali jej pierwszego męża Nikołaja Gumilewa, innego z towarzyszy życia zakatowali w gułagu, skąd niemal nie wypuszczali jej jedynego syna Lwa. Prześladowali ją, przemilczali, wyśmiewali; jak z łaski wypuścili ją na dwa tygodnie do Włoch po 40 latach izolacji, na chwilę przed śmiercią. Lecz przecież ta historia jest już opowiedziana, wiersze przełożone. Ma Polska tylu ciągle odkrywanych męczenników, ma ich pod dostatkiem, jeśli ktoś wielkoduszny, i Rosja; czy jest sens wydawać dziś trzy potężne tomy zapisków o poetce, szczegółowych, nerwowych, niejasnych czasem świadectw dnia?

W tych zapiskach nie rzecz jednak w rejestrze spotkań, rozmów i póz, jakie przyjmowała Anna Andriejewna, drapując się w znoszony szal, choć oczywiście żaden z tych faktów nie jest bez znaczenia dla badaczy. Ich wartością jest przede wszystkim świadectwo mocy duchowej, jakiej trzeba było do ich sporządzania – oraz zmagań Wielkiego Strachu i skupionej pamięci: zmagań, w których pamięć wzięła górę.

Autorka tych zapisków Lida Czukowska była córką Kornieja, poety i pisarza dla dzieci. Ojcu zawdzięczała nie tylko talent pisarski, lecz i obcowanie od małego z petersburskimi (potem piotrogrodzkimi i leningradzkimi) artystami, od Riepina i Błoka po Mandelsztama i Achmatową. Ani jedno, ani drugie nie ocaliło jej przed represjami: już w latach 20. zesłano ją na półtora roku do Saratowa. W 1937 aresztowano jej męża. Przez długie lata walczyła o niego, nie wiedząc, że już w rok po uwięzieniu został rozstrzelany. Szukając dróg ratunku (do kogo i jak pisać?), trafiła do Anny Andriejewny, o której mówiono, że listem do Stalina zdołała na krótko uwolnić syna.

Takie są okoliczności rozpoczęcia – 10 listopada 1938 r. – „Zapisków". Już ich pierwsza warstwa – ta nazywająca, ta, od której rozpoczyna się lekturę – oddaje chłód Leningradu tamtego roku. „Pokój tchnął zapuszczeniem i ruiną. Koło pieca stał fotel bez nogi, obdarty, z wyłażącymi sprężynami. [...] Naprawdę piękne było tam tylko okno wychodzące na ogród i drzewa spoglądające wprost w ogród. Czarne gałęzie. No i oczywiście ona. [...] »Kobieta, która stała za mną w kolejce, rozpłakała się, kiedy usłyszała moje nazwisko«".

Ta kolejka – tu zaczyna się nienazwane – posuwała się do okienka więziennego: w listopadzie '38 Lew, syn Achmatowej, był już znów aresztowany. Ale tego nie przeczytamy w „Zapiskach", w których pojawiają się rozmowy o rzeczach błahych lub dalekich. Jeśli o poezji – to XIX-wiecznej lub dawniejszej. Jeśli o pisarzach – to o nieżyjących, którym nie można już zaszkodzić. Jeśli o współczesnych – to wymienianych tylko z imienia lub inicjału (a i to, najczęściej, fałszywego). Jeśli cytaty z prasy – to z „Izwiestii". „Zasadnicza treść moich rozmów z przyjaciółmi i Anną Andrejewną – zaświadcza Czukowska – została pominięta".

eprasa.pl 9e095ef298

Tak można, jak wiemy z licznych filmów sensacyjnych, a kto starszy, to może i z życia, rozmawiać przez kwadrans, wiedząc, że jest się na podsłuchu. Ale rozmawiać tak naprawdę o wszystkim – o Stalinie, Jeżowie, o uwięzionych bliskich – i prowadzić łże-kronikę przez kilkadziesiąt lat? A potem uzupełniać, sypką ławicą nazwisk, anegdot, dat – najpierw, powierzchownie, za późnego Chruszczowa, a szczegółowo, z ósmym krzyżykiem na karku, po upadku Sowietów? Czyni to zresztą „Zapiski" lekturą wymagającą gimnastyki: najpierw czytamy oryginalny zapis dnia, potem krótkie, uzupełniające przypisy dolne, zwykle autorstwa Czukowskiej, czasem tłumaczek, a potem sięgamy do drugiej połowy książki zatytułowanej „Za sceną", zawierającej prawdziwe nazwiska, noty biograficzne, dopisane, gdy już było można, konteksty. Przód–tył, przód–tył – zawsze z pajdą papieru między palcami, grubą jak tygodniowy przydział chleba w areszcie. Cóż to ma jednak za znaczenie.

Czukowska prowadziła tę „kronikę życia i twórczości Achmatowej", diariusz rozmów i wrażeń w roku 1938, w dniach ewakuacji i wojny, po 1949, gdy poetkę oficjalnie wyklęto, w latach 60. Drobny ścieg szeptów, uwag, napomnień, aluzji, rozszyfrowanych po kolejnych 30 latach. Autorka „Zapisków" zapamiętała również to, co zupełnie niezapisane, co było treścią, jak to nazywa, „Obrzędu": wiersze Achmatowej. „Nagle, podczas rozmowy, milkła i wskazując oczami sufit i ściany, brała skrawek papieru i ołówek, potem zaś, głośno jak w salonie, wypowiadała: »czy chce pani herbaty?« [...], po czym pospiesznie zapisywała skrawek i podawała mi. Odczytywałam wiersze i zapamiętawszy je, w milczeniu zwracałam. »W tym roku jesień jest taka wczesna« – mówiła Anna Andriejewna i, pstryknąwszy zapałką, paliła kartkę nad popielniczką".

Josif Brodski swoje wspomnienie o Nadieżdy Mandelsztam zakończył zdaniem: „Wyglądała jak pozostałość ogromnego ognia – jak węgielek, który parzy, kiedy go dotknąć". Lidii Czukowskiej, mimowolnej mistrzyni mnemotechniki, też przyszło być świadkiem ogromnego ognia niby drzazgi smolnej. Jej „Zapiski" są tym, co zostaje na dnie popiołu – gwiaździstym dowodem zwycięstwa nad przemocą i niepamięcią.

Chłodno w Użhorodzie

Ta powieść nie od pierwszej chwili rodzi zaufanie. Liczba turystycznych migawek ze szlaków Europy Środkowej i Bałkanów, łatwość i uroda tych podróży, w które rusza się ot tak, z paszportem i kartą debetową, bez troski o korki na przejściach granicznych, pieniądze i rezerwacje, podkreślanie, że z Użhorodu jest rzut beretem do tuzina europejskich stolic, może w którymś momencie zrodzić w czytelniku podejrzenie, że mamy do czynienia z książką kryptoreklamą. Tylko czego właściwie: Bałkanów? Biura turystycznego? Via Carpatii?

Nic z tych rzeczy. Jedyna instytucja, która pojawia się w powieści pod lekko zmienioną nazwą, czyli Studium Europy Wschodniej UW, kryptoreklamy na potrzebuje. Jeśliby patrzeć na „Twoje spojrzenie..." oczami nie krytyka, lecz analityka rynku księgarskiego, można by najwyżej zasygnalizować, że pojawił się nowego rodzaju produkt. Z podobnym zjawiskiem mieliśmy już do czynienia po rozszerzeniu UE w roku 2004, gdy zaroiło się od powieści dofinansowywanych z różnych stypendiów i funduszy unijnych. Uparcie snuto w nich intrygi między Portugalką a Estończykiem, Irlandczykiem a Grekiem, a nazwy wielkich lotnisk (Roissy, Schwechat, Schönefeld) pojawiały się częściej bodaj niż filiżanka kawy. Jak się wydaje, działo się tak nie tylko za sprawą natchnienia autorów, lecz i dla podkreślenia ducha schengeńskiego paneuropeizmu.

Nie sądzę jednak, by jakakolwiek instytucja czy inicjatywa w naszej części kontynentu, włącznie z Grupą Wyszehradzką, miała wystarczające środki, a bodaj i fantazję, by promować „tożsamość środkowoeuropejską" za pomocą literatury. A skoro nie, to znaczy, że wizja Lubki, w której piękny i tragiczny związek Ukraińca i Rumunki zawiązuje się na studiach wschodoznawczych w Warszawie, a dojrzewa nad brzegami Morza Czarnego, na stokach Olimpu, w Bośni i na Zakarpaciu nie jest pierwszą jaskółką „propagandy V4", lecz po prostu dowodem na pewną autonomię i podmiotowość naszego regionu, który nareszcie stać (przynajmniej mentalnie) na własne wersje „erazmusowej love story" i podróży nad ciepłe morza. Z czego należy się cieszyć, nie tylko ze względu na perspektywy rozwoju Korytarza V.

Znacznie więcej jednak można wyczytać z „Twojego spojrzenia...", wyzbywszy się podejrzliwości. Powieść Lubki dlatego jest nietuzinkowa, że w odróżnieniu od propozycji większości tłumaczonych dziś na polski Ukraińców nie zmaga się z historią XX w., z wojną ani nawet z korupcją i kastowością współczesnej Ukrainy, choć taką perspektywę sugerują pierwsze rozdziały. Ale nie: powieściowy Użhorod – choć delikatna Raluca (za wprowadzenie tego rumuńskiego imienia do polskiego imaginarium należą się osobne podziękowania) dostrzega w nim pewną nadreprezentację ostrzyżonych tuż przy skórze młodych mężczyzn w dresach – w gruncie rzeczy wydaje się leżeć nie na Zakarpaciu, lecz w jednym z tych krajów, którym się lepiej powiodło: w Danii, w Szwecji może? Podobna łatwość i uroda życia codziennego, nietrudny sukces młodych, wykształconych profesjonalistów i bergmanowski chłód, który, jak się okazuje, może dopaść również tam, gdzie winorośl dojrzewa.

Andrij Lubka, „Twoje spojrzenie, Cio-Cio-San", tłum. Bohdan Zadura, Warsztaty Kultury, Lublin 2021

eprasa.pl 9e095ef298

Strażnik ładu moralnego

30 maja minęło 10 lat od śmierci Jerzego Narbutta, niezwykłego poety, prozaika, publicysty i eseisty. Zgodnie z tym, co napisał kiedyś bodajże Jarosław Iwaszkiewicz, przez te 10 minionych lat pisarz znajdował się w purgatorium, czyli w polskim czyśćcu pisarskim, hermetycznie zamknięty w narodowej niepamięci. Dlaczego?

Patrzący na nas z nieba Jerzy Narbutt zapewne wcale się temu nie dziwił, bo za życia było tak samo, co piszącego te słowa skłoniło do zatytułowania eseju o pisarzu słowami „Wielki Zamilczany". Eseju napisanego za życia pisarza i uznanego przezeń za najlepszą analizę jego twórczości i biografii (druk w „Kultura i Biznes" nr 26, wrzesień–październik 2005 r., przedruki w polonijnym kanadyjskim „Kurierze" oraz w „Liście Oceanicznym", a także w mojej książce pt. „Wolimy bohaterów", Warszawa 2014, 2019).

JERZY BIERNACKI

Istotnie nad tą twórczością przez całe życie pisarza panowało bowiem prawie szczelne zachmurzenie, nie licząc kilku

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 9e095ef298

przejaśnień, takich jak esej Krzysztofa Masłonia w „Plusie i Minusie", dodatku „Rzeczpospolitej", po ukazaniu się w 2002 r. drugiego wydania jedynej powieści Narbutta pt. „Ostatnia twarz portretu", nazwanej przez krytyka kultową (pierwsze wydanie ukazało się w 1981 r. w drugim obiegu).

A przecież Narbutt był stale obecny w przestrzeni medialnej, najpierw jako prozaik, począwszy od debiutu w 1957 r. w „Tygodniku Powszechnym", dopiero w wieku 32 lat, co było spowodowane zawiłościami jego powojennej biografii (długotrwałym ukrywaniem się przed wojskiem, do którego zakwalifikowano go pomimo ciężkich schorzeń trapiących go od dzieciństwa, zakończonym aresztowaniem i pobytem w więzieniu, na szczęście tylko kilkumiesięcznym, bo uratowała go amnestia), a później, od lat 70., jako publicysta i eseista w prasie katolickiej (z wyjątkiem PAX-owskiej) oraz w drugim obiegu, gdy po podpisaniu „Listu 59" przeciwko zmianom w konstytucji został objęty zakazem druku.

Zanim to się stało, wydał kilka tomików opowiadań i nowel, wyróżniających się oryginalnością zarówno stylu, tematyki (głównie rodzinnej, ale silnie splecionej z obrotami tragicznych dziejów Polski i Polaków w ostatnim stuleciu, sięgających doby powstania styczniowego), jak i sposobu narracji, gorącej, prowadzonej w pierwszej osobie, przez dziecko lub młodzieńca, w którego wciela się autor, będący za każdym razem w nieco innej roli obarczony jakąś odpowiedzialnością, której nie może udźwignąć. Charakterystyczne są tytuły niektórych z tych zbiorków: „Debiut i inne opowiadania", „List nie wysłany pocztą", „W mieście wesele", „Znowu zakwitnie listopad", „Bal u senatora" czy „Benefis". Są też nowele z elementami nowoczesnej groteski, narracje – jakby powiedziała Olga Tokarczuk – bizarne, czyli osobliwe, ale to mniejszość. Wreszcie opowiadania włoskie, konstruowane już inaczej, z narratorem w wieku męskim, „wieku klęski", a wśród nich hołd złożony Wenecji, którą pisarz wyróżnia spośród ukochanych przez niego włoskich cudów architektury i sztuki.

> Demaskował płyciznę myślową Witolda Gombrowicza, zarzucając mu, nie bez racji, pięknoduchostwo i stwierdzając po prostu, że pod względem językowym to geniusz, lecz pod względem filozoficznym – nicość

To make story short, czyli by było krótko, posłużę się syntetyczną opinią krytyka literackiego Ziemowita Skibińskiego, który napisał: „Jerzy Narbutt doprowadził nowelę jako gatunek literacki do doskonałości. [...] Nowele jego mają nie tylko poetycką, ale i muzyczną strukturę, przede wszystkim cechują się umiejętnością tonowania charakterów, zachowań, sytuacji, nastrojów. [...] Umiejętnie łączy tradycjonalizm z nowoczesnością. Odwieczne wartości podaje w nowatorskiej, wręcz wycyzelowanej formie".

GEN KRESOWY

Jest rzeczą charakterystyczną, że miejscem akcji większości tych opowiadań są Kresy i „tamtejsi" ludzie, z Hryćkiem, który jeszcze kołysał w swych ramionach ojca narratora, czy młodym Kolą, mającym niekiedy problem z lojalnością wobec polskiego środowiska, na które składa się rodzinne otoczenie bohatera, o wyraźnym pokroju ziemiańskim. W kilku nowelach, w różnych konfiguracjach, pojawia się wojsko polskie, niewidziane od stu lat, zapach munduru polskiego oficera czy strzelca fascynuje bohatera, rzekłbyś – zapach niepodległości.

Kresowa tematyka wspomnianych opowiadań i nowel jest o tyle osobliwa, że pisarz urodził się i całe życie przeżył w Warszawie, łącznie z wrześniem 1939 r. i powstaniem warszawskim, w którym nie mógł walczyć z powodu swojego „zdechlactwa" (liczne choroby, takie jak gruźlica włóknista, uchyłki, rozwijająca się łagodna, ale wciąż zagrażająca życiu białaczka i inne, sprawiły, że każdy, kto go znał, musiał widzieć, że to trzcina chwiejąca się na wietrze). Ale był blisko młodych bohaterów, wychowanków Aleksandra Kamińskiego, przyjaźnił się z „Zośką" – Tadeuszem Zawadzkim, który opiekował się nim w momentach kryzysu zdrowotnego, a w powstaniu jako żołnierz uczestniczył jego starszy brat, Olgierd.

Sprawa jest jaśniejsza, gdy wiemy, że z Kresów jednak wywodził się cały jego ród, od XVII w., a w nowszych czasach od dziada Ferdynanda, uczestnika powstania styczniowego (najpierw w oddziale kuzyna, sławnego Ludwika Narbutta, a po jego śmierci jako samodzielnego dowódcy oddziału), przez ojca Antoniego, redaktora wznowionego przezeń Lelewelowskiego „Tygodnika Wileńskiego", i matkę, wywodzącą się z książąt Glińskich. Sam Narbutt poznał Kresy zaledwie z jednego pobytu wraz z matką u krewnych w okolicach Kostopola. Było to przed wojną, gdy miał może 10 lat. Ale ten gen kresowy działał, jak widać, mocno.

eprasa.pl 9e095ef298

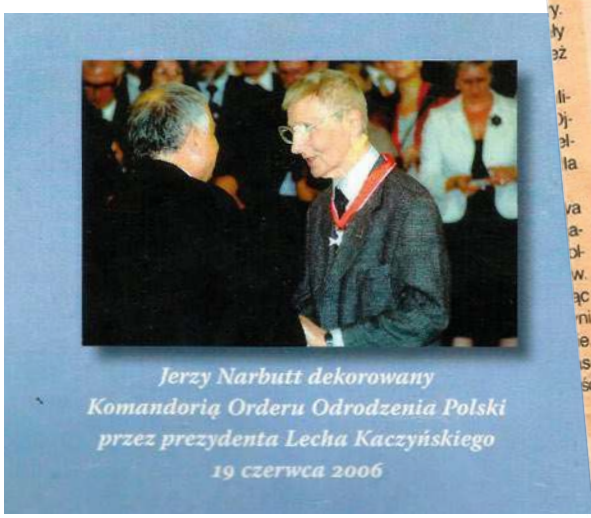

Jerzy Narbutt dekorowany Komandorią Orderu Odrodzenia Polski przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego 19 czerwca 2006

JERZY NARBUTT LAUREATEM NAGRODY MIASTA STOŁECZNEGO WARSZAWY

W przeddzień 60. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego, 31 lipca, na Zamku Królewskim w Warszawie, w Sali Balowej w samo południe odbyła się niecodzienna uroczystość wręczenia nagród Miasta Stołecznego Warszawy gronu jej laureatów – działaczom społecznym związanym ze stolicą, w tym literatowi Jerzemu Narbuttowi, wybitnemu poecie, pisarzowi i publicyście. W uzasadnieniu wśród zasług Jerzego Narbutta wymieniono najważniejsze: działalność opozycyjną oraz autorstwo słów hymnu „Solidarności" i autorstwo powieści *Ostatnia twarz portretu*, w której ukazany jest obraz społeczeństwa Warszawy lat przedwojennych i wojennych. Nagrody wręczał przewodniczący Rady Miejskiej Miasta Stołecznego Warszawy Jan Maria Jackowski.

Aleksander Markowski

WALKA O IMPONDERABILIA

Winien jestem jeszcze kilka słów poświęcić owej dwukrotnie wydanej, jedynej powieści pisarza. Posłużę się znowu piórem większego ode mnie znawcy literackich form i tropów, ks. prof. Janusza St. Pasierba. Pisał on jesienią 1981 r. w liście do Narbutta:

„Drogi Panie Jerzy, bardzo serdecznie dziękuję za »Ostatnią twarz portretu« – czytając ją, myślałem co chwila: cóż to za świetna proza! Aż się dziwię, że się Panu chce czasem pisać wiersze, bo ja uważam, że dobra proza jest trudniejsza, mimo wszystko. Gratuluję gorąco tej książki – jest tu siła ewokacji, klimat, nastrój, a poza tym »wymierzanie sprawiedliwości« czasowi tak strasznie sfałszowanemu. Ale przede wszystkim jest w tym nuta osobista, przeżyta, poświadczona, co daje książce przeszywającą lirykę". Dodajmy, że chodzi o czas walki o niepodległość, niezakończonej zwycięstwem z powodu jałtańskiej zmowy, o portret kolejnego, jak się do niedawna zdawało, całkowicie straconego pokolenia.

Godzi się jeszcze, jeśli idzie o twórczość artystyczną Jerzego Narbutta, wspomnieć o jego poezji, zawartej w skromnym zbiorku zatytułowanym „Trochę wierszy". Tak pisałem o tym niespełna 80-stronicowym zbiorze przed laty: „Jak większość wydań Narbutta wiersze te przeszły również bez echa, co wystawia jedynie złe świadectwo zwiędłej po 1989 r. krytyce literackiej. Są one bowiem znacznie mniej skromne w swej poetyckiej skali i wartości niż tytuł tomiku. Ich specyfiką jest – sit venia verbo – rozumność, powściągliwość, ukrywanie ważnych znaczeń pod przykrywką zwykłych i skromnych słów, jest ton osobisty i ton obywatelski. Są świadome nawiązania do Norwida (»Byłem u Ciebie w te dni bardzo czarne [...] – Pużak«) i [...] przetworzenia poetyki Norwidowskiej. [...] Jest to poezja, z którą się obcuje, wracając wielokrotnie do poszczególnych wierszy, by odkrywać na nowo ich treść i własną Narbuttową formę. I jest w nich cały ten nietradycyjny tradycjonalista, jak w wierszu »Pomnik Powstania Warszawskiego«, nawiązującym, oczywiście do Tadeusza Borowskiego, ale w całkowitym sprzeciwie wobec jego przeświadczeń:

Zostanie po nas miasto gruzów
I barykada z naszych ciał,
Zostanie po nas kpina głupców,
Płacz matek i litania skarg
I pozostanie niepodległa
Miłość wolności – i ta jedna
Urośnie w pomnik, w krzyk kamienny,
Co zerwie naród, aby wstał
I by zrozumiał jaki cenny
Był nasz rozumny szał".

Jest i liryka, „choć przeważa, jak to u Narbutta, poezja odpowiedzialnej walki o imponderabilia, w stylu": „Patrz na usta relatywistom, ich język to wieża Babel [...]". Tak jak w wierszu „Solidarni, nasz jest ten dzień", który stał się – z muzyką Stanisława Markowskiego z Krakowa – hymnem Solidarności, zatwierdzonym na Zjeździe Związku w Spale w 2000 r. Historia tego hymnu, którego tekst napisany został w 1980 r. i natychmiast spodobał się stoczniowcom, to cała epopeja, na odrębny tekst. Zarzucano mu, że przypomina marsze hitlerowców, Jacek Kuroń wpadł w furię i spowodował wycofanie się pierwszego kompozytora muzyki (litośnie przemilczę jego nazwisko).

Sytuacja polityczna w kraju po 1989 r. skłoniła pisarza do porzucenia twórczości artystycznej na rzecz publicystyki moralno-politycznej. Drukuje swoje teksty w „Tysolu", w „Ładzie" (do 1994 r.), w „Naszej Polsce". Kontynuuje mniej znaną eseistykę filozoficzną w „Więzi" i w dominikańskim piśmie „W Drodze", która potem nie wchodzi do książek publicystycznych i pozostaje rozproszona. A szkoda, bo jest coś z prawdy w tym, co przed laty napisał Waldemar Łysiak, że Narbutt to największy polski myśliciel naszych czasów, a Władysław Tatarkiewicz, u którego pisarz studiował jako wolny słuchacz, wysoko ocenił jego recenzję swojego dzieła „O szczęściu", opublikowaną w „Więzi". Wspomniane książki zaś to „Uciec z wieży Babel" (1999), „Awantury polemiczne" (2000), „Od Kraszewskiego do Parnickiego" (2000), „Spory o słowa, spory o rzeczy" (2001), „Dwa Bunty" (2003), „Wyrzucony na brzeg życia" (2005) – rodzaj pamiętnika, wreszcie „Żniwo lat pięćdziesięciu" (2007), gdzie pomieszczono wybór z całej twórczości artystycznej i publicystycznej pisarza.

WALKA Z ZAMAZYWANIEM PRAWDY

Tematyka tej publicystyki jest różnorodna, przede wszystkim to walka z wszelkimi sitwami i koteriami, z mniej

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 9e095ef298

widocznymi przejawami postkomunizmu, ze stereotypami utrwalonymi przez czerwoną propagandę, ale także – w środowisku swoich ideowych pobratymców – z zamazywaniem prawdy, z irenizmem, z lekceważeniem właściwych proporcji. Z tego powodu przysądziłem mu tytuł strażnika ładu moralnego.

Przeróżne polemiki były jego żywiołem, był w nich bezlitosny. Demaskował płyciznę myślową Witolda Gombrowicza, zarzucając mu, nie bez racji, pięknoduchostwo i stwierdzając po prostu, że pod względem językowym to geniusz, lecz pod względem filozoficznym – nicość. Wspaniałego kaznodzieję śp. ks. Bronisława Bozowskiego przyłapał na słowach, że ów ma 1,5 tys. przyjaciół i ripostował, że 1,5 tys. to można mieć kumpli, ale nie przyjaciół. Trudno się z tym nie zgodzić. Wyśmiewał „bajdy pana Wajdy" i krytykował Pascala za jego projansenizm, pisał pięknie o poetkach i poetach, o Annie Pogonowskiej czy o Bogdanie Ostromęckim, pod ekstremalnym tytułem „Choćby i popiół niepodległy" (cytuję z pamięci) i inne.

Nie zdołam już zmieścić opowieści o pozostałej części biografii pisarza, gdzie była i współpraca z komitetem Romaszewskich, i ponowne ukrywanie się, tym razem przed internowaniem w stanie wojennym w habicie zakonnika, i przez wiele lat „nora" na Chłodnej, bez wody i elementarnych wygód. Głód, wstrętny, prawdziwy głód, i ratunek od śmierci głodowej z nieba, ze strony śp. Leszka Proroka, gdy przyznano mu nagrodę w wysokości 15 tys. zł imienia autora „Tsunami", i wreszcie Komandoria z rąk prezydenta Lecha Kaczyńskiego w 2006 r.

Poza tym nikt chyba nie może zrozumieć, i ja też tego nie wyjaśnię, jak i dlaczego tak się stało, że tak wyśmienity człowiek pióra został „wyrzucony na brzeg życia", żył i umarł niemal zapomniany, mimo długoletniej aktywności, dużego dorobku literackiego i jego wysokiej wartości artystycznej i moralnej. Cenili go nieliczni wybitni Polacy, jak bp Dydycz czy Kornel Morawiecki, który na jego pogrzebie wyrecytował pięknie, z pamięci, dwa wiersze zmarłego. Miał Jerzy Narbutt jedną niewybaczalną „wadę", był czysty, nigdy nie uległ powabom tzw. nowej wiary. Pisał przejmująco:

Mam tylko gołe ciało moje i to życie
w prawdzie,
Co nie ułatwia życia. To życie w prawdzie,
Z którego się natrząsają, szturchając się
łokciami
I zwą mnie ironicznie: „Nasz książę
niezłomny".

Ale Księciem Niezłomnym był w istocie, bez ironii.

Czy Jerzy Narbutt powróci, we wznowieniach książek, w wydaniach rozproszonych esejów i artykułów, w pracach o nim? I kiedy? Oto są pytania...

Adam Ciesielski

Cały Chopin na 14 płytach

Wyjątkową wartość artystyczną i emocjonalną ma 14-płytowy album dzieł wszystkich Fryderyka Chopina w interpretacji Tatiany Shebanovej z towarzyszeniem Orkiestry XVIII Wieku pod batutą legendarnego Fransa Brüggena

Shebanova, Rosjanka urodzona w 1953 r. w Moskwie i tam wykształcona, była jedną z wybitnych pianistek swego pokolenia. Zwyciężczyni międzynarodowych konkursów w Pradze, Genewie i Brukseli, laureatka II nagrody X Konkursu Chopinowskiego w 1980 r. w Warszawie, z Polską związała się na stałe. Wyszła za mąż za pianistę Jarosława Drzewieckiego, ich synem jest pianista Stanisław Drzewiecki. Była profesorem Akademii Muzycznej w Bydgoszczy, wykładała na wielu innych uczelniach w kraju i za granicą, jednak jej głównym żywiołem pozostały występy i nagrania. W rodzinnych duetach i triach z mężem i synem, przede wszystkim jednak samodzielnie – solo i z orkiestrami na całym świecie – od Europy po Stany Zjednoczone i Japonię.

W repertuarze i dyskografii pianistki szczególne miejsce zajmuje Chopin. Jej ujęcia charakteryzowała nie tylko finezja techniczna, lecz i niezwykła głębia interpretacyjna. Nagrała (na fortepianie współczesnym) dziesięciopłytowy album z dziełami solowymi wielkiego romantyka. Z entuzjazmem włączyła się w zainicjowany przez Stanisława Leszczyńskiego nurt wykonań chopinowskich także na instrumentach z epoki. W latach 2007–2010 na fortepianie Erarda z 1949 r. z kolekcji Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina zarejestrowała prawie pełną twórczość naszego geniusza, z opusami orkiestrowymi włącznie.

Podczas sesji ścigała się z czasem, który nieubłaganie odmierzała okrutna choroba. Artystka odeszła 1 marca 2011 r., w rocznicę urodzin Chopina. Zostawiła nam płyty ze zjawiskowymi interpretacjami dzieł ukochanego kompozytora.

Fryderyk Chopin; Utwory solowe i z orkiestrą; Wyk. Tatiana Shebanova z Orkiestrą XVIII Wieku pod dyr. Fransa Brüggena; Wyd. Narodowy Instytut Fryderyka Chopina

eprasa.pl 9e095ef298

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

„Klangor": o nieporządnym życiu

Canal Plus jest bardzo operatywny w obwoływaniu swoich seriali wielkimi wydarzeniami. Tak było z „Szadzią" czy „Królem". Teraz działo się to samo z „Klangorem". Arkadiusz Jakubik, poszukujący w żółtym sztormiaku zaginionej córki, wyglądał niemal z każdej lodówki.

Serial to dzieło jednego scenarzysty: Kacpra Wysockiego i jednego reżysera: Łukasza Kośmickiego. Często takie produkcje nie mogą się obejść bez armii ludzi – tu jednak tak. Schemat ich opowieści jest prosty. Na skraju Polski, gdzieś w rejonie Świnoujścia, jest więzienie zatrudniające wielu ludzi z okolicy, co czyni z klawiszów miejscową elitę. Z kolei inni mieszkańcy szukają zatrudnienia w Niemczech.

Taka jest rodzina Wejmanów. Ojciec (Jakubik) haruje jako wychowawca w więzieniu. Matka (Maja Ostaszewska) to współczesna gastarbeiterka. Dwie córki (Katarzyna Gałązka i Matylda Giegżno) wchodzą w toksyczny związek z Arielem Galejem (Maciej Musiał), odrobinę brutalnym pasierbem szanowanego funkcjonariusza straży więziennej. Ostatecznie młodsza, Gabi, jedzie z nim do klubu muzycznego. On ginie, ona znika. Wiele wskazuje na to, że to ona go zabiła (w obronie przed agresją chłopaka?).

Wyjściowo dobre wyczucie realiów specyficznego mikrokosmosu, sugestywna atmosfera, co potęgują zimne, posępne kadry Witolda Płuciennika i oryginalna muzyka Mikołaja Trzaski. Mimo to nabierałem poczucia, że serial zaczyna tracić oddech. Rozumiem, że ciągnięcie w nieskończoność poszukiwań Gabi ma oddać koszmar rodziców. Ale podejrzewam, że z ośmiu odcinków można by zrobić sześć. A jeśli już osiem, to może zabrakło dobitniejszej wiwisekcji przeszłości, bardziej rozbudowanych retrospekcji. Pewna niedookreśloność postaci bywa w takich filmach zaletą. Ale tu chciałbym wiedzieć o nich więcej.

Nieco zmęczony celebrowaniem tego, że długo nic nie wiemy, obawiałem się trochę ostatecznego wydźwięku. Nie twierdzę, że temat męskiej przemocy wobec kobiet nie jest aktualny. Ale popkultura zaczyna nadawać mu postać obsesji. Tyle że szósty odcinek przynosi podwójny przełom. Akcja nagle nabiera rozpędu (poznajemy prawdziwy przebieg zdarzeń) i domniemania zwracają się w inną stronę niż rozważania o złym facecie bawiącym się dziewczynami.

Finał jest pełną gębą dramatyczny. Stawiam sobie jednak pytanie, czy oglądamy coś więcej niż ciąg zdarzeń kryminalnych? I odpowiadam: to portret zbiorowy ludzi żyjących nieporządnie. Nie oglądamy tu demonicznego, ostatecznego zła. A jednak ludzkie ułomności rodzą, czasem przez przypadek, krzywdę, potem okrucieństwo. Jeśli wszystko splecione jest z realiami więzienia, w teorii ostoi sprawiedliwości, tu obrośniętego mafijnymi układami, tym bardziej to przeraża.

Odczuwamy dramat głównej pary: Jakubika i Ostaszewskiej. Ale nawet bardziej sugestywni są Ryszkowie, matka i ojczym Ariela: Aleksandra Popławska i Wojciech Mecwaldowski, dwa uosobienia słabości prowadzącej do totalnego pogubienia. Świetny jest Piotr Witkowski jako miotający się, znarkotyzowany brat Ryszki, też pracujący w więzieniu. Nawet córki są ciekawe. Niby to kandydatki na ofiary, a przecież i w nich jest młodzieńcza dzikość.

Prawdziwą minikreację tworzy Paulina Gałązka jako pracownica więziennej kuchni, ofiara własnego prymitywnego temperamentu. To dowód na to, że najlepszych wykonawców aktorskich zadań w popularnych filmach warto szukać w teatrze. Czy w sumie dostaliśmy dużo czy mało? Niedosyt miesza się u mnie z umiarkowaną satysfakcją. Bo coś uchwycono. Polskie zakątki nadają się do klimatu noir, takiego w brzydkich wnętrzach pośród pięknej nadmorskiej przyrody.

Piotr Zaremba

Fot. Jarosław Sosiński/CANAL+

eprasa.pl 9ac55ef298

Zawsze gotowy do walki

O Robercie Lewandowskim powiedziano i napisano już niemal wszystko. To, że Polak jest obecnie najlepszym napastnikiem świata, jest oczywiste dla tych, którzy choć odrobinę znają się na piłce nożnej. Nie wszyscy jednak się zastanawiają, dlaczego tak się stało. Bo przecież Robert nie był aż takim talentem jak Pelé, Maradona, Messi czy Ronaldo

CEZARY KOWALSKI

W przeciwieństwie do nich RL9 nie urodził się wielkim graczem i nie był skazany na sukces bez względu na to, w jakim miejscu by się znalazł. W jego przypadku uwarunkowania genetyczne, talent, predyspozycje, umiejętności techniczno-taktyczne stanowiły nie więcej niż 50 proc. sukcesu. Ogromną rolę odegrała i ciągle odgrywa jego wyjątkowa mentalność. Odporność na ból, cierpienie, brak akceptacji czy każde inne niepowodzenie.

Żeby było jasne, Robert nie jest ani nie był grzecznym, skromnym, ułożonym chłopakiem, który znał swoje miejsce w szeregu i starał się być dla wszystkich miły. On sam, charakteryzując swoją karierę, porównuje ją do murów, które musiał bez przerwy rozbijać. Mierząc się ze śmiercią ojca, w bardzo młodym wieku brał odpowiedzialność za rodzinę. Wypluty przez Legię i odrzucony przez ekstraklasowe środowisko piłkarskie wycofał się do Pruszkowa, zacisnął zęby i walczył o powrót do normalnej piłki. Przenosząc się jako warszawiak do Lecha Poznań, ryzykował karierę, a wyjazd do Borussii Dortmund, gdzie miejsce w ataku zajęte było przez ówczesną gwiazdę Bundesligi Lucasa Barriosa, uznawano za szaleństwo. Marnując początkowo wiele dobrych sytuacji, nie wykorzystując swoich szans, nazywany był przez Niemców ciamajdą, „Lewandoofskim". Wielu nie wytrzymałoby psychicznie, „Lewego" natomiast te szykany pobudzały do walki, do błyskawicznej nauki niemieckiego, do rewanżu.

Kiedy już wykosił konkurencję i stał się gwiazdą drużyny, strzelając cztery gole Realowi w Lidze Mistrzów, mógł się cieszyć swoim statusem i opływać w luksusy, podpisując bajeczny kontrakt. Uznał jednak, że nie przedłuży umowy, nie da Dortmundowi zarobić gigantycznych pieniędzy i odejdzie do największej konkurencji za darmo. Na własne życzenie odszedł ze strefy komfortu wypracowanej z takim trudem i rzucił się na głęboką wodę. Nie zrażał go fakt, że trener Bayernu Pep Guardiola preferował grę bez klasycznego środkowego napastnika, a media trąbiły, że został zatrudniony przez Bawarczyków tylko po to, aby osłabić największego rywala. Później nie zjednywał sobie zwolenników, ogłaszając w poważnych niemieckich mediach, że Bayern nie wygra Ligi Mistrzów, jeśli nie zacznie wydawać ogromnych pieniędzy na transfery. Ani wtedy, kiedy stwierdził, że koledzy nie pomogli mu wyprzedzić w klasyfikacji strzelców Aubameyanga. Przedłużając kontrakt, negocjował z taką bezczelnością i tupetem, jakiej nie powstydziłyby się największe rekiny finansjery. Nikt nigdzie wcześniej nie zapłacił polskiemu piłkarzowi nawet zbliżonej sumy (20 mln euro za sezon).

Ta chęć rozbijania kolejnych murów za wszelką cenę wielu irytowała. Ale strzelecki rekord Gerda Müllera, który postanowił pobić, doskonale wpisywał się w charakterystykę jego kariery. Sposób, w jaki tego dokonywał, tym bardziej. Kiedy już witał się z gąską, doznał kontuzji, nie grał przez kilka tygodni i wydawało się, że nie da rady. A jednak udało się – w ostatniej minucie ostatniego meczu sezonu strzelił 41. gola.

„Uważam, że gdyby w ostatniej kolejce Bundesligi Robert Lewandowski zdecydował się usiąść na ławce, gdyby nie podjął próby pobicia tego rekordu, to byłoby to coś niesamowitego. W tych trudnych czasach, również dla piłki, pokazałoby, że jest jeszcze miejsce na piękne gesty" – bredził słynny niemiecki piłkarz, a dziś komentator Dietmar Hamann w rozmowie z Piotrem Koźmińskim. „Bez Müllera nie byłoby Bayernu takiego, jakim jest obecnie. Ba, z dużą dozą prawdopodobieństwa można powiedzieć, że gdyby nie Gerd, to Lewandowski nie grałby w tym klubie, bo Bayern nie rozwinąłby się aż tak, żeby móc sprowadzać takich piłkarzy" – gimnastykował się, aby uzasadnić swoją tezę. To oczywiście śmieszne, kompletnie niesportowe podejście do rywalizacji, ale Hamann tak naprawdę wyraził to, o czym myślała znaczna część niemieckiego środowiska piłkarskiego. Zwłaszcza starsi, pamiętający Müllera z boiska. Dyskretne pokazanie im gestu Kozakiewicza było dodatkowym skalpem naszego napastnika.

Widzący pewne braki w karierze Roberta wypominają mu, że w trzech wielkich turniejach (mistrzostwa Europy, mistrzostwa świata) ktoś tak skuteczny w klubie dla reprezentacji strzelił ledwie dwa gole, nie mówiąc o jakichkolwiek zdobyczach medalowych. Dla porównania – grający przed laty na innej pozycji Władysław Żmuda uczestniczył w czterech mundialach (łącznie 21 meczów) i przywiózł z nich dwa medale. Łatwo jednak piłeczkę odbić i zapytać: czy bez Lewandowskiego w ogóle byśmy na tych mistrzostwa zagrali?

Autor jest komentatorem Polsatu Sport

Fot. MDI / Shutterstock

eprasa.pl 9e095ef298

Karuzela rekordów

41
REKORD LIGOWYCH GOLI W SEZONIE BUNDESLIGI (WYPRZEDZIŁ GERDA MÜLLERA O JEDNĄ BRAMKĘ)

66
TYLE BRAMEK ZDOBYŁ W MECZACH REPREZENTACJI POLSKI

14
RAZY POPISAŁ SIĘ HAT TRICKIEM W BUNDESLIDZE

11
TYLE BRAMEK STRZELIŁ Z RZUTÓW KARNYCH DLA REPREZENTACJI POLSKI

118
TYLE MECZÓW ROZEGRAŁ W REPREZENTACJI POLSKI

3
RAZY BYŁ KRÓLEM STRZELCÓW W POLSCE: III LIGI ZE ZNICZEM, II LIGI ZE ZNICZEM I EKSTRAKLASY Z LECHEM POZNAŃ

35
GOLI W BUNDESLIDZE STRZELIŁ Z RZUTÓW KARNYCH

9
TYLE MISTRZOWSKICH TYTUŁÓW ZDOBYŁ NA NIEMIECKICH BOISKACH (2 Z BORUSSIĄ, 7 Z BAYERNEM)

277
TYLE BRAMEK STRZELIŁ W 350 MECZACH BUNDESLIGI

96
RAZY WYSTĄPIŁ W LIDZE MISTRZÓW I STRZELIŁ 73 GOLE

epresa.pl 9e095ef298

Lewandowski o sobie

Czuję się trochę jak w filmie science fiction. Brakuje mi słów. Przez 90 minut próbowałem strzelić gola, ale nie wychodziło, a potem udało się w ostatniej chwili. Odczuwałem napięcie do ostatnich sekund. Jestem bardzo szczęśliwy, ale muszę oddać, co należne zespołowi. Robili wszystko, żebym strzelił tego gola".

Dla TV Sky zaraz po pobiciu rekordu Gerda Müllera

Wyjeżdżając do Niemiec, miałem braki. W Polsce traciłem dystans, ale dzięki talentowi i determinacji doszedłem do poziomu piłkarzy Bundesligi, ale następnie ich przeskoczyłem. Kto wie, co by było, gdybym niczego nie musiał nadrabiać".

W książce „Krótka piłka"

Nie będę przepraszał nikogo za to, że zarabiam, a w Polsce ludzie często myślą, że muszą przepraszać za to, że mają pieniądze. Nie kupiłem też sobie ferrari po to, żeby trzymać je w garażu. Nie będę przepraszać za to, że ciężko pracowałem i doszedłem do momentu, w którym jestem".

Dla tygodnika „Sieci"

Nie zdawałem sobie sprawy, że zdobyłem pięć goli w dziewięć minut z Wolfsburgiem. Po meczu nie czytałem niczego na ten temat, bo nie chciałem, aby mnie zaczęła rozpierać przesadna duma. Nie miałem potrzeby napawania się faktem, że inni mnie gloryfikują. Po raz pierwszy pomyślałem o tym głębiej przy bożonarodzeniowym stole".

Dla „La Gazzetta dello Sport"

Jeśli jest coś, co może mi pomóc biec szybciej, biegać więcej, szybciej się regenerować, to staram się to robić".

Dla „New York Timesa"

Nie jestem robotem.
Proszę mnie tak nie nazywać".

Dla „France Football"

Inni o Lewandowskim

Niemcy twierdzą, że Lewandowski powinien podziękować Hansiemu Flickowi i Thomasowi Müllerowi, bez których pobicie rekordu Gerda Müllera nie byłoby możliwe. Bzdura. Największe podziękowania należą się ludziom, którzy prowadzili go w Zniczu Pruszków i Lechu Poznań. Wtedy jego talent został zidentyfikowany. Wtedy zaczęło się bicie tego rekordu".

Bogusław Kaczmarek, wychowawca wielu polskich piłkarzy, były asystent Leo Beenhakkera w reprezentacji Polski

Nikt nie potrafi ustawić się tak dobrze do strzału jak Lewandowski. Gdybym mógł, to wziąłbym od niego tę umiejętność".

Neymar, napastnik reprezentacji Brazylii i Paris Saint-Germain

Nie zazdroszczę mu. Ale podziwiam i szukam inspiracji. W pewnych kwestiach chcę go naśladować".

Cristiano Ronaldo, reprezentant Portugalii

Nigdy nie pracowałem z większym profesjonalistą niż Lewandowski".

Pep Guardiola, były trener Bayernu, obecnie Manchesteru City

Robert Lewandowski jest obecnie najlepszym piłkarzem świata. W tej chwili gra lepiej niż Messi i Cristiano Ronaldo".

Karl-Heinz Rummenigge, prezes Bayernu Monachium

Robert już niczego nie musi się uczyć. Potrafi wszystko, musi tylko trenować
i być gotowy na kolejny mecz".

Julian Nagelsmann, nowy trener Bayernu Monachium

Gdyby ten reżim, indywidualne podejście do treningu, który Robert ma dzisiaj, zaczął się wcześniej, może mielibyśmy tu piłkarza, o którym za 10 lat mówiliby tak jak dzisiaj o Pelém".

Bartosz Bosacki, były reprezentant Polski i zawodnik Lecha Poznań, z którym Lewandowski zdobywał mistrzostwo Polski

Robert Lewandowski, rocznik 1988, warszawiak

- 185 cm wzrostu, 79 kg. Żonaty, dwójka dzieci. Żona Anna Stachurska, była mistrzyni w karate tradycyjnym. Para wzięła ślub w 2013 r. w Serocku. Córki Klara (ur. w 2017 r.) i Laura (2020 r.).
- Rodzice skończyli AWF. Ojciec Krzysztof był judoką, młodzieżowym mistrzem Europy, mama Iwona siatkarką ligowego zespołu AZS AWF Warszawa. Potem oboje uczyli wychowania fizycznego w szkole podstawowej w podwarszawskim Lesznie. Siostra Milena uprawiała siatkówkę.
- Pierwszym klubem Roberta był Partyzant Leszno, ale nie był tam zarejestrowany. Uczestniczył w treningach dzięki ojcu, który tam pracował. Później przez siedem lat grał w Varsovii. Dojeżdżał na treningi 30 km.
- Jednocześnie próbował sił w innych dyscyplinach. Został mistrzem województwa mazowieckiego w biegach przełajowych, uprawiał judo i tenis stołowy.
- W 2005 r. trafił do czwartoligowej Delty Warszawa. Jeszcze przed pierwszym meczem w seniorskiej piłce, w wieku 49 lat zmarł jego ojciec. Pół roku później został zawodnikiem Legii. Występował jedynie w rezerwach (strzelił dwa gole). Legia go nie chciała, zatem podpisał kontrakt z trzecioligowym Zniczem Pruszków. Wtedy jego kariera ruszyła. Kolejne kluby to Lech Poznań (z którym w 2010 r. został mistrzem Polski i królem strzelców Ekstraklasy), Borussia Dortmund i Bayern Monachium.
- Wartość rynkowa: 100 mln euro.
- Pseudonim z dziecięcych lat, kiedy był zawodnikiem Varsovii: „Bobek".
- Idol: Thierry Henry.
- Jego aktywność w mediach społecznościowych (Instagram) obserwuje 25 mln osób.

Zebrał Cezary Kowalski

Fot. MDI / Shutterstock

eprasa.pl 9e095ef298

Z *Wojciechem Dąbrowskim*, prezesem zarządu PGE Polska Grupa Energetyczna, na temat zielonego szantażu, polskiego stanowiska w sprawie wyroku TSUE dotyczącego kopalni w Turowie, a także wspierania pracowników i polskich firm w drodze do transformacji energetycznej, rozmawia Maciej Wośko („Gazeta Bankowa")

Nie da się przeprowadzić transformacji energetycznej z dnia na dzień

eprasa.pl 9e095ef298

Panie prezesie, zacznijmy – mimo gorącego czasu w energetyce – od sprawy, która jest od kilku lat głównym tematem rozmów na temat energii. Polski Ład, Krajowy Plan Odbudowy, europejski fundusz odbudowy – wszystkie programy wsparcia gospodarki wychodzącej z kryzysu covidowego zawierają elementy związane z transformacją energetyczną, green dealem, inwestycjami w zieloną energię. Będą pieniądze na zieloną rewolucję?

Wojciech Dąbrowski: Kwestie transformacji energetycznej są bardzo wysoko w agendzie zarówno europejskiej, jak i rządu polskiego. Wszyscy mają świadomość, że zmiany w energetyce mają ogromny wpływ na całą gospodarkę ale także dotykają bezpośrednio obywateli. Dlatego mocno podkreślamy to, że jeżeli Komisja Europejska wymaga od nas kosztownych zmian, to muszą iść za tym fundusze unijne. Nie możemy dopuścić, aby transformacja energetyczna odbywała się kosztem odbiorców energii elektrycznej.

Pozyskanie środków na niskoemisyjne źródła energii będzie też impulsem rozwojowym dla Polski, co jest szczególnie ważne po pandemii. Z pewnością inwestycje w energetyce, obok infrastruktury, będą jednym z kół zamachowych polskiej gospodarki w najbliższym dziesięcioleciu. Mówimy o setkach miliardów złotych.

Szacowana wartość inwestycji do 2050 r. potrzebna do przeprowadzenia skutecznej transformacji to – w wyliczeniach ekspertów – ok. 200 mld euro. PGE skorzysta w jakiś konkretny sposób z tych programów?

Tak. Nasze projekty jak najbardziej wpisują się w założenia programów i aktywnie poszukujemy możliwości uzyskania preferencyjnego finansowania. Szczególnie zależy nam na wykorzystaniu środków unijnych, tak aby ograniczyć finansowanie z polskich mechanizmów wsparcia inwestycji.

Zgłosiliśmy nasze projekty budowy morskich farm wiatrowych do Krajowego Planu Odbudowy na kwotę ok. 35 mld zł. Zgłosiliśmy również rozbudowę i modernizację nowego magazynu energii, czyli elektrowni szczytowo-pompowej Porąbka-Żar, na kwotę ok. 400 mln zł.

Ta elektrownia notabene sprawdziła się już w czasie ostatniej awarii w Rogowcu.

Porąbka-Żar, podobnie jak wszystkie nasze elektrownie szczytowo-pompowe – Żarnowiec, Dychów i Solina, w czasie awarii w rozdzielni PSE Rogowiec natychmiast zadziałały, uzupełniając niedobory mocy w systemie energetycznym o 1,5 GW. Uruchomiliśmy wszystkie źródła rezerwowe, w tym nowy blok w Turowie. Chciałem podziękować wszystkim naszym pracownikom, którzy pracowali przez blisko dobę, żeby usunąć skutki awarii. Dzięki ich profesjonalizmowi bloki Elektrowni Bełchatów w szybkim tempie były przywracane do pracy. Dziękuję, że mogę pracować z takimi ludźmi.

A energetyka wiatrowa? Jeszcze niedawno koszty energetyki odnawialnej (głównie z wiatru) były wyższe, ale wystarczyło podnieść opłaty za emisję CO_2, by koszt energetyki konwencjonalnej zmusił wręcz do pilnych inwestycji w OZE. Jak długo, pana zdaniem, będziemy się mierzyć z tym swoistym zielonym szantażem?

To jest całkowicie niezrozumiała sytuacja na rynku CO_2. Od 2018 r. cena emisji CO_2 wzrosła o ponad 500 proc. – z mniej niż 10 euro za tonę do obecnych 50 euro w maju. To pokazuje, że system ETS jest tak naprawdę narzędziem do zduszenia energetyki węglowej w Europie, bez patrzenia na koszty finansowe i społeczne.

Polska w Unii Europejskiej ma największy udział węgla w miksie energetycznym – to stawia nas w bardzo trudnej sytuacji. Pamiętajmy, że OZE nie zapewnią nam bezpieczeństwa energetycznego. Znaczenie odnawialnych źródeł energii będzie systematycznie rosnąć, ale muszą one być wsparte także źródłami stabilnymi, niezależnymi od warunków atmosferycznych. Przez najbliższe 20–30 lat taką strategiczną funkcję pełnić będą nadal źródła węglowe, potem liczymy na to, że jądrowe.

Musimy stanowczo, merytorycznie i transparentnie informować o tym Brukselę. Nie możemy prowadzić polityki klimatycznej w oderwaniu od realiów gospodarczych i społecznych. Wszystkie cele klimatyczne bardzo dobrze wyglądają w dokumentach – ale wpływają bezpośrednio na ekonomiczne możliwości poszczególnych państw. Musimy jasno komunikować o specyfice naszej gospodarki. Nie da się przeprowadzić transformacji

eprasa.pl 9e095ef298

energetycznej z dnia na dzień, czego oczekują działacze ekologiczni, dla których perspektywa 10 lat jest zbyt długim czasem oczekiwania na zmiany. W energetyce dziesięciolecie jest krótkim okresem, a inwestycje planujemy na 20–25 lat do przodu. To kwestia odpowiedzialności za setki tysięcy ludzi. I ten dialog jest niezwykle trudny.

Ma pan na myśli związki zawodowe?

Także niektórych polityków, organizacje i działaczy. Z jednej strony mamy organizacje, które wyświetlają jakieś hasła na naszej chłodni kominowej, przykuwają się do koparek, a z drugiej skrajnej strony są ludzie, którzy nie chcą przyjąć do wiadomości, że transformacja jest konieczna.

Wiemy już, że nie da się oprzeć przyszłości polskiej energetyki na węglu. Jeśli ktoś twierdzi inaczej, wprowadza ludzi w błąd. Transformacja musi się dokonać i sami musimy ją przeprowadzić, bo jeśli my – jako przedsiębiorstwo polskie z udziałem skarbu państwa – sami nie zbudujemy nowoczesnej energetyki, to wybudują ją koncerny zagraniczne. I będziemy energię kupować od firm z kapitałem zagranicznym i to one będą nam dyktowały jej cenę.

Albo zamykały kopalnie i elektrownie. Trybunał Sprawiedliwości UE nakazał natychmiastowe zamknięcie Turowa. Zareagował pan szybko, publikując m.in. protokół rozmów ze stroną czeską.

Opublikowaliśmy protokół uzgodnień transgranicznych podpisany przez stronę czeską oraz decyzję środowiskową. Od początku staliśmy na stanowisku, że nie ma mowy o zamknięciu kopalni w Turowie. Oznaczałoby to automatyczne wyłączenie elektrowni, która dostarcza prąd do 3,7 mln gospodarstw domowych. Wyłączenie elektrowni zdestabilizowałoby polski i europejski system energetyczny, w którym Turów gra istotną rolę jako jeden z jego najważniejszych elementów – zapewnia do 7 proc. zapotrzebowania na energię w Polsce. To jest bardzo konkretna energia w polskich domach i dla polskiej gospodarki, i to są bardzo konkretne miejsca pracy. To również praca dla mieszkańców regionu, to nie tylko pracownicy kopalni i elektrowni, ale spółki zależne Grupy PGE pracujące na rzecz Turowa. To również usługodawcy i poddostawcy oraz ich rodziny, których sytuacja zależy od dalszego funkcjonowania tego największego w regionie pracodawcy.

> Zamknięcie kopalni w Turowie oznaczałoby automatyczne wyłączenie elektrowni, która dostarcza prąd do 3,7 mln gospodarstw domowych, zapewnia do 7 proc. zapotrzebowania na energię w Polsce

PGE Polska Grupa Energetyczna jest gotowa na transformację energetyczną, także kopalnia i elektrownia Turów są na nią gotowe, ale na transformację sprawiedliwą i rozłożoną w czasie, gwarantującą bezpieczny byt mieszkańców regionu turoszowskiego.

TSUE zareagował na skargę Czechów, którzy mówią tak: my chcemy zamykać kopalnie węgla brunatnego, a Polacy poszerzają wydobycie...

Kopalnia Turów się nie rozbudowuje. Wręcz przeciwnie, obecna koncesja dotyczy działalności wydobywczej na obszarze połowę mniejszym niż w koncesji z 1994 r.

Od 2015 r. prowadziliśmy dialog ze stroną czeską. W tym czasie zrobiliśmy wszystko, co jest wymagane prawem polskim i europejskim, aby uzyskać koncesję. Przeprowadziliśmy szerokie ponadstandardowe konsultacje transgraniczne, zakończone podpisaniem protokołów przez stronę czeską. Wszystkie zobowiązania zawarte w protokole spełniliśmy. Kończymy właśnie budowę prewencyjnego ekranu chroniącego wody gruntowe na granicy kopalni, długości ok. 1100 m i głębokości 65–117 m. Inwestycja za 17 mln zł jest działaniem profilaktycznym, do którego Kopalnia Turów zobowiązała się dobrowolnie.

Chciałbym także przypomnieć, że to nie są jedyne inwestycje chroniące otoczenie kopalni. Kompleks Turów od dawna inwestuje w instalacje prośrodowiskowe ograniczające emisję pyłów z taśmociągów, emisję hałasu, a także chroniące wody powierzchniowe i głębinowe. Nie licząc inwestycji w modernizacje jednostek wytwórczych ograniczające ich wpływ na środowisko, w ostatnich latach PGE przeznaczyła 90 mln zł na minimalizowanie wpływu odkrywki na otoczenie.

W bliskim otoczeniu Turowa funkcjonuje dziewięć kopalni odkrywkowych węgla brunatnego – pięć na terenie Czech, cztery w Niemczech. Zamierzamy jako PGE zaprosić operatorów tych kopalń do współpracy na rzecz sprawiedliwej transformacji i w obszarze minimalizowania skutków działalności wydobywczej na otoczenie. Prowadzone przez stronę polską uzgodnienia z Czechami są dobrą podstawą do takiej współpracy transgranicznej i wymiany doświadczeń w ramach euroregionu Nysa.

Pracowity tydzień. Najpierw awaria sieci, której skutkiem było wyłączenie 10 z 11 bloków elektrowni w Bełchatowie, potem decyzja TSUE i jeszcze pożar największego taśmociągu w bełchatowskiej elektrowni.

I tym razem dostawy prądu nie były ani nie są w żaden sposób zagrożone. Pożar został szybko opanowany. Sprawdzamy, jaka była przyczyna. System energetyczny zadziałał właściwie, a Polsce nie zabrakło energii elektrycznej. To zasługa energetyków, pracowników PGE, którzy sprawdzają się właśnie w takich kryzysowych sytuacjach.

eprasa.pl 9e095ef298

W „Polityce energetycznej Polski 2040" zakładaliśmy, że poziom 60 euro za tonę uprawnień do emisji CO_2 osiągniemy dopiero w 2035 r. Na 2021 r. PEP zakładał cenę 25 euro. Tymczasem mamy wzrost o 100 proc. w stosunku do prognoz. Nie ma pan wrażenia, że walczymy z wiatrakami? Płacimy coraz więcej, szukając równocześnie środków na transformację. Czy to się kiedykolwiek uda?

Mimo że emisje całkowite CO_2 spadają i dzięki technologii, modernizacjom emitujemy coraz mniej – to w związku z niezrozumiałymi wzrostami cen praw do emisji rzeczywiście cena eksploatacji rośnie. Ale to też upewnia nas, że prowadzony przez Ministerstwo Aktywów Państwowych projekt wydzielenia i przeniesienia aktywów węglowych do odrębnego podmiotu jest niezbędną drogą, by polska energetyka była nadal polska.

Powołanie Narodowej Agencji Bezpieczeństwa Energetycznego, proponowane przez MAP, jest dziś jedynym wyjściem, by zapewnić nam bezpieczeństwo. Jednocześnie polskie firmy energetyczne będą mogły inwestować w zieloną energię, by w przyszłości dostarczać ją ze źródeł odnawialnych.

Stąd radykalne zmiany w ogłoszonej jesienią ub.r. strategii PGE?

To ogromna zmiana, także mentalna, w kierunku zielonej energii. Aktywiści powiedzą pewnie, że zbyt wolna, a związki zawodowe podniosą alarm, że za szybka. Musimy ważyć zdania obu stron, a jednocześnie pamiętajmy, że na końcu jest odbiorca energii elektrycznej, czyli tak naprawdę każdy z nas.

Z ekologami ta debata jest faktycznie dość trudna. Ale w rozmowach ze związkami zawodowymi czy choćby w górnictwie jest pewien progres. Umowa rządu z górnikami zakłada, że proces wygaszania wydobycia węgla odbędzie się w sposób zaplanowany i bezpieczny dla pracowników tego sektora. To wpływa też na strategię PGE?

Jest zbieżne z naszymi planami i zgodne ze strategią transformacji energetycznej. Ale zmiana musi być prowadzona kompleksowo, z zaangażowaniem wielu podmiotów – od samorządów, firm, aż po rząd i Unię Europejską. Wspólnie jesteśmy w stanie przeprowadzić cały proces bezpiecznie dla pracowników i konsumentów, przy zachowaniu rozwoju polskich firm energetycznych. Jako największy pracodawca w takich regionach jak turoszowski czy bełchatowski, czujemy się odpowiedzialni za los tych ludzi. Wiemy, że dziś potrzebują szczególnie perspektywy na rozwój. To wspólne zadanie dla rządu, samorządu, biznesu i dla nas – spółek z udziałem skarbu państwa.

> Kibicujemy rządowi w programie rozwoju energetyki jądrowej. Pierwsza wskazana lokalizacja to okolice Żarnowca i Choczewa, ale druga to właśnie Bełchatów, co nas szczególnie cieszy i będziemy tę inicjatywę popierać

W Bełchatowie czy Turowie będziemy nie tylko inwestować w budowę odnawialnych źródeł energii, lecz także dążyć do zwiększenia atrakcyjności tych regionów, aby przyciągnąć jak największą liczbę inwestorów. PGE we wrześniu uruchomi wspólnie z łódzkim urzędem marszałkowskim nowe Centrum Rozwoju Kompetencji w Bełchatowie, gdzie pracownicy będą mogli podnosić swoje kwalifikacje. To program na kilkanaście lat.

Bo potem będą potrzebni pracownicy w elektrowniach atomowych.

Kibicujemy rządowi w programie rozwoju energetyki jądrowej. Pierwsza wskazana lokalizacja to okolice Żarnowca i Choczewa na północy Polski, ale druga lokalizacja to właśnie Bełchatów, co nas szczególnie cieszy i będziemy tę inicjatywę popierać.

W Europie już słychać, że polska droga do energetyki jądrowej to błąd. Niemcom wcale się ten pomysł nie podoba.

To pokazuje tylko, że trzeba dziś prowadzić twardą politykę w UE i walczyć o swoje interesy. Nie możemy pozwolić na narzucanie rozwiązań, bo to po prostu element wojny gospodarczej. Mamy wiele atutów, więc jasno komunikujmy nasze plany, nasze potrzeby w górnictwie, w energetyce, w branży elektrociepłowniczej. Jesteśmy dużym rynkiem. Mamy dziś jeszcze węgiel, pośrednim paliwem będzie gaz, który właśnie w elektrociepłowniach sprawdza się dobrze. Kolejny etap to energetyka jądrowa – wydaje się, że dla Polski to najlepszy scenariusz.

Natomiast jeśli dzisiaj mówi się o wodorze, to pamiętajmy, że ta technologia wciąż jest na etapie wynalazku i nie widać nawet perspektyw na wykorzystanie wodoru w energetyce.

Do atomu i wodoru będą potrzebni wykształceni pracownicy – to temat na odrębną rozmowę. Już dziś wykwalifikowani pracownicy i firmy niezbędni są w błyskawicznie budowanej energetyce offshore.

Pandemia pokazała, jak ważna jest rola patriotyzmu gospodarczego. Dlatego stawiamy sobie za główny cel w procesie transformacji, by jak najwięcej środków z funduszy trafiło do polskich firm.

Chcemy i zachęcamy, żeby polskie przedsiębiorstwa startowały w przetargach, w naszych inwestycjach. Jasno to komunikujemy, że chcemy pracować z polskimi wykonawcami, że wciąż jest czas na zdobycie kwalifikacji. Jest też wiele polskich firm doskonale przygotowanych, pracujących dzisiaj dla firm zagranicznych na całym świecie. Zapraszamy je do współpracy z nami. Razem będziemy rozwijać polską gospodarkę.

eprasa.pl 9e095ef298

Cyfrowy ład już za trzy lata

Modernizacja państwa polskiego i skuteczna pogoń za najbogatszymi państwami Europy nie dokona się w dzisiejszych czasach bez rozwoju infrastruktury teleinformatycznej. Wizualizując sobie rozwój Polski, zbyt często mamy przed oczami nowe drogi szybkiego ruchu, linie kolejowe, mosty czy inne obiekty użyteczności publicznej, zapominając, że przynajmniej równie istotnym, jeśli nawet nie ważniejszym, elementem prorozwojowym nowoczesnego państwa jest dziś sieć cyfrowa

Obecny rząd zdaje sobie sprawę z wagi inwestycji cyfrowych w rozwoju kraju, dlatego mają one być jednym z filarów Polskiego Ładu. Podczas ogłaszania nowego planu premier Mateusz Morawiecki wielokrotnie podkreślał konieczność szybkiej cyfryzacji. Ambicją rządzących jest przede wszystkim rozwój infrastruktury teleinformatycznej, walka z wykluczeniem cyfrowym, ucyfrowienie samorządów i lokalnych usług publicznych, wreszcie i pewnie najważniejsze – budowę światłowodów umożliwiających szybką transmisję danych oraz dokończenie likwidacji białych plam w dostępie do internetu.

W tym kontekście warto się przyjrzeć znaczeniu inwestycji światłowodowych dla Polski i zastanowić, jak najefektywniej wykorzystać fundusz odbudowy oraz działania operatorów telekomunikacyjnych. Nie ma bowiem wątpliwości, że w obszarze cyfryzacji państwo musi się zdać na kompetencje firm prywatnych, które posiadają odpowiednie know-how i doświadczenie w tworzeniu nowoczesnych sieci. Natomiast trudno oczekiwać od prywatnych inwestorów, że zdecydują się na aktywność w obszarach mało zurbanizowanych, gdzie budowa sieci byłaby raczej aktem charytatywnym niż biznesowym. To właśnie tutaj zadaniem państwa jest opracowanie takich metod stymulacji aktywności inwestycyjnej dla wspomnianych firm, by opłacało się im działać także na terenach, gdzie trudniej i kosztowniej się inwestuje.

W 2024 r. bez wizyt w urzędach

Polski Ład zakłada, że w 2024 r. będzie możliwe załatwienie każdej sprawy administracyjnej w formie zdalnej, przy użyciu internetu, bez konieczności osobistej wizyty w urzędzie. Aby obietnicę tę wdrożyć w życie, konieczne jest spełnienie innego kluczowego zapisu Polskiego Ładu, a więc dostarczenie każdej polskiej rodzinie szerokopasmowego internetu. Aby zachęcić Polaków do rozwoju kompetencji cyfrowych umożliwiających korzystanie z e-administracji, PiS zapowiada zwolnienia korzystających z tej formy kontaktów z urzędami z opłat skarbowych.

KOMU SIĘ CHCE I OPŁACA

W ostatnich latach firmy telekomunikacyjne, również lokalni operatorzy kablowi, chętnie inwestują w sieci światłowodowe – można to prześledzić przyglądając się danym publikowanym przez Urząd Komunikacji Elektronicznej. Jaki potencjał możliwości w cyfryzacji kraju drzemie w prywatnych operatorach, najłatwiej prześledzić na przykładzie największego z nich na naszym rynku, jakim wg raportu UKE o stanie rynku telekomunikacyjnego za 2019 r. jest Orange Polska.

W zasięgu sieci światłowodowej tego operatora jest obecnie 5,2 mln gospodarstw domowych, co stanowi 35 proc. wszystkich gospodarstw domowych w Polsce. Sieć światłowodowa Orange, docierająca bezpośrednio do polskich domów, tak naprawdę powstała w ostatnich sześciu latach i jest obecnie dostępna w 168 miastach. Od 2015 r. Orange wydał już na inwestycje światłowodowe ponad 3,6 mld zł.

Co warto zauważyć, firma podkreśla, że jest także istotnym inwestorem na obszarach wykluczenia cyfrowego, które są nieatrakcyjne komercyjnie. Realizuje tam projekty z katalogu POPC (Program Operacyjny Polska Cyfrowa) współfinansowane z funduszy europejskich.

Orange przejął projekty POPC, z których wycofała się Netia, uznając je za nieopłacalne nawet przy wsparciu funduszy publicznych. W ostatnim roku wydatki inwestycyjne firmy wyniosły 1,8 mld zł, z czego ponad 600 mln zł przeznaczono na rozwój sieci światłowodowej.

WIELU CHĘTNYCH DO CYFRYZACJI POLSKI

Orange Polska jest największym, ale niejedynym inwestorem, którego działania pomagają realizować ambitne plany rządu i cele Unii Europejskiej. Najlepszym tego dowodem są inwestycje w sieci światłowodowe realizowane na szeroką skalę przez firmy INEA i NEXERA.

eprasa.pl 9e095ef298

W maju deklarację chęci większego zaangażowania się w inwestycje światłowodowe w Polsce złożył Iliad, właściciel sieci Play.

Operatorzy zapewniają też stałe wpływy do państwowej kasy – kupują częstotliwości (warto przypomnieć, że ostatnia wielka aukcja dzieląca pasmo do usług LTE przyniosła ponad 9 mld zł), płacą za przydzielenie numerów, bieżące korzystanie z zasobów radiowych czy pasa drogi. Płacą też podatki od nieruchomości, CIT, VAT. Tylko Orange w ostatnich pięciu latach zasilił z tego tytułu państwową kasę kwotą 9,2 mld zł.

Budowa cyfrowej Polski nie jest prostym ani tanim zadaniem. Wszystko dobrze brzmi, kiedy padają obietnice, ale jego realizacja będzie trudna i wymagała wsparcia inwestorów. Chodzi nie tylko o przemyślaną politykę regulacyjną, ale realną pomoc. Już dziś można założyć, że aby proces cyfryzacji przebiegał w tempie zadeklarowanym przez rząd, konieczne będzie użycie potężnych środków budżetowych, a nie tylko pieniędzy z funduszu odbudowy. Telekomy podkreślają jednak, że finansowe wsparcie inwestycji na terenach mało atrakcyjnych komercyjnie, to jedynie część oczekiwań, jakie kierują w stronę rządzących. Operatorzy zwracają uwagę na to, że wciąż zmagają się z wieloma barierami inwestycyjnymi, wynikającymi np. z braku pełnej cyfryzacji zasobów geodezyjno-kartograficznych czy ograniczeń prawa budowlanego. Podkreślają również, jak ważne jest stabilne i przewidywalne otoczenie legislacyjne, z czym – jak wszyscy wiemy – w Polsce bywało różnie. Z pewnością jednak dla powodzenia, a przede wszystkim zainicjowania inwestycji wymagających miliardowych nakładów, pewność niezmienności przepisów jest kluczowa.

> „Do 2024 r. umożliwimy każdemu gospodarstwu domowemu w Polsce dostęp do szerokopasmowego internetu z możliwością modernizacji do prędkości dostępnej w gigabitach na sekundę”
> – premier Mateusz Morawiecki

PRZYSPIESZENIE

Ostatni rok naznaczony walką z pandemią przyniósł w naszym życiu wiele zmian. Jedną z kluczowych było ukazanie, jak fundamentalną sprawą w dzisiejszym świecie jest dostęp do sieci. Mimo łagodzenia obostrzeń wielu pracowników już na stałe wdrożyło system pracy zdalnej, możliwy tylko dlatego, że mieszkają w rejonach, gdzie dostęp do szybkiego internetu nie jest problemem. Musimy pamiętać jednak, że pandemia dotknęła w równym stopniu także mieszkańców tych rejonów, które wciąż stanowią białe plamy na cyfrowej mapie Polski. Oni także zasługują na to, by ich jakość życia była zachowana mimo trudności, jakie powoduje walka z wirusem, a ich dzieci otrzymywały rzetelną edukację, gdy niemożliwe jest skorzystanie ze stacjonarnej szkoły. To dlatego przyspieszenie procesu cyfryzacji jest tak istotne. Nie tylko nowe drogi czy mosty wyrównują szanse, w dzisiejszym świecie wyrównują je także „szlaki” cyfrowe.

Bartosz Życiński

Duży operator to duży wpływ

Orange poinformował, że będzie kontynuował swoje inwestycje światłowodowe. Znalazł do tego inwestora – firmę APG zarządzającą pieniędzmi holenderskich emerytów – i powołał spółkę Światłowód Inwestycje, która ma podłączyć kolejnych 1,7 mln gospodarstw domowych do 2025 r. Zgodnie z deklaracjami właściciela nowa spółka będzie otwarta dla wszystkich zainteresowanych operatorów na niedyskryminujących i przejrzystych zasadach. Tymczasem, jak wyliczył jeden z think tanków, tylko dzięki łączom zapewnianym przez Orange PKB Polski w latach 2004–2019 urósł o 8,1 proc.

Fot. Blue Planet Studio/Shutterstock

eprasa.pl 9e095ef298

Jak pandemia uczy być zapobiegliwym

Zerwane łańcuchy dostaw, ograniczenia wytwórcze rodzimego przemysłu i wynikająca z nich troska o zaopatrzenie państwa w podstawowe zasoby sprawiły, że w dobie pandemii do świadomości Polaków dotarło znaczenie tak ważnej instytucji jak Rządowa Agencja Rezerw Strategicznych. Z ***Michałem Kuczmierowskim***, prezesem RARS, o najgorętszym czasie w historii agencji i o tym, jak zabezpieczyć Polskę w przyszłości, rozmawia Bartosz Życiński

Wiosną 2020 r. został pan powołany na stanowisko prezesa Agencji Rezerw Materiałowych, która za pańskiej kadencji, po 25 latach zmieniła nazwę na Rządową Agencję Rezerw Strategicznych. Proszę wyjaśnić, czy to tylko nowy szyld, czy zmiana nazwy oznacza coś więcej?

Michał Kuczmierowski: Zmiana nazwy to jedynie zwieńczenie wielu istotnych zmian w działaniu tej instytucji, taka kropka nad i. Pandemia COVID-19 pokazała, że kompetencje i procedury, jakimi dysponowała Agencja Rezerw Materiałowych, były niewystarczające. Co prawda ręce rozwiązywały nam „ustawy covidowe", które poszerzały nasze uprawnienia, jednak czas obowiązywania tych aktów prawnych jest ograniczony. Ustawa o RARS zawiera i wprowadza na stałe do naszego modelu działania zmiany z „ustaw covidowych". Przede wszystkim pozwala na zwiększenie efektywności działania w obszarze rezerw strategicznych i zasobów kryzysowych – daje możliwość szybkiego i sprawnego reagowania w różnych sytuacjach kryzysowych nie tylko w kraju, ale i poza jego granicami. Usprawnia i uelastycznia procedury i procesy – również decyzyjne. Otwiera RARS na realizację niestandardowych działań czy zadań – dzisiaj koordynujemy nie tylko rezerwy w formie materiałowej, lecz również zdolności produkcyjne czy logistykę. Zmienił się też organ nadzorujący system rezerw strategicznych – z ministra właściwego do spraw energii na prezesa Rady Ministrów, co znacznie przyspiesza proces podejmowania decyzji.

Można chyba zaryzykować twierdzenie, że przez lata ARM to nie był akronim, który uzyskałby wysoką rozpoznawalność podczas np. sondy ulicznej wśród Polaków. Pandemia sprawiła jednak, że najpierw o ARM, a teraz o RARS jest dużo głośniej. Czy ma pan poczucie, że kieruje tą instytucją w zupełnie wyjątkowym czasie dla jej istnienia?

„Obyś żył w ciekawych czasach" – mówi chińskie przekleństwo. No i się doczekaliśmy. Przyzwyczajeni do znajomego, względnie powtarzalnego i bezpiecznego świata, teraz musimy się mierzyć z tym, co niebezpieczne i niewiadome. Czas jest ogólnie trudny, nie tylko dla RARS, ale dla wszystkich Polaków. Stając na czele agencji, wiedziałem, z czym muszę się zmierzyć, widać było brak podstawowych narzędzi. Na szczęście udało się zbudować bardzo sprawny zespół, ściągnąć wielu fachowców z rynku komercyjnego i sprostać zadaniom. Pewnie nie miałbym możliwości przeprowadzenia tak dynamicznych zmian, gdyby nie kryzys, który je wymusił. Sytuacja poka-

Fot. materiały prasowe

eprasa.pl 9e095ef298

zała, jak ważne jest, by mieć zaplecze, które zapewni Polsce bezpieczeństwo w ekstremalnych sytuacjach. Od wielu miesięcy intensywnie wspieramy walkę z COVID-19 w bardzo szerokim zakresie i stale zmieniających się realiach. Dostarczamy maseczki i inne środki ochrony osobistej, respiratory, tlen i oczywiście szczepionki, budowaliśmy szpitale tymczasowe. Ale – przypomnę – to tylko część naszej działalności.

Czym jeszcze zajmuje się RARS?

Zadaniem agencji jest zabezpieczenie Polski i jej obywateli na wypadek zagrożeń czy kryzysów. Stąd skala rezerw, jakimi dysponujemy, jest bardzo szeroka, zebrane są one w czterech kategoriach. Oprócz medycznych są to rezerwy techniczne, czyli np. mosty i środki przeciwpowodziowe, żywnościowe, w skład których wchodzą m.in. zboża, mięso i jego przetwory, produkty mleczne, woda pitna. Ostatnią kategorią są zapasy interwencyjne paliw, które utrzymujemy zgodnie z przepisami europejskimi. To jest niezwykle ważny obszar podnoszący poziom bezpieczeństwa energetycznego – nasze zapasy to ponad trzy miesiące średniego zużycia paliw w Polsce.

Nawiązując do poprzedniego pytania – czy organizacja pracy RARS (ARM) w dobie pandemii wiązała się z jakimś szczególnym wyzwaniem? Teoretycznie można zakładać, że agencja funkcjonowała sobie spokojnie przez lata, aż tu nagle należało wcisnąć gaz. Jak wyglądał ten proces?

No właśnie mniej więcej tak, jak pan to określił. Nie dość, że trzeba było ostro przyspieszyć, to jeszcze droga zrobiła się kręta i wyboista. Dotychczas kupowanie rezerw było procesem zaplanowanym i powtarzalnym, ale wybuch pandemii sprawił, że nagle musieliśmy działać zupełnie inaczej. Niezbędne okazały się szybkie decyzje, gotowość, dostosowywanie do stale zmieniającej się sytuacji. Aby sprostać wyzwaniom, musieliśmy przeorganizować styl i sposób działania agencji. Przykład: wcześniej za koordynowanie logistyki w ARM odpowiadały trzy osoby, w tej chwili zespół, który odpowiada m.in. za dostarczanie szczepionek, liczy ponad 20 osób. Od zera zbudowaliśmy zespół zakupowy, który negocjował zakupy środków ochrony osobistej czy sprzętu medycznego, np. respiratorów z całego świata, często w różnych strefach czasowych.

Rok temu wszyscy się zastanawialiśmy, czy wystarczy nam środków ochrony osobistej. Ze szpitali dochodziły czasem niepokojące wieści, że oto może zabraknąć rękawic czy fartuchów, ale ARM bardzo szybko temu zaradziła. Wielokrotnie podkreślał pan, że zależy wam głównie na współpracy z polskimi wytwórcami. Ile zatem dziś jest wkładu polskich firm w środki gromadzone przez RARS?

Tam, gdzie to tylko możliwe, kupujemy polskie produkty. Ma to pozytywny wpływ na rozwój polskiej gospodarki, dzięki temu skraca się także łańcuch dostaw i nie musimy importować towarów z Chin czy innych odległych zakątków świata. Obecnie prawie 100 proc. fartuchów czy maseczek kupujemy od krajowych producentów. Ale nie zawsze tak było, także to się zmienia.

Podczas pierwszej fali pandemii brakowało wielu rzeczy, i to na całym świecie. Zapotrzebowanie na środki ochronne było tak ogromne, że trzeba je było sprowadzać. Dziś z naszych magazynów wyjeżdża dziennie nawet 30 tirów środków ochrony osobistej i niczego nie brakuje, ale nie bardzo już to kogoś interesuje. W drugiej fali tematem numer 1 były respiratory, obecnie, w trakcie trzeciej fali, zagadnieniem przewodnim są szczepionki. To pokazuje, że na każdym etapie kryzysu inne problemy są ważne. Dlatego też przygotowujemy się do odpowiedzi na pytania co dalej.

W jakich obszarach najbardziej zależymy od dostaw zagranicznych? Czy pan, jako szef RARS, mógł spać spokojnie w czasie zatoru na Kanale Sueskim?

Bywa, że producenci zmieniają terminy lub wielkości dostaw, z różnych powodów. Oczywiście logistyka odgrywa tu olbrzymią rolę. Dzisiaj jednak skróciliśmy łańcuchy dostaw, wiele produktów kupujemy w Polsce, dzięki czemu możemy spać spokojnie. Zator na Kanale Sueskim nie był dla nas problemem, ale oczywiście trzeba pamiętać o innych zagrożeniach. Na przykład erupcje wulkanów na Islandii potrafiły nieraz sparaliżować loty nad Europą. Musimy być przygotowani na różne okoliczności – zwłaszcza że naszym zadaniem jest zapewnienie środków do bezpiecznej pracy wielu instytucjom i ludziom: personelowi medycznemu czy pacjentom. To pokazuje, że gospodarka kraju powinna być jak najbardziej samodzielna. Jednak są dziedziny, w których – przynajmniej na chwilę obecną – zależni jesteśmy od zagranicznych dostawców, czego przykładem są szczepionki czy niektóry sprzęt medyczny.

W czasie organizowanego przez „Gazetę Bankową" i portal wGospodarce.pl Forum Polska-Azja „Zbliżenia 2021" wspominał pan o nowych procedurach, nowych formach umów, jakie RARS wypracowała z dostawcami podczas pandemii. Polegają one nie tyle na zakupie towaru na zapas, ile na swoistym rezerwowaniu przez agencję możliwości produkcyjnych danego dostawcy. Czy taka forma, która niweluje konieczność magazynowania towaru, jest jednak w pełni bezpieczna w kontekście pewności dostaw?

Ustawa o rezerwach strategicznych stwarza możliwość stosowania tego typu zabezpieczeń. Jest to działanie uzasadnione ekonomicznie, gdyż dzięki temu obniżamy koszty zarówno magazynowania, jak i te wynikające z konieczności regularnego odświeżania niektórych kategorii rezerw. Podkreślę jednak, że w magazynach mamy zapasy do natychmiastowego użycia, które wystarczą na 3–6 miesięcy.

Ważne, by mieć długofalowy plan na różne sytuacje kryzysowe. Umowy z producentami mają nas zabezpieczyć w dalszej perspektywie. Mówi się, że generałowie zawsze przygotowują się

eprasa.pl 9e095ef298

do poprzedniej wojny, bo takie znają realia, nie dostosowują taktyki adekwatnej do zmieniających się warunków. Jak już wspominałem, obecnie mamy zapasy paliw, które wystarczą na normalne funkcjonowanie całej gospodarki przez trzy miesiące. Pytanie tylko, co działoby się po tych trzech miesiącach, gdyby sytuacja się nie unormowała?

Inna sprawa, że nie wszystko da się przewidzieć. Półtora roku temu nikt chyba nie wyobrażał sobie, że nastanie ogólnoświatowa pandemia i doświadczymy pierwszego w historii ludzkości globalnego lockdownu. Wydawałoby się, że takie rzeczy to jedynie dobry pomysł na książkę czy scenariusz filmu science fiction. A jednak... Faktem jest, że bez silnych i sprawnych centralnych instytucji skuteczna walka z kryzysami nie byłaby możliwa. Dlatego w reformie RARS postawiliśmy na elastyczność i sprawność działania.

Jaki jest wkład RARS w proces importu i dystrybucji szczepionek?

RARS jest obecnie jednym z podmiotów, dzięki którym realizowany jest Narodowy Program Szczepień. Odpowiadamy przede wszystkim za magazynowanie, logistykę i dystrybucję szczepionek oraz materiałów pomocniczych, ale katalog naszych zadań jest o wiele szerszy. Dodatkowo cały czas realizujemy dostawy środków ochrony i sprzętu medycznego do wojewodów czy szpitali.

Jeśli chodzi o transport szczepionek, to uczestniczymy w nim od początku do końca – od odebrania szczepionek z magazynów producentów po dystrybucję do konkretnych punktów szczepień. To skomplikowane działanie, gdyż – przypomnę – przewożenie tych preparatów odbywa się w tzw. zimnym łańcuchu z zachowaniem stałej monitorowanej temperatury. Cały ten proces jest szczegółowo nadzorowany i wymaga personelu z odpowiednimi certyfikatami. Zostaliśmy wybrani do koordynacji tego zadania, ponieważ z obrotem medycznym agencja ma do czynienia od lat i posiadamy odpowiednie zaplecze i procedury. Wcześniej dystrybuowaliśmy m.in. szczepionki przeciw grypie czy różne leki na zlecenie Ministerstwa Zdrowia.

> Dotychczas kupowanie rezerw było procesem zaplanowanym i powtarzalnym, ale wybuch pandemii sprawił, że nagle musieliśmy działać zupełnie inaczej. Niezbędne okazały się szybkie decyzje, gotowość, dostosowywanie do stale zmieniającej się sytuacji. Aby sprostać wyzwaniom, musieliśmy przeorganizować styl i sposób działania agencji

W dobie pandemii wiele już jako społeczeństwo przeszliśmy, ale też wiele kolejnych trudnych zadań przed nami. Z czego, jako prezes RARS, jest pan po blisko roku pracy na tym stanowisku najbardziej dumny? Jakie jest obecnie największe wyzwanie stojące przed agencją?

Pandemia zmieniła wiele obszarów naszego życia, w tym sposób zarządzania rezerwami. Wymagało to również transformacji agencji i dostosowania jej do nowych zadań. Wydaje się, że ten etap mamy za sobą i udało się sprostać stawianym wyzwaniom. Oczywiście każdy kryzys weryfikuje, ale wdrożyliśmy strukturę i procedury, które stawiają na elastyczność. Doprowadziliśmy również do przyjęcia nowej ustawy o rezerwach strategicznych, która na stałe daje agencji więcej narzędzi i swobody działania w kryzysie. Wyzwaniem na pewno będzie przygotowanie się do kolejnego kryzysu – nigdy nie wiadomo, co nas czeka i już dzisiaj trzeba starać się przewidzieć możliwe zagrożenia.

Ale najbardziej dumny jestem z ludzi, którzy tworzą agencję. Od ponad roku działamy na najwyższych obrotach – siedem dni w tygodniu właściwie przez całą dobę. Udało się zbudować zespół, który z olbrzymim poświęceniem realizuje zadanie wsparcia personelu medycznego w walce z koronawirusem. Przy okazji chciałbym im za to bardzo podziękować.

Czy przygotowywany przez PiS Polski Ład będzie miał jakiś wpływ na umocowanie administracyjne bądź sposób pracy RARS?

Polski Ład to olbrzymia szansa rozwojowa dla Polski. Jest nie tylko receptą na wyjście z kryzysu wywołanego przez COVID-19, ale także okazją do zbudowania trwałych przewag konkurencyjnych dla naszej gospodarki. Mamy również okazję do wzmocnienia naszego bezpieczeństwa w obszarach strategicznych. Tu jest między innymi przestrzeń dla działań agencji, która już dzisiaj odpowiada za bezpieczeństwo państwa w zakresie zabezpieczenia zapasów interwencyjnych paliw płynnych. Nowe źródła energii będą wymagać nowych rozwiązań, jeśli chodzi o magazynowanie rezerw surowców. Obecnie we współpracy z poszczególnymi resortami przygotowujemy nowy Rządowy Program Rezerw Strategicznych, który powinien zawierać aktualizację mapy ryzyk strategicznych oraz planować odpowiednie zasoby, aby tym ryzykom przeciwdziałać. Będziemy chcieli szczególnie uwzględnić możliwości i potencjał polskich przedsiębiorców, na których w czasie pandemii bardzo mogliśmy polegać. Dzisiaj jesteśmy mądrzejsi o te ostatnie doświadczenia i z całą pewnością możemy powtórzyć, że nie tylko kapitał ma narodowość, ale również biznes. Chcemy się przygotować na różne scenariusze, aby kolejny kryzys nie był aż tak bolesny.

eprasa.pl 9e095ef298

Hit tygodnia

Delage – powrót po siedmiu dekadach

Delage D12 to hybrydowy hipersamochód, choć z wyglądu najbardziej przypomina bolid F1. Co ciekawe, jest to pojazd dwuosobowy, tyle że pasażer siedzi za kierowcą. Silnik to 7,6 l V12 oraz elektryczny, które mają moc w sumie 1115 KM! Delage D12 ma ważyć 1,4 tys. kg, ale planowana jest tez wersja nieco lżejsza – 1310 kg, z nieco słabszym napędem – 1024 KM. Auto trafi jeszcze w tym roku do produkcji, ale trzeba się spieszyć – powstanie zaledwie 30 egz. Cena to minimum 2 mln euro.

Chyba tylko znawcy motoryzacji pamiętają francuską markę Delage. Firma powstała w 1905 r. i produkowała pojazdy dla zamożnej klasy średniej i sportowej. Rozkwit firmy nastąpił w latach 20. XX w. Firma przetrwała wielki kryzys i II wojnę światową, lecz kres marki nadszedł w 1953 r. Teraz, dość nieoczekiwanie, powraca, i to w niezłym stylu.

AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Na dość niecodzienny sposób promocji swojego auta zdecydowała się amerykańska firma, a właściwie start-up Rivian. Otóż klient będzie mógł zwrócić pojazd tej marki (SUV, pick-up) po przejechaniu 1 tys. mil bądź po tygodniu – jeśli mu się nie spodoba. Producent zwróci wtedy pieniądze. Warto jednak dodać, że samochody jeszcze nie trafiły na rynek, a chodzi o modele R1T oraz R1S. Rivian – jak już wspomnieliśmy – to amerykański producent elektrycznych pick-upów i SUV-ów. Wśród inwestorów w ten start-up znaleźli się tacy giganci, jak Ford Motor Company (500 mln dol.) i Amazon (700 mln dol.).

Pandemia daje się we znaki w najróżniejszy sposób, w przypadku motoryzacji największym mankamentem są fabryki podzespołów, które przez koronawirusa zostały zamknięte. I choć powoli wznawiają działanie w reżimie sanitarnym, to wciąż są spore niedostatki na rynku. Dotknęło to m.in. Mercedesa, który ze względu na brak czipów (pamiętajmy, że bez elektroniki nasze pojazdy raczej nie pojeżdżą), wstrzymuje czasowo montaż, do 14 maja, produkcję klasy E. Priorytetem jest przede wszystkim elektryczny model EQS oraz klasa S.

Mimo problemów z czipami Mercedes pokazuje coraz to nowsze modele. Jeszcze w tym roku będzie dostępny Mercedes Citan, niewielki samochód dostawczy, ale już szykowana jest klasa T oraz jej elektryczny wariant EQT, którego koncept został już zaprezentowany. Mercedes pozycjonuje ten model jako „pierwszy pojazd premium w segmencie małych samochodów dostawczych". Na razie jednak znamy tylko wygląd, a co znajdzie się pod maską, to wciąż tajemnica.

Jeśli ktoś ma ochotę zapoznać się z historią marki Škoda, może to zrobić, nie wychodząc z domu lub gdziekolwiek się znajdzie z dostępem do internetu, a to dlatego, że wirtualne muzeum Škody ponownie zaczęło działać w sieci (witryna została zamknięta w 2020 r.) https://museum.skoda-auto.com/. Chętni mogą oczywiście obejrzeć wszystko na żywo, choć na razie, ze względu na pandemię, muzeum stacjonarne nie ruszyło jeszcze pełną parą.

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

Fot. © Mercedes-Benz AG, materiały prasowe

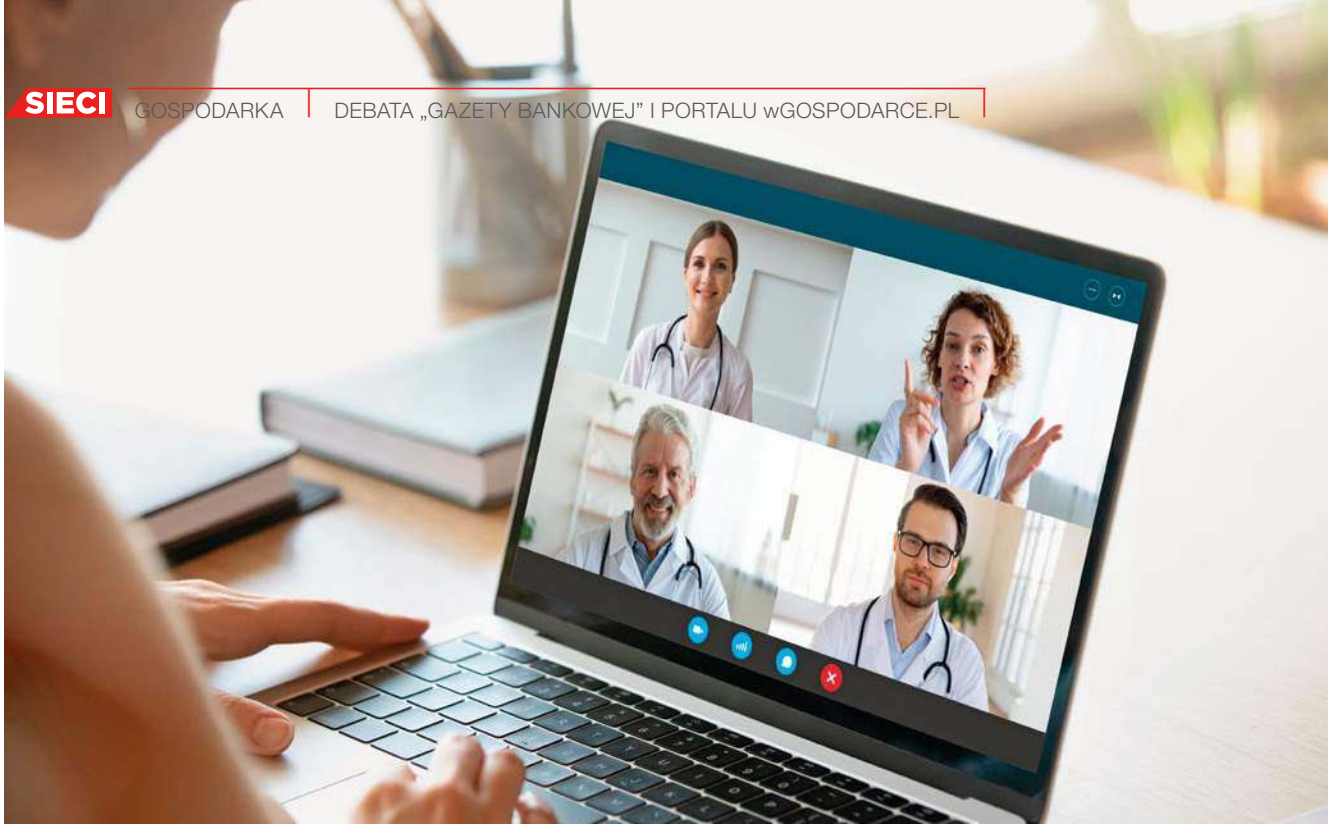

Kiedy gabinet lekarski przeniesiemy do domu?

Czy technologiczne efekty nagłego wzrostu zapotrzebowania na digitalizację zostaną z nami na dłużej? Jak nie stracić tej szansy na skokowy rozwój? Czy rzeczywiście służba zdrowia potrzebuje technologii, może jednak – pytając nieco przewrotnie – nic nie zastąpi bezpośredniego kontaktu lekarza z pacjentem? Na te pytania próbowaliśmy odpowiedzieć podczas debaty „Gazety Bankowej" i portalu wGospodarce.pl zatytułowanej „2021 – rok e-rewolucji polskiej służby zdrowia?"

Rok 2020 udowodnił wszystkim – administracji publicznej, instytucjom służby zdrowia, aptekom, lekarzom i, co najważniejsze, pacjentom – jak ważna jest telemedycyna, digitalizacja opieki medycznej, zdalny dostęp do lekarza, recept, historii choroby. Projekty takie jak e-recepta, portal pacjenta stały się kluczowymi narzędziami w komunikacji systemu z pacjentem. Więcej – wielu samotnych chorych zdało sobie sprawę, że w sytuacji przymusowego odosobnienia narzędzia zdalnej, automatycznej komunikacji z lekarzem mogą uratować życie. System szczepień prowadzony w oparciu o zdalne rejestracje, system dystrybucji szczepionek – to wszystko sprawia, że trudno nam wyobrazić sobie sprawne działanie systemu opieki zdrowotnej bez technologii.

W dyskusji wzięli udział: Anna Goławska, podsekretarz stanu w Ministerstwie Zdrowia, Anna Janiczek, prezes zarządu PZU Zdrowie, Tomasz Pawlęga, kierownik Sekcji Innowacji w Departamencie Analiz i Innowacji w Narodowym Funduszu Zdrowia, Jarosław Kieszek, dyrektor Centrum e-Zdrowia, Wojciech Radomski, prezes zarządu StethoMe, oraz prof. dr n. med. Łukasz Kołtowski, prezes zarządu AioCare.

GDZIE JESTEŚMY?

Centrum e-Zdrowia odpowiada za monitorowanie planowanych, tworzonych i działających systemów teleinformatycznych na poziomie centralnym i regionalnym. Trwa V edycja „Badania stopnia informatyzacji podmiotów wykonujących działalność leczniczą".

– Poprzednie badanie poziomu informatyzacji podmiotów leczniczych realizowaliśmy w 2019 r. Jego wyniki wskazywały, że usługodawcy, czyli szpitale, świadczeniodawcy udzielający świadczeń zdrowotnych ambulatoryjnych, zakłady lecznictwa uzdrowiskowego

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 9e095ef298

oraz zakłady opieki długoterminowej, są przygotowani na zmiany teleinformatyczne umożliwiające pacjentom korzystanie z rozwiązań cyfrowych. Pozytywnym zaskoczeniem były dla nas wyniki dotyczące zakresu poziomu informatyzacji podmiotów i ich przygotowania do prowadzenia dokumentacji medycznej w postaci elektronicznej – mówił dyrek-

tor Jarosław Kieszek. – Okazało się, że 82 proc. ankietowanych szpitali miało takie rozwiązania. Nieco gorsze wskaźniki były w pozostałych podmiotach medycznych. Warto jednak podkreślić, że proces przygotowań do wdrożenia elektronicznej dokumentacji medycznej ciągle trwa, a stopień dojrzałości podmiotów, które są zobligowane do tego rozwiązania, jest bardzo różny. COVID-19 przyspieszył proces cyfryzacji ochrony zdrowia i z pewnością pokażą to wyniki najnowszego badania, które zaprezentujemy już w czerwcu. Korzyści z posiadania systemów informatycznych w szpitalach to przede wszystkim oszczędności finansowe oraz optymalizacja czasu pracy personelu medycznego. To również ułatwienie dostępu do dokumentacji medycznej i historii leczenia, co jest istotne zarówno z punktu widzenia pacjentów, jak i lekarzy. Te korzyści znacznie przewyższają koszty, które muszą ponieść jednostki na zbudowanie odpowiedniej infrastruktury, umożliwiającej wdrożenie i korzystanie z cyfrowych rozwiązań w zdrowiu.

Czy mimo to nie jest tak, że kiedy rozwija się sztuczna inteligencja, systemy med-tech, narzędzia digitalizacji ochrony zdrowia, my jesteśmy ciągle na etapie wątpliwości co do podstaw, choćby czy działa dostępna strona internetowa lub dane pacjentów są zapisywane w formie elektronicznej?

– Budowa publicznych cyfrowych usług w sektorze zdrowia wystartowała w Polsce później niż w innych krajach europejskich. Natomiast gdy silnik już zaskoczył, wrzucamy kolejne biegi i się rozpędzamy: zaczęliśmy od e-zwolnień, potem uruchomiliśmy e-receptę oraz Internetowe Konto Pacjenta (IKP) na pacjent.gov.pl, aplikację gabinet.gov.pl, następnie były e-skierowania i aplikacja mobilna mojeIKP. Obecnie jesteśmy krok przed wdrożeniem elektronicznej dokumentacji medycznej i raportowania zdarzeń medycznych, a w starterach czekają kolejne cyfrowe usługi. Cyfryzacja ochrony zdrowia rozwija się dynamicznie, zwłaszcza w ostatnim czasie. Mocnym impulsem do rozwoju była pandemia koronawirusa i uruchomienie Narodowego Programu Szczepień: e-rejestracja na szczepienie to narzędzie, które przygotowało nas do wdrożenia centralnej rejestracji. Daje ona pacjentowi możliwość samodzielnego umówienia się na wizytę do specjalisty z poziomu Internetowego Konta Pacjenta (IKP). Doświadczenia, które teraz pozyskaliśmy, są bezcenne. Podmioty, które dotąd prowadziły zapisy w tradycyjnej postaci papierowej, po raz pierwszy musiały się przerzucić na pracę w systemie informatycznym. Aby rozwijać te kompetencje, musimy mieć bazę w postaci centralnych systemów umożliwiających gromadzenie danych i zarządzanie nimi. Teraz takie zaplecze właśnie powstaje. Centrum e-Zdrowia jest gotowe wdrażać kolejne, coraz bardziej zaawansowane rozwiązania cyfrowe – deklarował Jarosław Kieszek.

SZCZĘŚCIE?

To, że e-receptę udało się wprowadzić tuż przed pandemią, to ogromne szczęście nas, pacjentów. Przed nami jednak długa droga...

– Ostatnie dwa, trzy lata to ogromny postęp w rozwoju cyfryzacji publicznej służby zdrowia. COVID-19 przyspieszył nasze plany: mnóstwo usług i rejestrów zostało wdrożonych, m.in. dzięki zwolnieniu z obowiązku stosowania ustawy Prawo zamówień publicznych. Także nasi dostawcy i usługodawcy przyspieszali harmonogramy, aby kolejne i niezbędne w pandemii funkcjonalności mogły być udostępniane, np. rejestr EWP, który pierwotnie miał zbierać informacje tylko o osobach przekraczających granice, a ostatecznie został rejestrem wszystkich osób zakażonych będących w kwarantannie... Ale oczywiście mamy świadomość tego, że długa droga przed nami – zgodziła się minister Anna Goławska. – Będziemy

te narzędzia udoskonalać, usprawniać i wdrażać nowe. Systemy informatyczne mają to do siebie, że się starzeją i wymagają nieustannego unowocześniania. Na ostatnim posiedzeniu Grupy Wyszehradzkiej inne kraje przedstawiały swoje zaawansowanie w digitalizacji ochrony zdrowia – i Polska ma się czym pochwalić. Teraz idziemy dalej, nie zatrzymujemy się w rozwoju.

Można jednak odnieść wrażenie, że wciąż publiczna służba zdrowia goni prywatną. Doskonale udało się zorganizować dostawę pulsoksymetrów pacjentom do domu, to jednak dopiero początek.

– Program Dom, który prowadzimy razem z PZU Zdrowie, to ewenement na skalę europejską. I zawierał element

eprasa.pl 9e095ef298

raportowania wyników z pulsoksymetrów do konsultantów, którzy monitorowali stan pacjenta na bieżąco i gdy pojawiał się alert, natychmiast była konsultacja telefoniczna, a w razie konieczności wzywano karetkę. Każdego dnia takich konsultacji lekarskich było ponad tysiąc. I dotychczas wezwań do karetki było ponad 5 tys. – i tym ludziom uratowano życie – wyjaśniła minister Goławska. – Do tych danych mają dostęp również lekarze PO w aplikacji gabinet.gov.pl.

Czy zatem Internetowe Konto Pacjenta wyrówna wreszcie poziom usług między prywatną a publiczną służbą zdrowia?

– Ta integracja będzie następowała i rzeczywiście pomoże w tym IKP oraz platforma P1, która docelowo ma gromadzić informacje o wszystkich usługach medycznych: wykonywanych w publicznym, jak i prywatnym sektorze – mówił Tomasz Pawlęga, a odnosząc się do wspomnianych wcześniej w dyskusji rankingów innowacyjności, stwierdził, że trudno jest zrobić taki indeks innowacyjności, który by oceniał nie tylko wdrożone technologie, lecz również użyteczność tych technologii.

– Koledzy z Niemiec sami przyznają, że jest im nieco wstyd, że rozwiązania, które w Polsce już działają, u nich cały czas są w fazie planowania. Nie mogę się jednak zgodzić, że mieliśmy szczęście wdrażając e-receptę. Jeśli uważamy pandemię za katalizator zmian, to pamiętajmy, że poprzedził je ponad rok ciężkiej pracy Centrum e-Zdrowia we współpracy z firmami informatycznymi, co pozwoliło doprowadzić system do takiego stanu, że na czas pandemii mógł działać. Natomiast z punktu widzenia NFZ nastąpiło po sobie kilka rewolucji, w tym właśnie rewolucja procesowa, czyli udostępnienie narzędzi do e-zwolnień, e-recept, e-skierowań itd. To jednak tylko jeden element cyfryzacji. Znacznie większym wyzwaniem jest cyfryzacja kliniczna, czyli odpowiednie wykorzystanie cyfryzacji w zarządzaniu usługami zdrowotnymi. Dlatego z punktu widzenia NFZ pandemia była również katalizatorem zmiany sposobu dostawy świadczeń. To jest coś więcej niż e-zdrowie. Musimy więc pamiętać, że transformacja usług cyfrowych medycznych jest jeszcze przed nami, a jej kluczem będzie segmentacja usług – zapowiadał Tomasz Pawlęga.

DOJRZAŁOŚĆ

Mówiąc o wspomnianej cyfryzacji segmentu klinicznego, wciąż jednak poruszamy się w sferze start-upów, nowinek technologicznych, eksperymentów. Czy ten ostatni rok pozwolił dorosnąć telemedycynie do rangi pełnoprawnego systemu leczenia, systemu opieki zdrowotnej?

– Przeprowadzono ciekawe badanie wśród polskich pacjentów, w którym aż 88 proc. Polaków wskazało, że rozwój nauki i technologii w kierunku powszechnego zastosowania rozwiązań e-zdrowia jest potrzebny, wręcz wskazany. To oznacza, że pacjenci są gotowi do wykorzystania innowacyjnych technologii. Badania potwierdzają także, że pandemia bardzo zwiększyła zaufanie pacjentów do tych technologii – wzrosło o kilkanaście punktów procentowych – mówił Wojciech Radomski, prezes zarządu StethoMe. – Zdaniem pacjentów największym minusem rozwiązań e-zdrowia jest brak fizycznego kontaktu: teleporada wciąż kojarzy się z rozmową telefoniczną, podczas której lekarz nie ma możliwości zobaczenia pacjenta, wykonania podstawowych badań. Te niepełne rozwiązania okazują się niewystarczające diagnostycznie. A to wskazuje, że potencjał polskich start-upów nie jest w pełni wykorzystywany. Mamy jednak nadzieję, że gdy połączymy siły, zrewolucjonizujemy razem polską e-medycynę. Polska jest w czołówce wsparcia medycznych start-upów. Jesteśmy zadowoleni z wielu instrumentów wspierających nas w bardzo różny sposób. To, czego nam jeszcze brakuje, to szersze wykorzystanie naszych systemów. To dla nas najtrudniejszy element: przekonać szpitale, aby korzystały z nowych technologii: dla lekarzy, pacjentów, do badań naukowych. Tymczasem korzyści są obustronne: zwiększa się innowacyjność polskiej służby zdrowia, a gospodarka się rozwija.

PZU Zdrowie – nawiązując nieco do wcześniejszego pytania – z sukcesem konkuruje na rynku prywatnej służby zdrowia, oferując łatwy, intuicyjny dostęp pacjentów do lekarzy i opieki zdrowotnej, a także masę innowacyjnych rozwiązań w obszarze świadczeń zdrowotnych.

– Warto jednak zapytać także o samych pacjentów – swego czasu postawiłem taką tezę dla sektora ubezpieczeń, że klient już wie, czego chce, umie sobie radzić w dobrych e-narzędziach – choćby w likwidacji szkód komunikacyjnych, stąd ubezpieczenia czeka silne wzmocnienie kanału direct – mówił moderujący debatę Maciej Wośko, redaktor naczelny „Gazety Bankowej". – Czy podobne procesy dotyczyć będą służby zdrowia?

– Jako komercyjny operator usług medycznych dążymy do równowagi pomiędzy telemedycyną i usługami stacjonarnymi. My również – jeszcze przed pandemią – wprowadziliśmy telekonsultacje, początkowo traktowane jako nowość dla pacjentów, którzy stopniowo przenosili na opiekę medyczną swoje preferencje konsumenckie np. z bankowości mobilnej – mówiła prezes Anna Janiczek z PZU Zdrowie. – Pandemia zupełnie zmieniła nawyki pacjentów, zaobserwowaliśmy nawet kilkusetprocentowy wzrost wykorzystania teleporad. Tu warto podkreślić, że żadna z naszych placówek nie została zamknięta podczas pandemii i zachęcaliśmy do bezpiecznego powrotu do gabinetów i kontynuacji badań. Profilaktyka jest dla nas klamrą spinającą wszystkie formy korzystania z opieki medycznej,

eprasa.pl 9e095ef298

dlatego została hasłem przewodnim naszej nowej strategii. Chcemy nie tylko leczyć, lecz i zapobiegać, pozostawiając pacjentowi wybór, jakim kanałem chce się z lekarzem kontaktować. Telemedycyna może być właśnie czynnikiem wspierającym profilaktykę. Mając na względzie to, że opieka zdalna zostanie z nami już na stałe, stworzyliśmy własne centrum telemedyczne – to cała osobna placówka z własnym personelem medycznym. Chcemy rozwijać także inne obszary e-zdrowia, m.in. telemonitoring, telediagnostykę i teleopiekę, czyli opiekę domową, która wyrosła na kanwie omawianych już dzisiaj doświadczeń we współpracy z Ministerstwem Zdrowia.

GABINET W DOMU

Być może to właśnie jest droga do rozwoju zdalnej diagnostyki i telemedycyny – leczenie chorób przewlekłych i stały monitoring stanu zdrowia pacjenta. W diabetologii ten temat jest już dobrze znany, w kardiologii – jest dobrze, ale mogłoby być lepiej. Jak sprawić, aby korzystanie z urządzeń do zdalnego monitoringu i z aplikacji je obsługujących stało się oczywistością: zarówno w odbiorze przez pacjentów, jak i w zalecaniach lekarzy? Jak zachęcić do nich obie strony?

– Pacjent chce przede wszystkim czuć się lepiej, być zdrowszy. I wystarczy, aby lekarz go zachęcił. Droga do telemedycyny prowadzi poprzez pracę ze środowiskiem medycznym. A czym kierują się lekarze? Wynikami badań naukowych i wytycznymi. Te są globalne, światowe, a my je w Polsce współtworzymy, implementujemy. Pandemia je po prostu wyprzedziła – wyjaśniał dr hab. n. med. Łukasz Kołtowski, prezes HealthUp SA, twórca AioCare™. – Bardzo ważne jest więc to, abyśmy doświadczenia, które mamy jako start-upy czy akademicy, publikowali, zmieniali te wytyczne, tworzyli, generowali dowody naukowe, implementowali do systemu opieki zdrowotnej. Potrzebne jest nam przyjazne środowisko realizowania pilotaży. Niestety małe start-upy nie mają takich szans jak duże korporacje. Ważną i docenianą rolę odgrywa w Polsce w tym zakresie Agencja Badań Medycznych – chwalił prof. Kołtowski.

– W systemie e-zdrowia bardzo ważna jest koordynacja kompleksowa – na wizycie lekarskiej generowany jest raport z systemu dla lekarza, dający pełny ogląd sytuacji zdrowotnej pacjenta: przyjmowane leki, wyniki badań, stan zdrowia w danym momencie. Dzięki temu efektywność porady jest bardzo duża, a czas spędzony z pacjentem znacznie krótszy. To jest korzyść dla obu stron – pacjenta i lekarza, a w ostateczności dla całego systemu ochrony zdrowia.

Czy uzasadnioną analogią do telemedycyny jest zatem kanał direct w ubezpieczeniach komunikacyjnych? Oddanie w ręce klientów pewnych działań przyspiesza proces wydania polisy i ten pomysł szybko zyskał popularność po obu stronach – i ubezpieczyciela, i klientów. Da się tak w telemedycynie?

– Takie rozwiązania już działają: w kardiologii czytnik migotania przedsionków, w pulmonologii – badanie spirometryczne w domu... Takich rozwiązań, gdzie pacjent wykonuje badanie sam, jest dużo. Potrzebna jest nam selekcja i przetestowanie tych pomysłów w pilotażach. Bo pacjenci są nimi bardzo zainteresowani! – mówił prof. Kołtowski.

– Rozwój programów pilotażowych ma kluczowe znaczenie dla populacji pacjentów chorych przewlekle na przykład na astmę, mukowiscydozę czy POChP. Wykorzystanie inteligentnych rozwiązań, opartych na sztucznej inteligencji, pozwala na sprawowanie lepszej opieki nad pacjentami i istotną redukcję kosztów jej sprawowania – wtórował prezes Wojciech Radomski.

– Ta sytuacja już się dzieje. Działa już powołany zespół roboczy z przedstawicielami NFZ, MZ, AOTMiT, z udziałem wielu ekspertów. Zbieramy pomysły, analizujemy je i wybieramy te, które będą testowane w pilotażach. Tak właśnie powstał pilotaż bezprzewodowych stetoskopów czy monitoring glukometrów. A za nimi będą wdrażane kolejne propozycje. Chcemy co miesiąc rozpoczynać nowy pilotaż, o ile pozwolą na to środki finansowe – deklarowała minister Goławska. – Będziemy rozwijać program opieki domowej, dodawać do niego kolejne funkcjonalności, przyłączać kolejnych pacjentów, którzy będą swoje wyniki raportować do systemu. Chcemy, aby powstała ogólnokrajowa platforma, która będzie oferowała szeroki katalog usług i szerokie możliwości samodiagnozowania się. Technologie nigdy nie zastąpią lekarza. Lekarz zawsze będzie prowadził pacjenta, weryfikując działania technologii. Jednak technologię mamy przy sobie cały czas, a do lekarza nie chodzimy codziennie. Trzeba połączyć obie te sfery i wspierać lekarzy w ich ciężkiej pracy tą technologią, która daje nam tyle możliwości.

Notowała ***Anna Niczyperowicz***

eprasa.pl 9e095ef298

Złamać rosyjską hegemonię

Jesteśmy najszybciej rozwijającym się europejskim portem ostatniej dekady. Numerem trzy na Bałtyku, jeśli chodzi o przeładunki ogółem, i numerem jeden, jeśli chodzi o przeładunki kontenerów

Z prezesem Portu Gdańsk Łukaszem Greinke rozmawia Piotr Filipczyk

W Polskim Ładzie wśród kluczowych zadań inwestycyjnych znalazła się rozbudowa Portu Gdańsk. Zasłużenie?

Łukasz Greinke: Dla naszego portu to szansa na zmianę wręcz cywilizacyjną. Wymienione w Polskim Ładzie inwestycje i konkretne środki, które zostaną na to przeznaczone, to jeszcze bardziej dynamiczny rozwój Portu Gdańsk. Zyska cała Polska, bo silny port to wpływy do budżetu i potężne wsparcie dla polskich przedsiębiorców.

Na jakim etapie jest teraz rozbudowa?

Trwa konkurs na operatora, który podejmie się zalądowienia nowych obszarów na terenie Portu Gdańsk. Mam nadzieję, że za kilka miesięcy będziemy mogli ogłosić jego wyniki. W tym roku kończymy rozpoczęte inwestycje i planujemy kolejne, które spowodują, że dług techniczny, dług infrastrukturalny zostanie wyeliminowany w naszym porcie całkowicie.

Na co konkretnie mogą być wydane pieniądze z Polskiego Ładu?

Mamy bardzo dużo nieskomercjalizowanych obszarów, które należy przygotować pod względem inwestycyjnym. Stąd konieczne są nowe układy drogowe, układy kolejowe, uzbrojenie tych terenów, zalądowienie nowych obszarów na terenie Zatoki Gdańskiej – to są wszystko inwestycje, które mogą być w naszej ocenie finansowane ze środków pochodzących z tego programu.

We wcześniejszych wypowiedziach wspominał pan, że bardzo ważne dla rozwoju Portu Gdańsk są wielkie ogólnopolskie projekty infrastrukturalne takie jak Via Carpatia, Via Baltica, Rail Baltica, przekop Mierzei Wiślanej. Jak są one skorelowane z waszą perspektywą rozwoju? Dlaczego trudno mówić o rozwoju Portu Gdańsk w oderwaniu od na przykład Via Carpatii?

Oczywiście. Każdy z tych projektów to dodatkowe perspektywy dla portu. Zacznijmy od Elbląga i przekopu Mierzei Wiślanej. To umożliwienie nam bezpośredniego dostępu do zlokalizowanej tam fabryki, która produkuje ponadgabarytowe urządzenia i wysyła je w świat. Mówimy też o łatwiejszym dostępie do Żuław, które są bardzo dużym producentem zboża. Port w Elblągu może być dla nas wartościowym partnerem. Po przekopie Mierzei Wiślanej całkowicie zmieni się tonaż transportowanego zboża, które wysyłamy z Gdańska. Żeby zobrazować skalę, na barkę można załadować tysiąc ton, podczas gdy ciężarówka może przewieźć maksymalnie 24 tony.

A drogi?

Nareszcie jako państwo koncentrujemy się na budowie szlaków z północy na południe, a więc takich, które wiodą do polskich portów bałtyckich. To dla nas oczywista szansa i dlatego wyczekujemy ukończenia realizowanych obecnie przez Ministerstwo Infrastruktury inwestycji drogowych, takich jak A1 czy S5

Co jeszcze może wpłynąć na konkurencyjność gdańskiego portu?

Dodatkową kotwicą dla armatorów z pewnością są i będą duże inwestycje kubaturowe „na zapleczu" naszego portu. Poza tym, mówiąc o połączeniach z portem, nie można zapominać o kolei. Pamiętajmy, że w ostatnim czasie mamy do czynienia z bardzo dużymi inwestycjami PKP PLK, które mają na celu dostosowanie torów cargo do towarów, które wchodzą i wychodzą z naszego portu. Mówimy o składach o długości 740 metrów i nacisku na oś rzędu 22 ton. Inwestycje te zasadniczo poprawią też zdolność tranzytową. Obecnie pociągi towarowe poruszają się z prędkością 25 km/h. Czyli zdecydowanie za wolno, ale dzięki inwe-

eprasa.pl 9e095ef298

stycjom to się zmienia. Wąskie gardła są likwidowane, a my możemy patrzeć w przyszłość jeszcze bardziej optymistycznie. Nie możemy zapominać również o bardzo istotnych z punktu widzenia funkcjonowania portu wodnych drogach śródlądowych.

Od pewnego czasu mówi się o połączeniu lądowym między Morzem Bałtyckim a Morzem Czarnym. Pan podkreślał wiele razy wielką rolę takiego szlaku. Są szanse na urzeczywistnienie tego projektu?

Oczywiście, promujemy ten kierunek. Przykładem może być tu współpraca między nami a PKP Cargo, LHS w zakresie przewozu kolejowego z Gdańska do Sławkowa, a stamtąd dalej do portu w Odessie i przez Morze Czarne do Turcji. Dzięki temu tworzymy szybkie, wysokoprzepustowe połączenie między Turcją, Ukrainą a Skandynawią czy Wielką Brytanią. Została powołana specjalna grupa robocza i cały czas skupiamy się na tym, aby wypracować najbardziej skuteczne rozwiązania. To nie są proste modele logistyczne, ale jestem przekonany, że dzięki LHS, dzięki PKP Cargo to wszystko będzie działało bardzo sprawnie.

Nie jest tajemnicą, że dla gdańskiego portu bardzo ważna jest również współpraca z Azją, z Dalekim Wschodem, m.in. z Chinami.

Jesteśmy najbardziej wysuniętym na wschód portem Europy, docierają do nas statki oceaniczne, które zabierają na swój pokład nawet 24 tys. kontenerów. To pokazuje skalę, która jest absolutnie nieporównywalna do transportu lądowego. Chiny są dla nas bardzo ważnym partnerem. Chcemy złamać hegemonię portów rosyjskich, co już nam się udaje, bo po pierwszym kwartale 2021 r. jesteśmy na pierwszym miejscu, jeśli chodzi o przeładunek kontenerów, i na podium, jeżeli chodzi o przeładunki ogółem na Morzu Bałtyckim.

Jakie będą następne kroki?

Chcemy osiągnąć masę krytyczną i zbudować bardzo duży hub kontenerowy na Bałtyku, tak aby to Gdańsk był portem, który obsługuje mniejsze punkty. Chodzi o to, by być hubem morskim na miarę CPK w transporcie lotniczym. Poza tym cały czas pracujemy nad rozbudową siatki transportowej na Bałtyku, także w kierunku Anglii. Coraz bardziej interesuje nas także kierunek Stanów Zjednoczonych. Konieczne jest osiągnięcie tej masy krytycznej, która pozwoli nam uruchomić nowe połączenia.

O CPK mówią wszyscy. Znacznie mniej gorąca debata toczy się wokół terminala w Małaszewiczach. Wydaje się, że to także projekt niezwykle ważny dla polskich portów.

Te inwestycje absolutnie się wypełniają i uzupełniają. Są jak zębatki w zegarku. Muszą razem pracować. Dla nas ta inwestycja w Małaszewiczach to uzupełnienie infrastruktury, która już funkcjonuje. Cele obu projektów są zresztą podobne.

Jaki jest wpływ pandemii na polskie porty? Jak sobie radzicie w tej sytuacji?

Mieliśmy korektę na poziomie ok. 8 proc., jeśli chodzi o przeładunki, natomiast nasz dział handlowy całkowicie wywiązał się z postawionych przed nim zadań i dziś możemy się pochwalić nawet zwiększeniem przychodów rok do roku oraz zwiększeniem wydatków przeznaczonych na inwestycje. Podczas pandemii nie zwolniliśmy tempa, byliśmy portem w 100 proc. operacyjnym i, co najważniejsze, udało nam się zapewnić w tym trudnym czasie dostępność towarów na półkach polskich sklepów. Dziś sytuacja wraca do normy, co w naszym przypadku oznacza, że czeka nas skokowy rozwój. Widać to już po pierwszych czterech miesiącach tego roku. Mamy wzrosty na poziomie 15 proc. Przeładowaliśmy do tej pory ponad 17 mln ton, jesteśmy numerem trzy na Bałtyku, jeśli chodzi o przeładunki ogółem, i numerem jeden, jeśli chodzi o przeładunki kontenerów. Jesteśmy najszybciej rozwijającym się portem europejskim ostatniej dekady. W 2020 r. awansowaliśmy na 18. miejsce w Europie.

Widzą to Rosjanie, widzą to też Niemcy, którzy na razie dominują na Bałtyku.

Musimy konsekwentnie zmieniać tę sytuację. To my chcemy być portem, który obsługuje inne porty bałtyckie, jeśli chodzi o transport kontenerów z Dalekiego Wschodu. Zresztą, krok po kroku, zmierzamy do celu i systematycznie przekierowujemy tę masę ładunkową, która trafia finalnie do portów zlokalizowanych na północ od Gdańska.

Dlaczego jednak jest tak, że polskie produkty przeznaczone na rynek azjatycki trafiają najpierw do Niemiec i dopiero stamtąd są transportowane do miejsca przeznaczenia? Jak temu zapobiegać?

Staramy się kształtować postrzeganie naszego portu jako portu pierwszego wyboru dla „produktów 590" [pochodzących z Polski – red.]. I co mnie cieszy, robimy to skutecznie. Widzimy coraz większe zainteresowanie, jeśli chodzi o artykuły spożywcze, białe mięso czy cukier (udało nam się niedawno wspólnie z Krajową Spółką Cukrową wybudować duży terminal cukrowy). Jesteśmy na etapie dużej inwestycji Anwilu, jeśli chodzi o transport nawozów. Współpracujemy z Cedrobem, KSC czy Anwilem, to takie moje „dzieci", jestem bardzo dumny z tych projektów. Nie zwalniamy, cały czas rozmawiamy z czempionami polskiego biznesu, aby przekierowywać ich ładunki do naszego portu. Efekty synergii, które możemy osiągnąć, będą budowały siłę naszej gospodarki.

Mówiąc o polskich czempionach, nie sposób zapomnieć o Lotosie, który jest przecież bardzo blisko. Czy kwestia jego połączenia z Orlenem ma dla Portu Gdańsk znaczenie?

My pracujemy bezpośrednio ze spółkami grupy Orlen i ta współpraca układa nam się bardzo dobrze. Przykładem jest tutaj Naftoport, który zapewnia dostawy ropy, to spółka powiązana i z Orlenem, i Lotosem. Z informacji, które otrzymujemy ze spółek, jasno wynika, że my na tym przejęciu zyskamy bardzo dużo, wolumeny, które przeładowujemy w tej chwili, mogą znacznie wzrosnąć.

eprasa.pl 9e095ef298

Ach, jak cudowna jest Panama!

„Ach, jak cudowna jest Panama!". To zawołanie – i zarazem tytuł – rozpoznają mali i duzi. Przywołujemy je nie tylko z okazji Dnia Dziecka, który w tym roku na szczęście przypada w czasie, gdy już można wyjść na dłużej z domu, by – choćby z Misiem i Tygryskiem – wyruszyć w podróż. Jak daleką? Co ofiarującą wędrowcom? W dużej mierze zależy to od nich samych. Bohaterowie książeczki Horsta Eckerta, znanego czytelnikom i widzom pod pseudonimem Janosch, mogą być inspiracją do poszukania własnej Panamy.

„– Wiesz, w Panamie wszystko jest ładniejsze, bo Panama, jak długa i szeroka, pachnie bananami. Panama to kraj naszych marzeń. Jutro, z samego rana, musimy wyruszyć do Panamy. Co ty na to, Tygrysku? – pyta Miś".

„Czym jest Panama? Państwem w Ameryce Środkowej? Może dla bardzo mądrych Dorosłych tak, ale dla mniejszych, mniej oczytanych – jak Miś i Tygrysek – to coś o wiele bardziej niezwykłego..." – zapewniają aktorzy Białostockiego Teatru Lalek. Do Panamy wybrać się też mogą widzowie Teatru Miejskiego w Gliwicach. Teraz postanowili wyruszyć w tę drogę również aktorzy warszawskiego Guliwera.

Imię patrona kameralnego teatru z ulicy Różanej zobowiązuje. Podróże i zamiany skali były wpisane w doświadczenia bohatera Jonathana Swifta, więc zespół niewielkiej sceny i takiej widowni miał wyzwanie. Jak mu sprostał?

Z rozmachem i pomysłem wpisującym się we wciąż obowiązujące ograniczenia sanitarne 5 czerwca Teatr Lalek „Guliwer" zaprosi widzów na premierę spektaklu „Ach, jak cudowna jest Panama!" do... amfiteatru Wolskiego Centrum Kultury w parku Sowińskiego.

Aktorzy, wraz ze swoimi bohaterami, wyruszą z Mokotowa na Wolę, by: przypomnieć małym i dużym, że „kto ma przyjaciela, może się niczego nie bać!", opowiedzieć o poszukiwaniu krainy marzeń, która bywa tam, gdzie czujemy się dobrze i bezpiecznie, a także, by zainaugurować otwarcie amfiteatru po dwuletnim remoncie i pierwszym etapie przebudowy obiektu. Będzie to więc także podróż, w części, bardzo realna.

– „Ach, jak cudowna jest Panama" to teatr spełniający się w drodze, inspirujący do odkrywania w tkance otaczającego nas miasta przyczółków dla utopijnej idei Panamy – mówi Robert Jarosz, reżyser spektaklu i autor adaptacji. – I choć wiemy, że podążając drogą nakreśloną przez Janoscha, wrócimy do naszych własnych domostw, to jednak wyruszyć warto. Warto przez chwilę uprawiać miejski survival, poznawać innych mieszkańców miasta, a własną wyobraźnię potraktować jak domowe zwierzątko i od czasu do czasu wyprowadzić ją na spacer...

A przy okazji Janosch, czyli urodzony w Zabrzu na Górnym Śląsku Horst Eckert – najpopularniejszy ilustrator i autor książek dla dzieci w Europie, grafik, malarz i pisarz – dzięki oszałamiającemu sukcesowi, jaki przyniosły mu książeczki o Misiu i Tygrysku (sprzedane w nakładzie ponad 12 mln egz., sfilmowane, z bohaterami funkcjonującymi niezależnie w komercyjnej przestrzeni), odnalazł swoją Panamę na Teneryfie. Żyje tam od ponad 40 lat. 11 marca tego roku obchodził 90. urodziny.

Jolanta Gajda-Zadworna

Ilustracja: Karolina Witowska

eprasa.pl 9e095ef298

SŁODKO-SŁONY

Pierwsza mięta

ANNA MONICKA

Pamiętacie, jak pachnie nagrzany słońcem las? Tę niesamowitą kompozycję olejków eterycznych, którą przesycone jest powietrze? Tuż przy ziemi gorzkawo-balsamiczny tymianek macierzanka, nieco wyżej żywice i spadzie. Dla mnie najwspanialsze są sosnowe, może dlatego, że ich zapach mam wkodowany od dziecka. Wychowałam się w świdermajerze wśród sosen, bzów, akacji. Przy werandzie stała olbrzymia lipa, bzycząca od owadów, które uwijały się przy niej całymi eskadrami. Tego domu ani lipy, ani sosnowego lasu już nie ma. Kiedyś jeździliśmy z rodzicami na sentymentalne wycieczki do Świdra, ale przestaliśmy, bo zawsze kończyło się to płaczem.

Mój ogródek staram się, pewnie w hołdzie temu zapamiętanemu z dzieciństwa, uprawiać na dziko. Przetrwa w nim tylko to, co urośnie pod sosnami, których mam kilkanaście. Jest więc mała lipa, jest czeremcha, bluszcze (a w nich gniazda kosów), pnące hortensje, mięty, melisy, szałwie, oregano, truskawki i poziomki. W trawie radzą sobie kurdybanek, fiołek wonny, barwinek, tymianki i lebiodka, czosnki, majeranek, szczypiorki. Najbardziej okazałym i pięknym zielskiem jest glistnik jaskółcze ziele – pobił na głowę plantację pokrzyw, które trzymam specjalnie z myślą o zapylaczach. W tym roku mają wyjątkowo fatalne warunki: susze na przemian z ulewami, wichury, brak nektaru albo pyłku... Żeby im pomóc, sadzę więc w ogrodzie tylko rośliny miododajne i nie koszę trawy.

Dziś rano ruszyłam do ogródka po pierwszą porcję mięty do porannego naparu – mam kilkanaście gatunków, więc jest w czym wybierać. Właściwie za każdym razem, gdy widzę ciekawie pachnącą miętę, nie mogę się powstrzymać przed zakupami. Dziś wybrałam marokańską, którą kocham za moc zapachu. Radzi sobie świetnie w naszym klimacie, równie dobrze jak rodzime pieprzowe, polne czy polej. Napar z niej, z listkiem rozmarynu i kilkoma kropelkami limonki, robi dzień. Warto nią też posypywać sałatki z młodych ogórków i pomidorów, a także dodawać do sałatek na bazie kuskusu, bulguru czy pęczaku. Doskonale smakuje z bobem, wystarczy ziarna polać miętowym winegretem.

Fot. Shutterstock (x2)

WILCZYM OKIEM

Morski śnieg

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Ostatnio pisałem o jerzykach jako nieoczywistym, pozornie drobnym, lecz niezbędnym elemencie bioróżnorodności, od której zależy trwanie naszej cywilizacji. Niejedynym oczywiście. O ile by przyjrzeć się jerzykom, kierujemy wzrok w przestworza, o tyle w przypadku morskiego śniegu musielibyśmy się zanurzyć w otchłań wodną, głęboko pod powierzchnię mórz i oceanów. Zacznijmy jednak od paprykarza szczecińskiego.

Paprykarz szczeciński powstał podobno na skutek doświadczeń polskich marynarzy i rybaków zainspirowanych afrykańską kuchnią morską w czasach, kiedy mieliśmy łowiska u wybrzeży Afryki Zachodniej. W 2010 r. paprykarz został wpisany na listę produktów tradycyjnych, a w 2020 r. doczekał się pomnika na placu Gryfitów w Szczecinie. Pomnik miał postać nadnaturalnej wielkości puszki paprykarza, metalowej i pomalowanej w żywe, oryginalne kolory. Zamiast jednak stać się atrakcją turystyczną, po kilku miesiącach został rozebrany decyzją konserwatora zabytków.

W skład paprykarza – oprócz ryżu i warzyw – wchodzą rozmaite fragmenty ryb, pozostałe po odkrojeniu mięsa od szkieletu. Można pochopnie nazwać paprykarz odpadami produkcyjnymi. Można też – dziełem geniusza.

Podobnie jak producenci paprykarza czyni przyroda. Dla funkcjonowania systemu przyrodniczego konieczny jest sprawny obieg materii. Nic nie może się zmarnować i nic nie jest odpadkiem.

Bardzo ciekawym przykładem takich mechanizmów jest tzw. morski śnieg. Zjawisko to objawia się w dennych, głębokich strefach mórz. Morski śnieg, widoczny np. w reflektorach batyskafu, to nieustająco opadająca na dno materia organiczna, cząsteczki istot żyjących w warstwach położonych nawet tysiące metrów wyżej.

Morski śnieg, obok takich gratek jak np. trafiający się niekiedy martwy wieloryb, jest źródłem utrzymania wielkiej rozmaitości głębinowych ryb, wężowideł, liliowców, rurkoczułkowców, krabów, chitonów itp. Obfitość życia, utrzymująca się dzięki temu, co w innych strefach oceanów zbędne, a nawet przeszkadzające.

Ta zdolność przyrody, którą musimy się nauczyć naśladować, sprawia, że pędząca przez Wszechświat niebieska planeta jest w stanie wyżywić tyle stworzeń – w tym nas.

eprasa.pl 9e095ef298

W ŚWIECIE LUSTER

HANNA KARP

Mistrzowie cenzury, czyli jak historia kołem się toczy

Całkiem niedawno jeszcze władza komunistyczna dowodziła wszelkimi kanałami informacji, że jej doktryna jest wyjątkowa i umożliwia uzyskanie i zrozumienie prawdziwego obrazu świata. Wiodącą ideologię marksizmu-leninizmu przedstawiano jako naukę (sic!) uniwersalną i jedynie słuszną.

Dziś teorii Marksa i Lenina nikt wprost nie przywołuje. O cenzurze też nie ma mowy. Ale czyż i dziś wielkie korporacje medialne, różne GAFA nie trzymają za twarz (raczej za głowę) swoich odbiorców? Choć zamiast cenzorów mają swoje algorytmy. Z tym że po dzisiejszym cenzorze-algorytmie nie zostanie nawet odcisk palca. Wygenerowany na danych ofiary po jej śmierci przerzuci się na inny „obiekt biologiczno-chemiczny". Po cenzorach i ich pracy pozostało wciąż dużo śladów.

„TRYBUNA LUDU" EPOKI LGBTQ

Algorytmem komunistycznej partii były „wytyczne". To one nakazywały urzędom cenzury nasilić działania zmierzające do zwiększenia politycznej odpowiedzialności redakcji za teksty zgłaszane do druku, rozszerzając kontrolę według formuły „Trybuny Ludu" na inne tytuły prasowe i niektóre wydawnictwa. Instrukcja jasno objaśniała, iż w pracy jest: „Niezbędne konsekwentne przestrzeganie zasady, że w całej polskiej prasie i wydawnictwach nieperiodycznych, niezależnie od orientacji czy przynależności organizacyjnej, obowiązuje jedna linia oceny przeszłości". To dziwnie znajome myśli. W latach 90., w okresie transformacji, także obowiązywała jedna linia oceny, z tym że... przyszłości. Jak zauważył Bartłomiej Sienkiewicz, były szef MSW, przy okazji 32. urodzin „Gazety Wyborczej", mutacji „Trybuny LGBTQ": „Żyliśmy w kraju jednej gazety, jednej telewizji i jednego prezydenta". I jedynego planu Balcerowicza...

Komunistyczny cenzor nie był robotem ani sztuczną inteligencją. Przejawiał za to tzw. elastyczne działanie, co oznaczało stałą czujność, uważne czytanie prasy centralnej. Cenzorzy z terenu musieli pamiętać, że prawo do pojedynczych, liberalnych decyzji i odstępstw od ogólnych wytycznych miała tylko centrala. A to przecież tak jak dziś w medialnych korporacjach.

„Mamy profesorów, którzy są już starzy i jeszcze nie są nasi, ale do tych musimy zastosować inne kryteria, a inne do młodych autorów – tych pozycji prosimy nie konfiskować, ale zgłaszać do GUKP" – tłumaczono cenzorom z terenu w 1949 r. podczas narady krajowej Wojewódzkich Urzędów Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Wobec przedwojennej niemarksistowskiej części profesury, na przykład tej pracującej na KUL, prowadzono stałą elastyczną taktykę cenzorską: „Musimy pozwolić im trochę mówić, bo niektórzy z nich mogą się jeszcze przydać Polsce Ludowej swoim doświadczeniem, umiejętnością i dlatego musimy w stosunku do tych ludzi stosować pewną taktykę [...]. Na szereg rzeczy, gdzie nie ma sformułowań szkodliwych, a oderwanie się od rzeczywistości, musimy być cierpliwi przez długie jeszcze lata. [...] W zasadzie, jeśli chodzi o prace naukowe my niejednokrotnie, mając

eprasa.pl 9e095ef298

stanowisko, nie chcemy i nie możemy komunikować go autorom. Takie jest polecenie KC. My te rzeczy załatwiamy przez PAN". I ten PAN ciągle się nieźle do dziś trzyma.

MISTRZOWIE CENZURY

Nie wiadomo, jak jest dziś na Facebooku czy na Twitterze. Czy ma jakieś cenzorskie elity, bo wewnątrz tego systemu za pierwszej komuny wykształciła się hierarchia związana ze specjalizacją pracy. W szeregach cenzorów byli „mistrzowie". Najlepsi stanowili elitę, byli najlepiej do pracy przygotowani i najlepiej za nią nagradzani. Wśród samych cenzorów istniała specjalizacja wewnętrzna. Fachowcy od prasy katolickiej byli najlepiej przygotowani ze wszystkich. Mieli luksusowe warunki pracy, w tym także finansowe. Nie mieli jednak bezpośredniego kontaktu z hierarchami Kościoła. Z archiwów cenzury wynika, iż kościelna korespondencja zawsze trafiała do Urzędu do spraw Wyznań. Zachowała się na przykład korespondencja biskupa Karola Wojtyły, który przez Urząd do spraw Wyznań interweniował w sprawie cięć w jednej z gazet archidiecezjalnych.

Katolicki Kościół i jego duchowni byli szczególnie trudnym przeciwnikiem cenzorów. Dlatego władza udzielała im stałych instrukcji, jak postępować z różnego rodzaju tematyką spotykaną w publikacjach i wydawnictwach kościelnych. Unikano skrajnych postaw, zbytniej pobłażliwości, jak i nadmiernego szykanowania. Strategia objaśniała, że otwarta walka z religijnym kultem na etapie, gdy większość społeczeństwa jest wierząca, byłaby „awanturnictwem". To podejście, zdaje się, w oświeconych redakcjach zachowało się do dziś.

Działania cenzorów, podobnie jak całego aparatu komunistycznej bezpieki, winny dążyć do skłócenia i podzielenia hierarchii kościelnej. Wykorzystywania propagandowego księży patriotów i każdego aktu poparcia nowego ustroju przez duchownych. To także jakoś przetrwało do naszych czasów. Są światli duchowni, którzy dziś co prawda nie nazywają już siebie patriotami. Wręcz przeciwnie. Zaścianek ich brzydzi, światłe redakcje, o których już była mowa, nie wpuściłyby ich za swój próg. Najchętniej porzucają z czasem sutanny i zasilają katedry „uczonych". Wtedy dopiero ich światłość rozrzedza mrok. O ile wcześniej nie rozbiją się na jakiejś nocnej latarni.

Za szczególnie pilnych w swoim fachu uchodzili cenzorzy wojskowi, którzy bez cienia wątpliwości usuwali każde słowo wybiegające poza dopuszczalną propagandową sztampę. Jeśli zdarzały się błędy przez niedopatrzenie, sami w trybie pilnym podejmowali śledztwo, by odkryć winowajcę. Efekty dochodzeń kończyły się niejednokrotnie wstrzymaniem druku i komisyjnym niszczeniem gazety jeszcze w drukarni. Oznaczało to oddanie setek kilogramów papieru na przemiał. W dużych ośrodkach, w Gdańsku, Warszawie, Krakowie czy Wrocławiu, cenzorzy byli często niedokończonymi naukowcami, niespełnionymi doktorantami. Trafiając do cenzury, odbijali własne niepowodzenia, walcząc z kolegami czy promotorami.

DŁUGOWIECZNA GWARANCJA BEZKARNOŚCI

W mniejszych ośrodkach cenzorami byli często ludzie o bardzo ograniczonych horyzontach, w najlepszym wypadku ze średnim wykształceniem czy małą maturą. Na początku lat 70. weszło rozporządzenie, które stawiało cenzorom wymóg wyższego wykształcenia, jednak większość cenzorów tego wymogu nie spełniała. W GUKPPiW w 1971 r. tylko 67 proc. kontrolerów słowa miało ukończone studia. Cenzorzy w latach 80. starali się o legitymacje prasowe, ostentacyjnie bywali w klubach dziennikarzy. Mieli kompleks dziennikarza i chcieli być traktowani jak dziennikarze, zwykli pracownicy słowa, „którzy są pomocni".

W latach 70. o ingerencjach cenzorskich decydowały często nieczytelne układy osobiste, powiązania rodzinne, towarzyskie, nawet sympatie i antypatie w żadnym razie niewiążące się z przekonaniami czy orientacją polityczno-światopoglądową. Jako rodzaj wybranych kast cenzorzy dostawali, jak pozostali aparatczycy systemu, mieszkania, talony na samochody, nabywali dobra za talony w sklepach za żółtymi firankami. Ale przede wszystkim mieli gwarancję bezkarności. Ta gwarancja była bardzo solidna, bo przetrwała do dziś. Podczas szkoleń w latach 70. słyszeli, że gdyby mieli jakieś kłopoty z władzą, powinni pokazać legitymację, a w razie potrzeby „zasygnalizować do władz centrali".

Stefan Kisielewski władzę cenzorów nazwał „dyktaturą ciemniaków". W wielu wydawnictwach redaktorzy byli jednocześnie nieformalnie zatrudnieni jako cenzorzy. Leopold Tyrmand w „Dzienniku 1954", opisując swoje doświadczenia z wydawnictwem Czytelnik, zauważył, że w komunizmie redaktor to synonim cenzora, który ma życie barwne i pełne intryg.

PRZECHOWALNIE FUNKCJONARIUSZY

Wydawnictwa często pełniły funkcje przechowalni ważnych funkcjonariuszy systemu. Na przykład Julia Brystygierowa (1902–1975), dyrektor V Departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, nadzorująca pierwszy etap śledztwa, znana z tego, że osobiście katowała zatrzymanych mężczyzn. Miała własne wyrafinowane psychopatyczne metody znęcania się nad nimi. Gdy w 1956 r. w stopniu pułkownika odeszła z resortu, zajęła się pracą redakcyjno-literacką. Pracowała jako zwykła redaktor w Państwowym Instytucie Wydawniczym. A wcześniej spełniała swoje ambicje literackie w wydawnictwie dla... dzieci (sic!) Nasza Księgarnia. W roku 1960, pod nazwiskiem Julia Prajs, wydała powieść „Krzywe litery", a następnie zbiór opowiadań „Znak". W latach 60. pisała felietony dla serwisu zagranicznego Polskiego Radia. W roku 1965 złożyła akces do Związku Literatów Polskich. A pod koniec życia była religijna, podobno. I tak historia kołem się toczy... Kim byłaby dziś? Walczyła o wolność, równość i braterstwo, budując sztuczną inteligencję czy nadzorując ustalanie celów algorytmów?

Autorka jest mediozna wcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

eprasa.pl 9e095ef298

Patrząc na przyrodę

Alina Czerniakowska

Wszechobecne kłamstwo, zło w najgorszej postaci, podstęp, intrygi siejące strach i zbrodnie są obecnie głównym narzędziem w walce o władzę nad światem. Wydawać by się mogło, że oczywiste kłamstwa, zbrodnie, niszczenie innych, nie mogą bezkarnie trwać, tymczasem prymitywni władcy, typu Łukaszenka na Białorusi czy Putin w Rosji, robią, co chcą. Zachód i obecna Ameryka Joego Bidena boją się i nie chcą radykalnie reagować.

Porwany samolot, aresztowany młody człowiek upominający się o wolność, bezradność, strach. Ostatnio nawet weteranów Armii Krajowej na dawnej polskiej ziemi (dzisiejsza Białoruś) ciąga się przed sądy Łukaszenki pod zarzutem mordowania Białorusinów (sic!). Podczas gdy właśnie tu, na ziemi Mickiewicza, walczyli najdzielniejsi z dzielnych. Żołnierze kapitana Jana Borysewicza „Krysi" bronili miejscowej ludności przed zbrodniczymi działaniami Kremla i Berlina. To stąd żołnierze AK ze Zgrupowania Stołpecko-Nalibockiego jako jedyni przedostali się przez oblężenie modlińskie. Przyszli na pomoc powstańczej Warszawie, zapisali się w pamięci mieszkańców Kampinosu, Lasek, Dziekanowa jako wielcy bohaterowie.

Gdy pod koniec lat 90. robiłam film dokumentalny pt. „Kampinoska epopeja", żyli jeszcze świadkowie zarówno spośród walczących żołnierzy kresowych, jak i miejscowej ludności. Oskarża się nas, Polaków, o mordowanie Żydów, podczas gdy to właśnie Polacy najwięcej Żydów uratowali, ryzykując życie własne i swoich rodzin. Żydówka, prof. Dora Kacnelson, tu wychowana i zafascynowana polską historią, w moim filmie dokumentalnym powiedziała: „Proszę, niech mi wszyscy ci, którzy oskarżają Polaków, pokażą chociaż jednego Żyda, który ryzykowałby swoje życie dla ratowania Polaka, a przecież tylko w Polsce była kara śmierci za pomoc Żydom. Mimo to Polacy pomagali i ginęli całymi rodzinami".

Leszek Żebrowski w świetnym tekście „Tsunami bzdur" podaje przykłady fałszowania historii, oskarżania i niszczenia polskich bohaterów. Judy Batalion w swojej najnowszej książce przypisuje sukces wielkiej akcji dywersyjnej Armii Krajowej... jednej Żydówce – Rywie Tajtelbaum, która w październiku 1942 r. rzekomo wysadziła w Warszawie kilka linii kolejowych. Takich kłamstw, bzdur i oszczerstw pod adresem Polski i Polaków nie brakuje, nasi wrogowie piszą nam historię na nowo. Publikacje Judy Batalion czy Tomasza Grossa są tłumaczone na wiele języków i wydawane na świecie w bardzo dużych nakładach. Zraniona polskość boli szczególnie tych, którzy znają prawdę, wychowali się w patriotycznych rodzinach i czują, rozumieją, co znaczy naprawdę kochać Polskę.

By uciec od przygnębienia i tego typu myśli, warto popatrzeć na przyrodę, maj, czerwiec, wszędzie świeża zieleń, żółte mlecze, kolorowe tulipany, kwitnące najróżniejsze krzewy, krzaki, czeremchy, głogi, bzy, kasztany, przy drogach nie widać kurzu ani brudu. Miejsca nawet te najbardziej zniszczone przez człowieka, zaśmiecone lasy, ratują się, jak mogą, przykrywają wszystko świeżymi listkami, polnymi kwiatami, pomagają ptaki, radosne, głośne, krzyczące wieloma głosami nie do podrobienia, jakby chciały zagłuszyć wszelkie zło. Przyroda, jej piękno, światło dłuższego dnia, zapach ziemi po wiosennym deszczu i niebo nagle w pasach kolorowej tęczy zatrzymują nawet najbardziej zajętych sobą, obojętnych i odpornych na wzruszenia. Wtedy przychodzą refleksje nad sensem własnego życia, łagodnieją obyczaje. Rodzi się pokora przed Stwórcą, świadomość granic, których człowiek nie może przekroczyć, a kiedy obecnie zaczyna wyręczać Boga i stawiać siebie w Jego miejsce, wcześniej czy później przegrywa.

Jan Paweł II pisał na początku trzeciego tysiąclecia: „Przyroda jest dana człowiekowi jako wielkie zwierciadło świata, odbija się w nim Przymierze Stwórcy ze swoim stworzeniem, którego centrum od początku znajduje się w człowieku, stworzonym wprost na obraz swego Stwórcy". A na zakończenie rozważań pytał: „Dlaczego tak wielki, nieporównywalny z żadną przedtem epoką historii, postęp ludzkości w zakresie techniki, nauki, postęp w opanowaniu przez człowieka materii, obraca się przeciw człowiekowi? Setki tysięcy ludzi żyją w skrajnej nędzy, wręcz umierają z głodu, gdy równocześnie zawrotne sumy idą na produkcję broni nuklearnej, której arsenały już w chwili obecnej zdolne są doprowadzić do samozniszczenia ludzkości. Czy ten stan rzeczy jest odwracalny?".

Dzisiaj, gdy doszły sprawy tajemniczego wirusa zapewne wyprodukowanego przez człowieka, który zawładnął całym światem i zbiera wielkie żniwo śmierci, strachu, niepewności i niewiedzy, pytania wielkiego papieża Polaka brzmią jeszcze bardziej dramatycznie. Może trzeba wrócić pod Maryjne figurki rozsiane wśród polskich pól, odświeżyć po zimie, przybrać kwiatami i rozradować się wiosennym Ave Maryja, powtarzając za wielkim rodakiem: „Totus Tuus, Maryjo!".

Pamiętam, jak babcia stroiła mnie w ładną sukienkę, szykowała bukiet z kwiatami, których w dużym pięknym ogrodzie nie brakowało, i prowadziła do figurki na rozstaju polnych dróg. A wcześniej uczyła pieśni, które zawsze mnie wzruszają i zatrzymują w biegu: „Chwalcie łąki umajone / góry doliny zielone, Chwalcie cieniste gaiki / źródła i kręte strumyki / Chwalcie z nami Panią świata / Jej dłoń nasza wieniec splata...". Właśnie te odwieczne pieśni mają trudną do pojęcia wewnętrzną siłę, której nikt nigdy nie pokona.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Reklama | 38/0521/F

eprasa.pl 9e095ef298

RMF radio 24

nowe radio internetowe

informacyjne
radio
rmf24.pl

SPRAWDZONE FAKTY!
NIE FAKE NEWSY!

www.radio.rmf24.pl

eprasa.pl 9e095ef298

Dekalog a wolność

Lech Makowiecki

Według skrótowej definicji zawartej w Wikipedii WOLNOŚĆ jest brakiem przymusu, możliwością działania zgodnie z własną wolą. Z kolei DEKALOG (inaczej Dziesięć Przykazań) to zbiór podstawowych nakazów moralnych, obowiązujących pierwotnie wyznawców judaizmu, a następnie przyjętych przez chrześcijan. Na pierwszy rzut oka są to określenia przeciwstawne i wzajemnie się wykluczające. Pierwsze z nich oznacza prawo człowieka do wszelkich należnych mu swobód (vide: lewackie „Zabrania się zabraniać!" czy „Róbta, co chceta!"). Drugie kojarzy się z serią opresyjnych zakazów obejmujących większość dziedzin naszego życia.

Czy stosowanie się na co dzień do zasad Dekalogu ogranicza, wyklucza naszą wolność? A może jest odwrotnie? Może to właśnie tych dziesięć uniwersalnych zasad regulujących od tysięcy lat stosunki międzyludzkie jest idealnym kompromisem gwarantującym każdemu maksimum wolności? Czym jest wolność bez moralności? Jeśli w imię spełniania naszych osobistych zachcianek można już kraść, kłamać i zdradzać – czynić to będziemy, depcząc osobistą wolność ludzi okradanych, okłamywanych i zdradzanych. Jeśli zaburzy się podstawowe relacje między dziećmi a rodzicami – rodzi to dramatyczne konsekwencje dla wszystkich bez wyjątku! Gdy dopuszcza się zabijanie dzieci (aborcja na życzenie), usprawiedliwiona niejako staje się też „selekcja" dorosłych (eutanazja). Nie przypadkiem w swej dekalogowej homilii poświęconej czwartemu przykazaniu (adresowanemu do młodego pokolenia) św. Jan Paweł II upominał również rodzica: „Pamiętaj, abyś prawdziwie zasługiwał na tę cześć".

PS W Boże Ciało 3 czerwca br. zapraszam na godz. 20.15 do Programu 1 TVP na widowisko muzyczne pt. „Dekalog" (scenariusz, piosenki – L.M.). Zrealizowany z ogromnym rozmachem przebojowy koncert premier (z udziałem orkiestry Kukla Band, chóru Gospel Rain i plejady gwiazd estrady i filmu) adresuję do wszystkich ludzi dobrej woli... Których jest ponoć więcej...

Świnia w rajstopach

Piotr Cywiński

„Nie uważam, że to najpotrzebniejsza inwestycja" – kto to powiedział i o czym? Włodarz stolicy Rafał Trzaskowski o idei odbudowy Pałacu Saskiego. Jak zdążył skrytykować z półtora roku nazad: „To mocarstwowe projekty, które mogą zaburzyć miejską przestrzeń". Gdyby od niego zależała rekonstrukcja warszawskiej Starówki, bez sensu wpisanej na listę światowego dziedzictwa UNESCO, pewnie nigdy by nie powstała. Bo troskliwy i gospodarny, niestety niedoszły prezydent RP, pan Trzaskowski jest. Miał też odwagę wytknąć temu pisowskiemu rządowi „gigantomanię", bo zachciało mu się budować Centralny Port Komunikacyjny, a mamy przecież już lotnisko w Berlinie. Nie wiem więc, dlaczego teraz nie wywali wprost, że ten Pałac Saski potrzebny nam jest jak świni rajstopy, skoro Niemcy odbudowali już rok temu zamek królów pruskich w Berlinie, notabene w miejscu rozebranego, komunistycznego Pałacu Republiki.

Strasznie rozrzutny jest ten premier Mateusz Morawiecki. I jaki naziol! Wszyscy oni z tego PiS to popaprani narodowcy. Może Koalicja Obywatelska powinna interweniować u Niemki Ursuli von der Leyen, szefowej Komisji Europejskiej? Bo na cholerę nam cofać się w rozwoju do 1661 r., wszak dziś mamy Unię Europejską i aż dwa nowoczesne pałace, w Brukseli i Strasburgu?! Poza tym to wiadomo, kto tę odbudowę wymyślił – Lech Kaczyński, taki sam „gigantoman" i „szowinista" jak oni wszyscy. Nawet dół wykopano, ale równie troskliwa, co budowniczy konstrukcji z drewnianych palet pan Trzaskowski, „wachszawska sychenka" Hanna Gronkiewicz-Waltz kazała odsłonięte już zabytkowe piwnice zasypać. Po co się grzebać w przeszłości, kolorowych donic w rozkwitającej nam Warszawie było trzeba, które postawiła, czyż nie piękna inicjatywa?

Powrót do odbudowy Pałacu Saskiego to głupota i brak odpowiedzialności. Po co wypominać Niemcom, że go wysadzili, wszak mamy dziś tzw. traktat dobrosąsiedzki. Z Rosjanami nie mamy, ale wszystko przed nami – symbol naszej przyjaźni, Pałac Kultury i Nauki imienia Stalina, stoi i jest chroniony. A są tacy, którzy chcieliby go zburzyć. Czym to się skończy?

Wicepremier Piotr Gliński obwieścił, że „odbudowa Pałacu Saskiego staje się faktem". Tere-fere... – pewnie takim jak Łuk Triumfalny na setną rocznicę rozgromienia bolszewików w Bitwie Warszawskiej. Istnieje jednak groźba, że pałac odbudują, bo zapowiedział to także prezes PiS Jarosław Kaczyński, a ten to uparty jest jak wszyscy diabli. I zaburzy nam przestrzeń...

Reklama | 78/0421/F

eprasa.pl 9e095ef298

OGÓLNOPOLSKI TYGODNIK KATOLICKI

WYDANIE SPECJALNE DLA 19 DIECEZJI

DOSTĘPNY W PARAFIACH, KIOSKACH I NA POCZCIE

niedziela

TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

+ REGINA POLONIÆ

niedziela.pl

niezbędnik katolika

księgarnia niedziela

niedziela tv

niedziela FM

moje pismo TĘCZA

WIARY GODNE MEDIA

tkniedziela

@tygodnik.niedziela

@niedziela_pl

JESTEŚMY DLA WAS OD 95 lat

eprasa.pl 9e095ef298

Utracona wiarygodność

Obserwując ten twardy kurs i ciągłe zmiany narracji, widzę, że świat wokół nas się zmienia i nie jest to dobra zmiana

JAN POSPIESZALSKI

Gdy ogłoszono, że zachętą do szczepień będzie loteria z nagrodami, pomyślałem, że minister Michał Dworczyk, zawsze starannie dbający o przekaz, stracił instynkt samozachowawczy. Twitter natychmiast podchwycił temat, wskazując, że niepożądane objawy poszczepienne (w tym przypadki śmiertelne) sprawiają, że przyjęcie preparatu jest już loterią. Takich błędów komunikacyjnych było więcej, co świadczy, że osoby odpowiedzialne za Narodowy Program Szczepień oderwały się od rzeczywistości. Trudno się zatem dziwić, że tak wielu ludzi już nie ufa rządowym komunikatom.

W dniu kiedy piszę tekst, właśnie się dowiedziałem, że zablokowano konto twitterowe dr. Pawła Basiukiewicza, szefa oddziału zakaźnego, krytycznie recenzującego politykę resortu zdrowia (23 tys. obserwujących). Coraz brutalniejsze wysiłki, by uciszyć oponentów (coś o tym wiem), wraz z ciągłymi zmianami narracji są jednak przeciwskuteczne. Przypomnę zatem, jak to wyglądało.

- Jedyną drogą zwalczenia epidemii jest szczepionka. Dopuszczone specyfiki są w 95 proc. skuteczne i bezpieczne, więc rozpoczynamy Narodowy Program Szczepień.
- 21 grudnia 2020 r. na stronach Urzędu Rejestracji Produktów Leczniczych i Wyrobów Medycznych pojawił się komunikat informujący o warunkowym dopuszczeniu do obrotu szczepionki Comirnaty produkcji Pfizer/BioNTech, gdzie czytamy: „Wpływ szczepień na rozprzestrzenianie się wirusa nie jest jeszcze poznany. (...) Obecnie nie ustalono, jak długo trwa ochrona zapewniona przez Comirnaty. Osoby zaszczepione w badaniu klinicznym będą obserwowane przez 2 lata, aby zebrać więcej informacji na temat czasu trwania ochrony". Te informacje z rzadka lub wcale przebijały się do opinii publicznej. Na strony URPL zagląda niewielu, a konferencje ministra Dworczyka skupiały się tylko na pozytywach.
- Gdy zaczęto zgłaszać objawy niepożądane, przedstawiciele Ministerstwa Zdrowia potwierdzili, że szczepionka może powodować takie objawy, ale są one incydentalne, łagodne i dotąd nie odnotowaliśmy groźnych powikłań.
- Po jakimś czasie nastąpiła korekta stanowiska: wprawdzie pojawiają się odczyny poszczepienne, mające również ciężki przebieg, ale są to pojedyncze przypadki. W historii medycyny takie reakcje zawsze się zdarzały – nie tylko przy szczepieniach, ale przy innych specyfikach.
- Potem byliśmy świadkami kolejnej zmiany: szczepionka wprawdzie nie chroni skutecznie przed zakażeniem, ale ochroni nas przed ciężkim przebiegiem choroby, eliminując ryzyko śmierci.
- Gdy zaczęto zgłaszać przypadki śmierci po przyjęciu szczepionek, nastąpiła kolejna korekta: szczepionka chroni nas przed zakażeniem, a jeżeli już niestety zachorujemy (co zdarza się niezmiernie rzadko), to zabezpiecza nas przed ciężkim przebiegiem. Zdarzają się niestety przypadki śmiertelne po zaszczepieniu, ale to tylko koincydencja czasowa, trudno w stu procentach bowiem orzec, że te zgony mają bezpośredni związek z przyjęciem szczepionki. Przypadki zgonów zdarzające się po przyjęciu szczepionki, choć mogą być interpretowane jako NOP, występują nieporównywalnie rzadziej niż śmierć z powodu COVID-19. Ocena korzyści i ryzyka pokazuje, że lepiej się zaszczepić.
- Szczepienia będą trwały tak długo, aż nabędziemy odporność populacyjną liczoną jako suma ozdrowieńców i zaszczepionych przekraczająca 60 proc., a lepiej 70 proc. dorosłych obywateli.
- Szczepimy również młodych i ozdrowieńców, ponieważ odporność populacyjna jest możliwa tylko przez szczepienia.
- Szczepienia lekarzy w pierwszej kolejności są potrzebne, by otworzyć placówki ochrony zdrowia. Szczepimy nauczycieli, by szybko otworzyć szkoły. O dzieci nie mamy obaw, bo dzieci nie chorują. Jak wiemy, żadna z tych deklaracji nie została zrealizowana, natomiast usłyszeliśmy, że nie otworzymy przychodni i szkół, ponieważ zaszczepieni, choć sami nie chorują, mogą jednak przenosić zakażenia.
- Kolejny komunikat głosi, że młodzież i dzieci też musimy zaszczepić, bo wprawdzie nie chorują, ale przenoszą. Nikt już nie zwraca uwagi, że przecież słyszeliśmy niedawno, że zaszczepieni też przenoszą. Kurs jest twardy – szczepimy również młodzież i dzieci.

Obserwując ten twardy kurs i ciągłe zmiany narracji, widzę, że świat wokół nas się zmienia i nie jest to dobra zmiana.

eprasa.pl 9e095ef298

Michał Korsun prezentuje:
O. Szustak, czyli dokąd zmierza ta Panda?

Wycinki z przeszłości

Tygodnik „AS" późną wiosną 1938 r. proponował czytelniczkom „żakiecik do kostiumu kąpielowego". Należało go wykonać samodzielnie ściegiem trykotowym. Jak bowiem czytamy, „moda ręcznych trykotaży znajduje ogromne zastosowanie w konfekcji plażowej. Na reprodukowanych obok ilustracjach widzimy ten żakiecik, narzucony lekko na ramiona przy mocno dekoltowanym na plecach kostiumie. Zapięciem żakiecika jest duży guzik i pętelka przy wycięciu szyi".

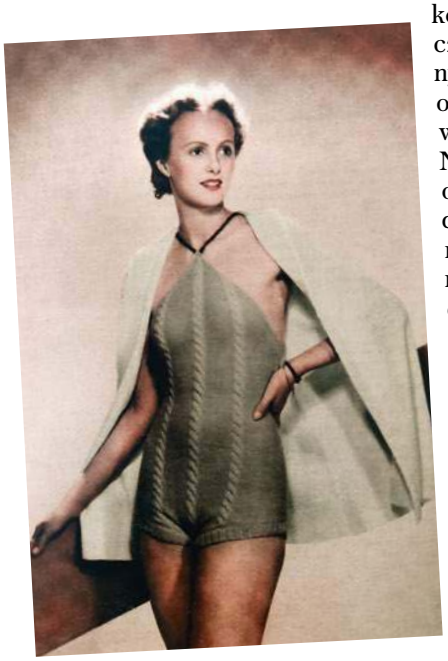

Dziś moda jest inna, masowa. Ale coś utraciliśmy – wtedy każdy kostium był niepowtarzalny.

(mk)

Leszek Długosz

O spóźnionych pragnieniach

(czyli wierszyk na Dzień Dziecka)

Była sobie księżniczka,
uśmiechnięte wciąż liczko
Aż zmąciło się szczęście...
Fiołków bukiecik mały
zapragnęła koniecznie
Mieć
Choć już było pod jesień
Choć to było pod jesień.

Przeszukano ogródki,
pola lasy pagórki
Fiołka pół nie uświadczysz.
Aż rzecz całą objaśnił
Pasterz
Co przy ruczaju trzódkę
swoją pasł właśnie
– Trzódkę, co tam pasł
właśnie.

– Fiołki kwitną wszak w maju
Zaraz potem znikają
Gdy nadejdzie lata skwar...
Potem inne są kwiatki
Róże lilie bławatki
Fiołka pół nie uświadczysz
Choćbyś i najbardziej chciał
– I najbardziej choćbyś chciał.

Więc pamiętaj księżniczko
I pomnijcie wy dzieci
Bardzo ważne to
na świecie jest:
– Pragnąć – we właściwym
czasie
Pragnąć wtedy, gdy da się...
Kiedy słuszny
na pragnienie czas...
Bo
Bo gdy chce się
zbyt wcześnie
Lub gdy jest już
zbyt późno...
To na świecie jest wtedy
Ach już tylko... niestety
Lub niestety...
I trudno.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 9e095ef298

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Quasi-psychoterapia?

To, że często w istocie tak naprawdę nie wiemy, dlaczego czynimy to, co czynimy, jest banałem dla każdego psychologa. Po prostu bardzo często nie znamy prawdy o przyczynach swoich działań. Dotyczy to wszystkich ludzkich zachowań, nawet subiektywnie najszczerszych ludzkich opowieści na swój temat. Także opowieści osób, które dokonały tzw. outingu: powiedziały najpierw sobie, a potem światu, że mają, jak się mówi, odrębną od tradycyjnej, czyli hetero, orientację seksualną.

Kilka fragmentów takich opowieści przedstawił niedawno (nr 20/2021) polski „Newsweek". Oto przykłady (wytłuszczenia nasze):

„U mnie w domu nie było niechęci wobec osób LGBT, a mimo to dopiero kiedy zmarła moja mama, opadło ze mnie napięcie, **podłączyłem sobie internet i zacząłem wchodzić w społeczność LGBT, uczyć się, kim jestem**. Zobaczyłem, że nie jestem sam".

„U mnie dochodzenie do tego, kim jestem, to był proces. **Wszystkiego dowiadywałem się z internetu**. Jeszcze byłem wtedy wierzącym katolikiem, chodziłem do kościoła, spowiadałem się i modliłem, żebym nie był gejem. Miałem nadzieję, że mi to przejdzie [...]. A potem przyszedł Poznań [...]. To miasto było dla mnie jak czysta karta [...]. **Pojawiły się w moim życiu** kluby gejowskie, **aplikacje randkowe**, mogłem wreszcie żyć na swoich warunkach".

Koncepcja standardowa (głośno lansowana przez część zwolenników oraz ideologów ruchu LGBT+) mówi, iż taka lub inna orientacja seksualne jest wrodzona, ale często przez nietolerancyjne otoczenie społeczne tłumiona. Dopiero gdy jednostka poczuje powiew swobody, zaczyna się odważniej dogadywać sama z sobą i może ujawnić to światu. Czym więcej wolności i tolerancji w otoczeniu społecznym, tym proces ten jest szybszy i częściej się zdarza.

Oto lekarstwo na zagubienie i dezorientację przyniesioną przez supernowoczesny świat

Nie wykluczamy, że w odniesieniu do *niektórych* przypadków tak to przebiega. Jednak zgodnie z tym, co powiedzieliśmy na wstępie tego tekstu, to, że człowiek sobie coś subiektywnie wyobraża, nie musi automatycznie znaczyć, że tak właśnie jest. Nierzadko wyobrażamy sobie świat swojego życia przez opowieści, które są głębokimi mistyfikacjami. Automistyfikacjami.

A teraz interpretacja odmienna od tej lansowanej przez ideologów LGBT+. Interpretacja socjologiczna, biorąca ludzkie opowieści w nawias.

W epokach nazywanych przednowoczesnymi, gdzie tempo zmian społecznych było nieduże, gdzie złożoność życia społecznego dawała się przeciętnym ludzkim umysłem ogarnąć, ludzie zwykle z góry mieli określone ścieżki własnego życia. Wyznaczone przez tradycję, religię, rodzinę, edukację wzorce karier zawodowych. To zostało jednak zdruzgotane, gdy kapitalizm wszedł w swą późną fazę, czasem określaną mianem turbo. Życie społeczne, jego wzorce straciły swoją oczywistość, naturalność i powszechność. Świat został pofragmentaryzowany, więzi społeczne rozerwane, autorytety zniszczone, perspektywy edukacyjne i zawodowe niepełne, polityka niestabilna i coraz mniej zrozumiała... Itd.

Młodzi pewnie zawsze w okresie dojrzewania przechodzili okres burzy i naporu, może przede wszystkim z powodu fazy „buzowania" hormonów. Ich organizmy miały okres niestabilności, ale szczęśliwie ich otoczenie społeczne zwykle było dość stabilne. Dostarczało sprawdzonych wzorców: słuchaj rodziców, ucz się, zdobądź zawód, znajdź męża/żonę, razem wychowajcie dzieci. Z powodów, które już skrótowo wskazaliśmy, ten sprawdzony schemat został rozbity. Pojawiła się niepewność, dezorientacja, brak poczucia kierunku, sensu życia. Dojrzewający, czyli tymczasowo biologicznie zdestabilizowany, młody człowiek stanął w obliczu świata coraz bardziej dynamicznego i rozchwianego.

W ten chaos weszli oferenci mówiący: co tam tradycja, rodzina, co tam dzieci, zarywane noce, poświęcenia, odpowiedzialność, wytrwałość. Wybierz sobie tożsamość, jaką chcesz. Imprezuj w klubach, w jakich chcesz. Testuj siebie, partnerów, tożsamości, dragi, miejsca zatrudnienia, środowiska, kraje. Oto lekarstwo na zagubienie i dezorientację przyniesioną przez supernowoczesny świat.

Cała gama nowych tożsamości niczym oferta psychoterapeutyczna. Quasi.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl 9e095ef298

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

SIECI

wSIECI HISTORII

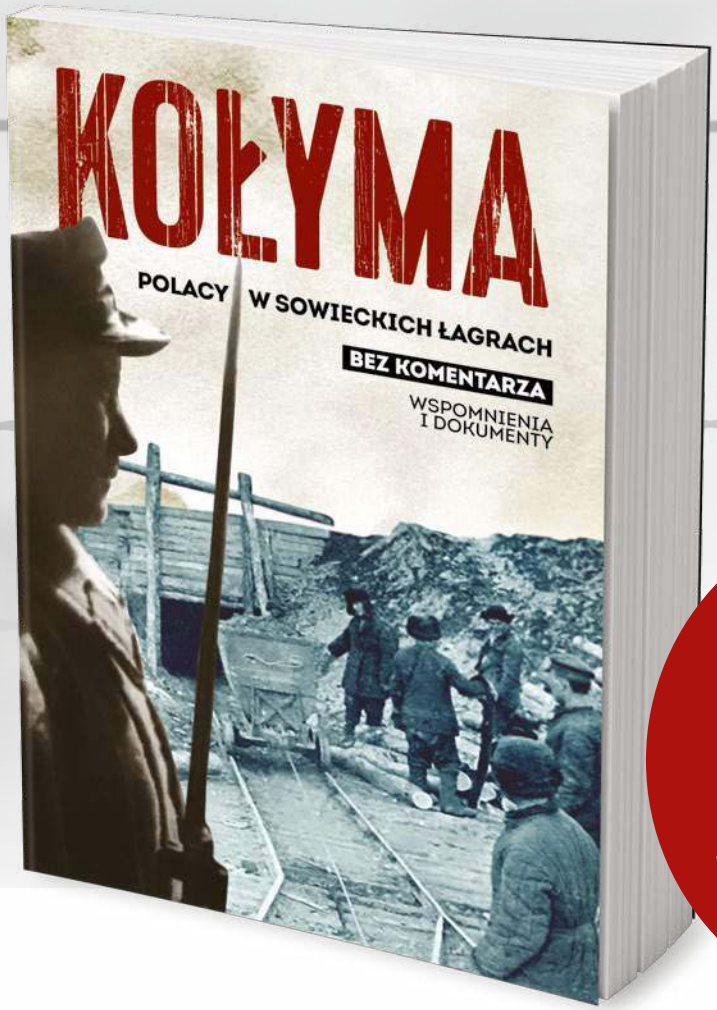

Książka zawiera relacje tych, którzy przeżyli piekło sowieckich łagrów na Dalekiej Północy. Ocaleni opowiadają o dramatach więźniów, którzy ginęli na skutek surowego klimatu i katorżniczej pracy na mrozie sięgającym -50 stopni. Śmiertelność w łagrach wynosiła nawet 80 proc.

150 książek w prezencie

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Fot. Shutterstock

ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:
tygodnika SIECI i magazynu wSIECI HISTORII za 280 zł,
a książkę **„Kołyma. Polacy w sowieckich łagrach”**
otrzymasz **GRATIS**!

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 9e095ef298

wSIECI HISTORII

Nowe wydanie w kioskach!

3 maja 1791
Pierwsza nowoczesna konstytucja w Europie

Uszy konspiracji
Kontrwywiad AK – wielka sieć informacyjna

Dusza kontusza
Zofia z Opalińskich – staropolska femme fatale?

Zamów e-wydanie wSIECI HISTORII i SIECI
na **www.SiecPrzyjaciol.pl**

– do 70% taniej! Tylko 9,99 zł za miesiąc lub **89,99 zł za 12 miesięcy**
– do czytania na komputerze, smartfonie, tablecie

eprasa.pl 9e095ef298